



**OLGA SEMENIUK-
PATKOWSKA
I PIOTR
PATKOWSKI
O MIŁOŚCI
I POLITYCE**

WAŻNY WYWIAD
MACIEJ ŚWIRSKI
O KONCESJACH
DLA TOK FM I TVN



PILNUJEMY PRAWDY
GONTARCZYK
UJAWNIA MANIPULACJE
ENGELKING

JANECKI
OSTRO O SCHABOWYM
ATAKU PO



**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 20 (546) 2023
15–21. maja 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI



TYLKO U NAS

ROSJA CELUJE W WYBORY W POLSCE

**MAREK BUDZISZ
OSTRZEGA:
PRZED JESIENNYM
GŁOSOWANIEM
WROGOWIE PODEJMĄ
PRÓBY DESTABILIZACJI
PAŃSTWA**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269304

Disney+ na start przez rok w prezencie z TV w Polsat Box

Opłata miesięczna za pakiet TV z Disney+ w pierwszym roku od 30 zł,
w drugim roku od 58,99 zł, następnie od 68,99 zł.



polsat box 

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i internetowej przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe z minimalnym zobowiązaniem od pakietu S lub Wygodnego łącznie z dostępem do serwisu Disney+. Aplikacja Disney+ dostępna na dekodernach polsat box | 4K i polsat box | 4K lite. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 15.05.2023 r.

© 2023 Disney i podmioty powiązane



Opozycja wychodzi z kanałów mentalnych?

Ostatnie kilkadziesiąt godzin przyniosło dwie wypowiedzi polityków opozycji, które sprawiają wrażenie poważnej refleksji w sprawach dla Polski najważniejszych.

Oto lider PSL, w niedawnej przeszłości atakujący PiS za rzekome dążenia do polexitu (w istocie chodziło o obronę polskiej pozycji w Unii), naszkicował czarny scenariusz przyszłości wspólnoty. Władysław Kosiniak-Kamysz stwierdził: „Jestem wielkim euroentuzjastą. Miejsce Polski jest w Unii Europejskiej. Unia Europejska, którą ja chcę widzieć, to jest strefa bezpieczeństwa i rozwoju. Ale jeśli ona dalej będzie podążać w kierunku nakazów, zakazów, ukazów, a nie w kierunku pozytywnych rozwiązań, wsparcia, to ten kierunek jest tragiczny”.

Dodał, że jeśli UE nie odejdzie od bzdurnych propozycji, jak ograniczenie produkcji rolnej, bezwzględny zakaz produkcji i sprzedaży silników spalinowych, to „zejdzie na manowce, w kierunku budowy ruchów antyunijnych i rozwalenia się, i rozpadu”.

To diagnoza w istocie czysto pisowska, choć okraszona zapewnieniami o głębokiej lojalności wobec idei europejskiej. W istocie mógłby ją wypowiedzieć polityk partii rządzącej. I dlatego to ważny moment. Centralistyczne i ideologiczne zapędy unijnych elit zaszły tak daleko, że nie da się już udawać, że to ta sama Unia, do której wstępowaliśmy. Nie da się już twierdzić, że napięcia w relacjach z Brukselą to wyłącznie wina Warszawy, że nie zachodzą w UE niebezpieczne zmiany.

Druga wypowiedź jest równie ważna. Oto Bartłomiej Sienkiewicz, ważny polityk Koalicji Obywatelskiej, ostro zareagował na wypowiedź kanclerza Niemiec Olafa Scholza, który ogłosił, że przed 78 laty Niemcy i świat zostały wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu. „Tekst kanclerza Scholza stawia na równi wyzwolenie więźniów obozów koncentracyjnych z Niemcami, którzy popierali Hitlera do ostatniej minuty wojny. To historyczne kłamstwo i etyczne dno. Będą problemy z takimi elitami” – mówi Sienkiewicz. I jest to wypowiedź również istotna. Wygląda bowiem na to, że opozycja zaczyna dostrzegać niepokojące procesy zachodzące w Niemczech w obszarze świadomości historycznej i podejścia do przeszłości.

Wchodzimy w ciekawy okres. Jest nadzieja, że opozycja powoli wychodzi z kanałów mentalnych, którym hołdowała przez dekady. Na razie punktowo, ale jednak pierwsze kroki już za nimi.

Jacek Karnowski



Niebezpieczne złudzenie części prawicy

Słusznie uśmiechamy się z politowaniem, gdy Szymon Hołownia ogłasza, iż w Polsce młócą się dwa plemiona, a on chce trzeciej drogi. Wiemy, że to celebryckie dziecko TVN, które *de facto* pracuje na rzecz rządów Tuska. W sprawie Hołowni wyborcy obozu propolskiego rozumieją istotę sprawy. Zdziwiał mnie jednak, jak wiele osób karmi się złudzeniami co do Konfederacji. Automatycznie za pewnik przyjmują, iż w razie czego, ta siła zawiąże koalicję ze Zjednoczoną Prawicą, że silne tam są odruchy patriotyczne. To błędne założenie. Podsumujmy, co wiemy.

1. Jest prawdą, że powstała jako formacja twardej prawicy. Ale czas ją zmienił. Ujawniły się tam niebezpieczne nurty prorosyjskie, a jej rdzeń od udziału w większości bitew tożsamościowo-niepodległościowych się konsekwentnie uchyla.
2. Ważne środowiska Konfederacji zakładał Roman Giertych i nigdy nie nastąpiło rozliczenie jego wychowanków z tym dziedzictwem. W kulisach polityki mówi się, że Giertych wciąż posiada tam znaczące wpływy.
3. W czasie ostatnich wyborów prezydenckich, przed drugą turą, mając do wyboru jednoznacznie propolskiego kandydata Andrzeja Dudę i niekwestionowanego człowieka kosmopolitycznej lewicy Rafała Trzaskowskiego, opowiedzieli się albo za tym drugim albo głosili, iż jest im wszystko jedno. W wielu sporach jest im bardzo blisko do PO.
4. Tuż przed wyborami parlamentarnymi 2019 r. potężne wsparcie Konfederacji dał TVN. Mówiono tam o młodych, wspaniałych ludziach, którzy pracują na rzecz realizacji własnych marzeń. Takiego poparcia TVN nie dostaje się na puste kwity. Podobnie jak dmuchanych sondaży od Michnika, w których buduje się wizję rzekomej potęgi Konfederacji.
5. Politycy Konfederacji na co dzień skupiają się wyłącznie na łomotaniu Zjednoczonej Prawicy, niemal nie zaczepiając Tuska. Silne jest tam przekonanie, że droga do ich wielkości wiedzie przez „politycznego trupa PiS”.

Możliwe, że Konfederacja w momencie konieczności dokonania wyboru by pękła i część by wybrała sojusz patriotyczny, jest tam wielu porządných ludzi, nie wrzucam wszystkich do jednego worka. Równie dobrze można sobie wyobrazić ich udział w bloku opozycyjnym, jak to stało się z Jobbikiem na Węgrzech. Jedyną opcją pewnego zapewnienia Polsce stabilnych, propaństwowych rządów na kolejne cztery lata jest samodzielne zwycięstwo obozu Jarosława Kaczyńskiego.

Michał Karnowski



35 Zdrada Kazika Konrad Kołodziejski



48 Nożyczki Barbary Engelking Piotr Gontarczyk



60 Erdoğan nad przepaścią Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **TŁUCZEK Z LESZCZYNY**
Krzysztof Feusette
- 9 **NIE MA MIEJSCA DLA UCZCIWYCH**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 **UWAGA! W POLSCE SĄ POLACY!**
Jan Pietrzak
- 12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 **W KLESZCZACH NIERZECZYWISTOŚCI**
Bronisław Wildstein
- 14 **WALIZKA JUSTYNY KISIELEWICZ**
Michał Korsun
- 16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 **ZIELONA SCHIZOFRENIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 **CO WYBIERZE SZTUCZNA
INTELGENCJA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 **SPODZIEWAJMY SIĘ GORĄCEJ
JESIEŃ W POLSCE**
Marek Budzisz
- 24 **ZE STANISŁAWEM ŻARYNEM**
rozmawiają Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 26 **Z MACIEJEM ŚWIRSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky
- 32 **OSTATNI SCHABOWY**
Stanisław Janeczek
- 35 **ZDRADA KAZIKA**
Konrad Kołodziejski
- 38 **Z OLGĄ SEMENIUK-PATKOWSKĄ
I PIOTREM PATKOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 44 **NIE BĘDZIEMY BOGAMI**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 46 **CIEPŁO-ZIMNO, PIEKŁO-NIEBO,
CZYLI SPÓR O POGODĘ I KLIMAT**
Dariusz Matuszak
- 48 **NOŻYCKI BARBARY ENGELKING**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

- 52 **SIÓDMY CZŁONEK, CZYLI RZECZ
O SUWERENNOŚCI UKRAINY**
Jan Rokita

- 55 **DZIŚ BRONIMY UKRAINY, JUTRO
BĘDZIEMY WYZWAŁAĆ BIAŁORUŚ**
Z płk. Nikołajem rozmawia
Andrzej Rafał Potocki

- 58 **UKRAINA – WYGRYWA PETLURA!**
Romuald Szeremietiew

- 60 **ERDOĞAN NAD PRZEPAŚCIĄ**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 64 **Z KARD. GERHARDEM
LUDWIGIEM MÜLLEREM**
rozmawia Goran Andrijanić
- 66 **PIENIĄDZE, IDEOLOGIA
I KRZYWDZENIE DZIECI**
Grzegorz Górny
- 68 **JAK INNE NARODY (NIE)
PRZEPRASZAJĄ ZA HOŁOKAUST**
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

- 71 **O, MAMO!**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 74 **ŁYSINA HIPISA**
Robert Tekieli
- 76 **POLECA**
Łukasz Adamski

PODRÓŻE

- 90 **MOJE SZLAKI: CRAIG TAYLOR**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszczyk

NA KONIEC

- 92 **JAKI SAMORZĄD CD.**
Wojciech Reszczyński
- 93 **GDULIZM SOCJOLOGICZNY**
Aleksander Nalaskowski
- 94 **ZABLOKOWALI DEMORALIZACJĘ
DZIECI, TERAZ MUSZĄ PŁACIĆ**
Jan Pospieszalski
- 95 **OPOZYCJA DEMOKRATYCZNA
CHRONI ŚWINIE**
Jerzy Jachowicz
- 96 **HISTORIA KURIOZALNA**
Ryszard Makowski
- 97 **NA TĘ OKOLICZNOŚĆ**
Leszek Długosz
- 98 **ŁÓŚ W MIEŚCIE PARKU**
Katarzyna Zybortowicz

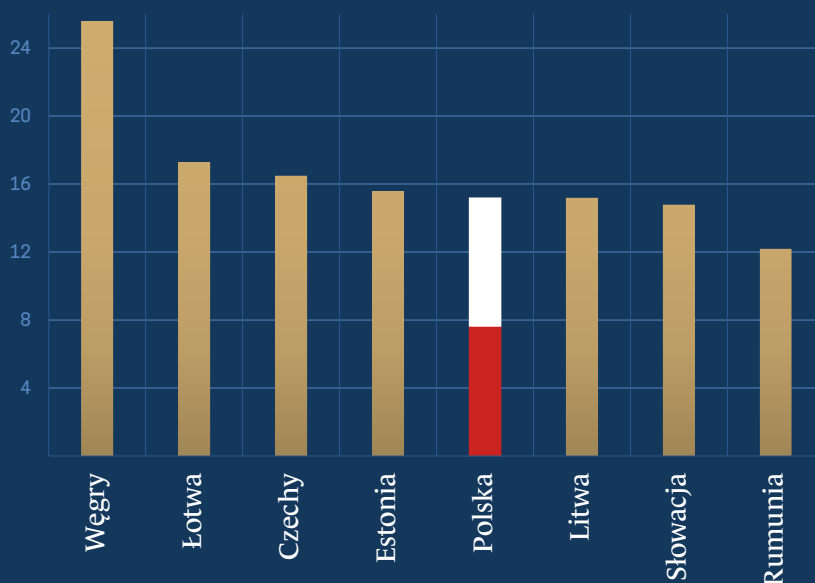


GŁÓWNE PRZYCZYNY INFLACJI:

1. Agresja rosyjska w Ukrainie
2. Pandemia i jej skutki

Obciążanie NBP i rządu winą za wysoką inflację to narracja Kremla.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej



Inflacja r/r HICP wg Eurostatu w marcu 2023 r.

prezes.nbp.pl/wywiad-inflacja

Sygnalista nadaaje



Ofał Scholz w rocznicę zakończenia

II wojny światowej powtórzył – ale już mocniej – tezę Angeli Merkel. „Przed 78 laty Niemcy i świat zostały wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu. Zawsze będziemy za to wdzięczni. 8 maja przypomina nam: nasze demokratyczne państwo prawa nie jest oczywistością. Powinniśmy je chronić i bronić go – każdego dnia” – mówił kanclerz Niemiec. To wielkie kłamstwo. Pokolenie naszych dziadków nie widziało żadnego Niemca, który by cierpiał z powodu tyranii narodowego socjalizmu. Za Hitlerem opowiedziały się ostatecznie także te grupy i klasy społeczne, które wcześniej głosowały na socjaldemokrację, centrum, a nawet komunistów. Gorliwymi mordercami byli zwykli Niemcy: robotnicy, rolnicy, urzędnicy, inteligenci. Teza o wyzwoleniu Niemców przez aliantów to fałszowanie historii.



Na wpis Scholza zareagowała **Beata Szydło**. „To bezczelność i kpina

z ofiar niemieckich zbrodni” – stwierdziła była premier, obecnie europosłanka PiS. „Prawda jest brutalna: w obliczu obojętności, a często samoogłupienia się Anglosasów, przy wiecznym zakłamaniu Rosjan, przy egocentryzmie środowisk żydowskich, przy strachu pozostałych to Polska jest dziś strażnikiem prawdy o II wojnie światowej. I powinna tę rolę przyjąć z dumą i zaangażowaniem, mówiąc jasno całemu światu, kto na kogo napadł i kto kogo mordował. Taka już nasza rola w dziejach świata, że my w kłamstwie żyć nie umiemy”.



Wypowiedź Scholza skrytykował także **Barłomiej Sienkiewicz**,

szef MSW za rządów Tuska, obecnie ważny polityk PO. „Tekst kanclerza Scholza o wyzwoleniu Niemiec przez aliantów



Redaktor Bogdan Rymanowski zapytał posłankę KO **Izabelę Leszczynę**,

dlaczego Polacy nie wierzą w gotowość opozycji do przejścia władzy – co wynika z sondaży. Odpowiedź może zachwycić: „To wy, dziennikarze wolnych mediów, bez przerwy kwękacie i mówicie: a czy ta opozycja się połączy, a czy nie, czy wygra, czy nie wygra. To wy kreujecie opinię publiczną, to wy zadajecie nam takie pytania”. Jakie pytania należy zadawać, nie wskazała. O program też pytać chyba nie można, bo – jak wiemy – nie ma i przed wyborami nie będzie. Pozostaje pogoda.

oznacza, że kanclerz stawia na równi wyzolenie więźniów obozów koncentracyjnych z Niemcami, którzy popierali Hitlera do ostatniej minuty wojny. To historyczne kłamstwo i etyczne dno. Będą problemy z takimi elitami” – stwierdził. Czyżby opozycja powoli wychodziła z „kanałów mentalnych”, w których zdawała się tkwić przez lata, ignorując groźne procesy, w których sprawie alarmował PiS? Pewności nie ma, ale nie tracmy nadziei.



Kanclerz Niemiec wygłosił też programowe wystąpienie w Parlamencie Europejskim, w którym ponowił wezwanie do zniesienia zasady jednomyślności w polityce zagranicznej i podatkowej. Argumentacja Scholza jest szokująca: „Sceptykom chciałbym powiedzieć: to nie jednogłośnieść czy 100-proc. poparcie wszystkich decyzji daje największą legitymację demokratyczną. Wręcz przeciwnie – to właśnie walka o większość i sojusze cechują nas jako demokratów. Poszukiwanie kompromisów, które uwzględnią interesy mniejszości, jest właściwym działaniem. To odpowiada naszemu wyobrażeniu o liberalnej demokracji”. I leż w tym fałszu! Zniesienie zasady jednomyślności sprawi, że mniejsze kraje, w tym Polska, w ogromnej większości spraw nie będą miały nic do powiedzenia, bo nie będą w stanie złamać siły głosu Niemiec i Francji. Nasze prawa demokratyczne w Unii – już dziś poważnie podmyte – staną się pełną fikcją. Jeśli to będzie demokracja, to raczej ludowa niż klasyczna czy nawet liberalna.



Z Scholzem polemizował europoseł PiS prof. **Ryszard Legutko**: „Gdy słyszę, że najlepszą opcją byłoby stopniowe wycofanie weta i zakaz weta w polityce zagranicznej UE, to nie wierzę własnym uszom. Polityka wobec Rosji była

najbardziej spektakularną katastrofą tych wielkich państw Unii. A ci, którzy są za nią najbardziej odpowiedzialni, chcą jeszcze więcej władzy w polityce zagranicznej. Logiką jest zatem powalająca: im więcej spraw popuszczamy, tym więcej władzy chcemy. Logika powinna być odwrotna: ponieważ zepsuliście tak wiele, to powinniśmy was bardziej kontrolować". Jak dodał, „nie ma złudzeń, że Niemcy naprawią swoje błędy – Niemcy są zbyt wielkie, zbyt mało pokorne". Rzeczywiście, o złudzenia trudno, ale opór trzeba stawiać tak zacięty, jak to tylko możliwe. Stawką jest i nasza niepodległość, i nasze bezpieczeństwo.

🔊 I jeszcze jeden cytat z wypowiedzi prof. Legutki: „Jeśli mógłby pan zaspokoić moją ciekawość, gdzie w traktatach możemy czytać o niemieckiej odpowiedzialności za Unię? Jedyna właściwa rzecz dla Niemiec to zająć tylne ławy i – tak jak wymaga higiena polityczna – pozwolić innym na działanie. Próbowali państwo, ponieśli porażkę, powinniście się wycofać. Chyba że uważają państwo, że niemieccy przywódcy są jak diamenty – wieczni". To ważne: tzw. niemieckie przywództwo to uzurpacja. Oni też to wiedzą, dlatego w przeszłości tak bardzo im zależało, by apele w tej sprawie płynęły z Warszawy. Niestety, znaleźli się głupcy, którzy – być może dla kariery – w tę zabójczą dla nas grę grzecznie weszli.

🔊 W sprawie Europy warto odnotować wypowiedź **Władysława Kosiniaka-Kamysza** w Radiu Zet, którego zdaniem, „jeśli Unia dalej będzie podążać w kierunku nakazów, zakazów, ukazów, a nie w kierunku pozytywnych rozwiązań, wsparcia, to ten kierunek jest tragiczny". Lider PSL dodał: „Jeśli UE nie zmieni swojej filozofii, nie odejdzie od bzdurnych propozycji: ograniczenia produkcji rolnej, bezwzględnego zakazu produkcji i sprzedaży silników spalinowych... UE idzie na manowce, w kierunku budowy ruchów antyunijnych i rozwalenia się i rozpadu". Czyżby coraz bardziej widoczne, motywowane ideologicznie uderzenie w europejskie rolnictwo otrzeźwiło ludowców? Jeśli to trwała refleksja, to jest to dobra wiadomość dla Polski. W obliczu tak silnych i tak gardłowych presji każde wsparcie będzie cenne.

🔊 Kanclerz Niemiec może jednak liczyć na wsparcie marszałka Sejmu **Tomasza Grodzkiego**. Jego wypowiedź w sprawie zniesienia prawa weta zdumiewa. „Dyskusja na ten temat może być ciekawa, bo jeśli spojrzymy, do jakiej tragedii doprowadziło nasz kraj *liberum veto*, czyli finalnie do rozbiorów i zniknięcia z mapy, to niewątpliwie pogłębiona dyskusja na temat zasady jednomyślności może się odbyć, ale jak znam młyny Unii Europejskiej, nie będzie to szybko i będzie poddane dogłębnej dyskusji". Już jest

tak głęboko, że dobiliśmy dna. Prawo weta to nie *liberum veto*, to tarcza chroniąca przed opresją ze strony silniejszych. Im się wszystko z wszystkim miesza – niczym niedouczone nastolatki tuż przed maturą.

🔊 Gwiazdor TVN Jakub Wojewódzki zadeklarował, że wolałby zagłosować na Konfederację niż na partię Razem. Zareagował w ten sposób na uwagę obecnego w studiu prof. Antoniego Dudka, według którego „problem się zrobi wtedy, jeżeli dojdziemy do sytuacji, w której połowa Sejmu to będzie Konfederacja, a druga połowa partia Razem. Na razie daleko nam do tego". Wówczas Wojewódzki rzucił: „To już wybór Konfederację, bo oni przynajmniej nie będą grzebać tak bardzo w moich podatkach". Coś w tym jest. Polityka dzielnego kapitalizmu, którą proponuje część Konfederacji, to polityka utrwalenia hierarchii społecznej III RP. Tam gdzie nie ma państwa, wygrywają najsilniejsi.

🔊 Wyznanie showmana skomentował publicysta Jan Śpiewak: „Wojewódzki znany z kryminalnych reklam alko i promowania patologii mówi, że będzie głosować na Konfederację, jeśli do wyboru będzie Razem, bo to lepsze dla jego portfela. Woli ruskie onuce, batożenie gejów i zakaz aborcji niż wyższe podatki dla bogatych. TVN wyhodował potwora". O tak, i to nie jednego.

🔊 Posłanka PiS Joanna Lichocka przyłapała posłów Suwerennej Polski na niezobowiązującej pogawędce z posłanką opozycji Kamilą Gasiuk-Pihowicz. Rzeczą miała miejsce tuż po głosowaniu, w którym Sejm – głosami opozycji i partii Zbigniewa Ziobry – nie zgodził się na wyrzucenie posłów SP z komisji sprawiedliwości. „Posłowie Suwerennej Polski cieszą się z posłanką Gasiuk-Pihowicz, że wspólnie wygrali głosowanie" – oceniła Joanna Lichocka, zamieszczając nagranie. Ziobryści odpowiedzieli twierdzeniem, że w rozmowie uczestniczył również poseł PiS Marek Ast. Sprawa w sumie marginalna, ale chyba lepiej nie wchodzić na tę ścieżkę. Nic dobrego dla naszego państwa z tego nie wyniknie.

🔊 Sprawę skomentował też wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta. „To wszystko [spory polityczne] jest szczerze. Jednak jesteśmy też normalnymi ludźmi i czasami po kłótni uda się zamienić sympatycznych kilka słów, zażartować, nawet z siebie nawzajem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby te uśmiechy to była wymiana złośliwości, bo czasami rozmowy w kuluarach sejmowych i tak przebiegają. Szczególnie z panią poseł Gasiuk-Pihowicz, która nagle naszej partii z pewnością nie pokochała". W całej sprawie zdumiewa pewien luz posłanki totalnej przeciwko opozycji. Czyżby świadomość, że zmiana władzy staje się mrzonką, spowodowała spadek napięcia? ➤

Motto: „Więc ochraniaj ją miłośnicie / O każdej dnia dobie / Chroni leszczynę, która rośnie / Nad Hańczę i w tobie! / Chroni tę leszczynę / Co wciąż od nowa / Prostuje się zjadła / Trzeba by cały las wykarczować / Żeby padła” (Wojciech Młynarski „Moje ulubione drzewo”)

Tłuczek z leszczyny

Halo? Tak, to ja, jes, ofkors, oczywiście, że spiking, jak najbardziej, ale możemy po polish, jes. Słucham? Kenju ripit? To znaczy powtórzyć? Skąd? Proszę przeliterować: L jak Leszczyna, A jak Arlukowicz, N jak Nowacka, D jak Donald, Y jak Yeti, N jak Nitras, okej, zapisałam. Landyn? Ale nie ma takiego miasta, jest Łądek-Zdrój. Gdzie? W Anglii? No, to co mi pan nie mówi, to ja muszę oszacować!

Przepraszam, bo ja akurat schabowe tłukę. Nie na niedzielę, no, gdzie, na kampanię. Taką akcję teraz mamy: ratuj świnię czy coś, to siedzę i tłukę, jak ten biedny Donald głową w mur, w sensie szklany sufit. Koleżanki w tym czasie filmy nagrywają albo z kotлетem na widelcu, albo pluszowymi prosiakami, zresztą muszę panu powiedzieć, że pięknie się wkomponowała koleżanka Wcisło z tymi świnkami, bo ona nawet warkocz ma taki rolniczy, a my teraz potrzebujemy głosów na wsi jak tlenu.

Gorzej z koleżanką Okłą-Drewnowicz. Tak się na tę wieprzowinę podpałiła, że do prawdziwego koryta pobiegła, co przez niektórych zostało odebrane jako metafora naszej polityki w ogóle. I jeszcze ten fartuch jak na epidemię, choć przy korycie tylko trzy osoby były. To znaczy: osoboświnie, bo przecież one też czują. Choćby to, że za naszych rządów liczba świń spadła o jedną trzecią, a jednocześnie świństw było trzy razy tyle. Ja akurat w finansach trochę siedziałam, i to na szczeblu wyższym od siebie. Sekundkę, tylko sobie kotlety przewrócę i już się w słuch zamieniam, w jakiej sprawie pan dzwoni z tego Landyn?

Skąd? A co to jest za organizacja? Cemu pan tyka? Że czas ucieka? Aha, „tink-tank”, nie „tik-tak”. Ile to ma kalorii? Czego, przepraszam? Nie, proszę pana, nie słyszałam. Tak, byłam wiceministrem finansów Poland. A skąd ja mam wiedzieć, czemu uchodzę za ekspertkę? Proszę pytać tych, co mnie tak widzą. Proszę pana, bez takich uwag, ja jestem zapraszana na wszelkie konferencje ekonomiczne organizowane nie tylko przez naszą partię. A skoro zapraszają, to trzeba jeździć i krzewić ziarno wiedzy. Jak to jakiej? Czy pan jest głuchy? Eno-ko-micz-nej! Słucham? A co ja powiedziałam? O jejku, jejku. Coś jeszcze? Tak, to był mój



KRZYSZTOF FEUSETTE

projekt. Tak jest, antyinflacyjny. Tak jest, proinflacyjny, ale po jego wprowadzeniu wprowadzimy drugi antyinflacyjny. Zresztą ja panu naszego programu przybliżyć nie będę, bo konkurencja ukradnie. Proszę pana, jeśli mnie buławę premiera z torebki wyrwali? Program jest prosty: stawiamy na kompetencję i uczciwość. Ja już dawno mówiłam, jeszcze jak koleżanka Kidawa-Błońska przekraczała próg pięcioprocentowy, że Polacy nie są gotowi na polityka krystalicznie uczciwego. Dlatego musiał wrócić Donald. Przepraszam, tylko sobie kotlety odwróć...

Słucham? No, nie wiem, na razie tłukę. Wie pan, co mnie boli najbardziej w PiS-owskiej Polsce? Kiedyś człowiek, jak rodzinę na obiad zapraszał, to przynajmniej wiedział, że polską świnie tłucze, a teraz? Skąd ja mogę wiedzieć, czy ja niemieckiej nie okładam, a wie pan, co by było, gdyby to się rozniosło? Promocja była, to kupiłam na fakturę, w kampanii wszystko się przyda, zwłaszcza że do ośmiu gwiazdek pasuje. A czemu dwanaście? Na unijnej fladze? Nie, no, jaja pan sobie robi? Widzi pan, a ja tak strzeliłam z tymi gwiazdkami, bo u nas to już nawet kolega Budka takie torty dostaje na urodziny. Nawet się śmiałam, że osiem lat to on będzie miał dopiero w przyszłym, jak z krótkich spodenek wyrośnie. Myślałam, że się ze śmiechu popłaczę, już jak liderem chciał być. Ja od początku na Donalda

stawiałam. On pierwszy we mnie zobaczył nie tylko człowieka, ale i ekonomistkę. I to też nie byle po studiach, ale poważną ekspertkę. Proszę pana, gdzie ja, polonistka, mogłam marzyć, że mnie się to studium podyplomowe z audytu w spółkach kiedyś przyda? Otworzyły się wrota historii i już byłam odpowiedzialna za finanse państwa. Przecież jak ministra Rostowskiego nie było, bo „piniendzy” szukał, których nie było, to wszystko było na mojej głowie! Słucham? A, to już trzeba pytać tych, którzy mnie w to wpakowali. Ała... Ojej... Czy możemy przerwać? Po prostu tłuczkiem się w palec uderzyłam. Bo też zadajecie takie durne pytania! Bez przerwy tylko „jedna lista” i „jedna lista”! Tak, mówiliśmy, że bez niej nie damy rady, a teraz, że damy. O, właśnie tak kwękolicie! Niech mi pan nie przerywa, bo ja panu nie przerywałam, a ja się pana nie boję! Teraz ja mówię! Ble, ble, ble... Powiem panu krótko: żebym miała teraz pana pod ręką, tobym z pana sznycel zrobiła! I pan mnie też! Znalazł się, Landyn Sity, w mordę bity. Nawet „farelel, miss Iza” nie powiedział. Cholera jasna, kiedy oni te kotlety odbiorą? Przecież mnie już od tego tłuczenia głowa boli.

To musiało się wydarzyć. Bogusław Sonik ogłosił swoje rozstanie z Platformą Obywatelską. Jak wyjaśnił w Radiu RMF FM, to efekt nałożenia się dwóch czynników: od dawna czuł się wypychany, ale także sam miał dość już atmosfery w partii. Gołym okiem było widać, że polityk nie pasował do PO. Zbyt często mówił w mediach to, co myśli, i dystansował się od linii partii. A po tym, gdy Donald Tusk zapowiedział, a Marcin Kierwiński potwierdził, że na listach Platformy nie ma miejsca dla przeciwników aborcji, rozstanie Sonika z partią było tylko kwestią czasu.

„Nie jesteśmy gotowi na polityka zupełnie uczciwego, na polityka, który nie kalkuluje, nie kombinuje, tylko po prostu mówi, jak jest” – mówiła w TOK FM Izabela Leszczyna, gdy PO dokonała podmiany kandydata w wyborach prezydenckich z Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego. I wygląda na to, że posłanka Leszczyna miała rację, bo PO wciąż nie jest gotowa na polityka zupełnie uczciwego, który nie kalkuluje i mówi, jak jest. A takim politykiem jest Bogusław Sonik.

„Cenię sobie niezależność myślenia. Nie jestem w stanie powtarzać ogólników, sloganów, staram się zachować wewnętrzną wolność i uczciwość, mieć własne spojrzenie na świat i politykę. Tak będzie zawsze” – mówił mi Bogusław Sonik w wywiadzie, który kilka miesięcy temu opublikowaliśmy w tygodniku „Sieci”. „Po tym jak Grzegorz Schetyna przestał być szefem Platformy Obywatelskiej, partia zaczęła dołować w sondażach, zaczęła dryfować. Pojawiły się wewnętrzne spory i krytyka, która wypływała na zewnątrz. Przykładem tego był list kilkudziesięciu posłów domagających się zmian, zaadresowany do ówczesnego szefa PO Borysa Budki. Wtedy przyplłynął okręt z Donaldem Tuskiem i uspokoił te wzburzone fale. Z tego powodu większość członków PO cieszy się z powrotu kapita. Udało się zatrzymać odpływ elektoratu i członków PO do Szymona Hołowni, a nawet część sympatyków wróciła. Podobnie jak wiara, że możliwe jest zwycięstwo. Ten ostatni rok pokazał jednak, że nawet z Donaldem Tuskiem na czele nie udało się wrócić do daw-

Nie ma miejsca dla uczciwych

Bogusław Sonik, chcąc pozostać wiernym swoim poglądom, musiał pożegnać się z Platformą

przejęcie władzy, lecz także opowiada się za życiem. Chcąc pozostać wiernym swoim poglądom, musiał pożegnać się z partią, ale liczę, że nie pożegna się z polityką, bo ta potrzebuje ludzi uczciwych, odważnych, z silnym kręgosłupem moralnym.

Gdy okazuje się, że w PO nie ma miejsca na przeciwników aborcji, warto tu przypomnieć, że wciąż obowiązuje deklaracja ideowa PO z 21 grudnia 2001 r., a nowa dotąd nie powstała. Wówczas PO była formacją odwołującą się do wartości konserwatywno-liberalnych, republikańskich i chrześcijańsko-demokratycznych. Punkt drugi tego dokumentu to „Fundament wartości”. Co tam zapisano?

„Fundamentem cywilizacji Zachodu jest Dekalog. Wierzmy wspólnie w trwałą wartość norm w nim zawartych. Nie chcemy, by państwo przypisywało sobie rolę strażnika Dekalogu. Ale państwo nie może pozwalać, by jedni – łamiąc zawarte w nim zasady – pozbawiali w ten sposób godności i praw innych albo deprawowali tych, którzy nie dojrżeli jeszcze do pełnej odpowiedzialności za swoje życie. Dlatego zadaniem państwa jest roztropne wspieranie rodziny i tradycyjnych norm obyczajowych, służących jej trwałości i rozwojowi. Dlatego prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo, zakazując również eutanazji i ograniczając badania genetyczne” – czytamy w deklaracji krakowskiej.

Donald Tusk czym prędzej powinien ogłosić, że ten dokument od dawna już nie obowiązuje. Choć to akurat widać gołym okiem.

Dorota Losiewicz





Arktyczna alternatywa

Chiny

Władimir Kuliszow, dowodzący rosyjską strażą ochrony wybrzeża, służbą będącą częścią FSB, poinformował o podpisaniu memorandum o współpracy z chińskimi siłami odpowiadającymi za ochronę granicy.

W dokumencie znajdują się zapisy mówiące o „partnerstwie strategicznym” i „aktywnym promowaniu współpracy organów ścigania na morzu”, co może oznaczać, że chińscy pogranicznicy będą obecni na rosyjskich wodach terytorialnych od granic Norwegii do Dalekiego Wschodu. Świadczy o tym również fakt, że wzięli oni udział w przeprowadzonych równolegle przez Rosjan w okolicach Murmańska ćwiczeniach służb, których zadaniem jest walka z terroryzmem na morzu. Współpraca Moskwy z Chinami ma dotyczyć nie tylko kwestii bezpieczeństwa, lecz także budowy w chińskich stocznich lodolamaczy dla Rosjan oraz bardziej zaawansowanych przedsięwzięć w rodzaju dostaw z Chin czterech pływających elektrowni atomowych, które są niezbędne, by myśleć o eksploatacji złóż węglowodorów zlokalizowanych za kręgiem polarnym. Równolegle w Murmańsku z chińskim konsulem generalnym na temat wspólnego rozwoju Północnej Drogi Morskiej rozmawiał gubernator Andriej Czibis.

To ożywienie kontaktów jest wynikiem niedawnego spotkania Putina i Xi Jinpinga w Moskwie, a rosyjskie media piszą otwarcie, że wzrost obecności Chin na dalekiej północy ma wymiar strategiczny. Chodzi o zagwarantowanie dostaw surowców dla Chin w sytuacji, gdyby inne szlaki żeglugowe zostały zablokowane przez państwa Zachodu.

Chińska straż przybrzeżna jest drugą pod względem liczebności formacją tego rodzaju na świecie, a o ambicjach Pekinu świadczą przeprowadzone w ub.r. wspólne z Rosją manewry morskie u wybrzeży Alaski, które zaniepokoiły Amerykanów. Podpisana deklaracja świadczy też o istotnej zmianie w polityce Rosji, której władze do tej pory z niechęcią patrzyły na arktyczne aspiracje Pekinu. Chiny kilka lat temu ogłosiły się państwem przyarktycznym i wystąpiły o status obserwatora w międzynarodowej Radzie Arktycznej, ale ich aktywność w regionie ograniczała się do misji badawczych lodolamacza Arktyczny Smok. Teraz w obliczu osłabienia i dyplomatycznej izolacji Rosji w wyniku wojny Pekin uzyskał nowe możliwości.

Marek Budzisz



Fala przemocy

Serbia

Dwa masowe morderstwa, w tym jedno w szkole podstawowej, wstrząsnęły Serbią i mogły doprowadzić do poważnego kryzysu zagrażającego władzy prezydenta Aleksandra Vučića.

Najpierw 3 maja 14-letni Kosta K. zabił ochroniarza oraz ośmiu kolegów ze szkoły w Belgradzie. Kiedy Serbia wciąż dochodziła do siebie po tym morderstwie, kilka dni później 21-letni Uroš B. z miejscowości Mladenovac zabił kolejnych osiem osób.

W przypadku pierwszego zabójstwa wszystko wskazuje na to, że Kosta był ofiarą przemocy w szkole, a powodem jego działania była zemsta. Na podobne motywety wskazał drugi morderca – Uroš B., który powiedział policji, że zaczął zabijać, ponieważ był poniżany.

Fala bezsensownych zbrodni wywołała z jednej strony dyskusje o stanie społeczeństwa serbskiego, z drugiej zaś – żądania odpowiedzialności politycznej. W dyskusjach tych dominowały ostrzeżenia przed kulturą przemocy promowaną przez media. Podkreślono, że wzorem do naśladowania dla młodzieży coraz częściej stają się gangsterzy i wystosowano petycję w sprawie likwidacji prywatnych stacji telewizyjnych, takich jak Pink i Happy, których koncepcje opierają się na programach typu reality show.

Fala niezadowolenia uderzyła też w stronę prezydenta Vučića, alfy i omegi serbskiej polityki. Jego reakcją na wydarzenia w Serbii było wysłanie policji do wszystkich szkół i zapowiedź walki z nielegalną bronią, której wciąż jest bardzo dużo w rękach Serbów. Vučić poświęcił też swojego ministra edukacji Branko Ružicia, który po tragedii w Belgradzie oświadczył, że morderstwa są skutkiem ekspansji wartości zachodnich, a potem złożył dymisję. Jednak nie uspokoiło to nastrojów.

W zeszłym tygodniu na ulice Belgradu wyszli demonstranci – według niektórych doniesień nawet 50 tys. – domagających się dymisji Vučića. Prezydent odrzucił te żądania, przedstawiając je jako działanie opozycji, która chce wykorzystać tragedię, by go usunąć. Serbski prezydent miał już dość problemów po tym, jak społeczność międzynarodowa wzmogła presję, by doszedł do porozumienia z Kosowem i nałożył sankcje na Rosję. Teraz znów czekają go trudne tygodnie.

Goran Andrijanić



Czechy

Zwrotu mienia nie będzie



Czeski Trybunał Konstytucyjny wydał głośny wyrok. Sędziowie stosunkiem głosów 2:1 uznali, że rodzinie Liechtensteinów, wywłaszczonej w 1945 r. przez rząd Czechosłowacji, nie przysługuje zwrot majątku.

W 1945 r. na podstawie dekretów prezydenta Beneša pozbawiono mienia wszystkie osoby pochodzenia niemieckiego. Znacjonalizowano także ziemie i posiadłości należące do panującej w Liechtensteinie dynastii. Jej członkowie nie byli obywatelami Niemiec, nie współpracowali z Hitlerem, nie uznawali marionetkowego Protektoratu Czech i Moraw, a nawet wspomagali finansowo czechosłowacki rząd na uchodźstwie w Londynie. Choć przez całą wojnę pozostawali lojalni wobec Czechosłowacji, zostali przez władze w Pradze potraktowani tak samo jak niemieccy kolaboranci. Odebrano im majątek, w tym stare zabytkowe zamki i 50 tys. ha lasów (dla porównania: cała powierzchnia księstwa Liechtensteinu liczy 16 tys. ha).

Z powodu tych konfiskat rząd w Vaduz nie utrzymywał kontaktów dyplomatycznych z komunistyczną Czechosłowacją, a oficjalne relacje z Czechami i ze Słowacją nawiązał dopiero w 2009 r. Nigdy nie zrezygnował jednak z roszczeń do utraconego mienia. Sprawa oparła się w końcu o Trybunał Konstytucyjny w Pradze, który ostatecznie odrzucił skargę Liechtensteinu. Jeden z sędziów TK przyznał co prawda, że właściciele zostali ograbieni, ale stwierdził zarazem, że czas naprawiania krzywd i dochodzenia sprawiedliwości minął w 1948 r. Inny z sędziów (jedyne, który miał odrębne zdanie) skomentował wyrok znamienym porównaniem. Powiedział mianowicie, że o niektórych bankach mówi się, że są zbyt duże, by upaść. Podobnie jest z majątkiem Liechtensteinów, który jest zbyt duży, by go zwrócić. Jego zdaniem, chociaż wszystkie argumenty prawne przemawiały na korzyść wywłaszczonej dynastii, o wyroku ostatecznie zdecydowały względy pozaprawne. Media w Vaduz skomentowały orzeczenie stwierdzeniem, że rodzina Liechtensteinów została ograbiona po raz drugi, tym razem przez Trybunał Konstytucyjny.

Grzegorz Górny



Demograficzny dżihad

Maroko

Jeśli istnieje kraj, który na globalizacji zyskuje w zawrotnym tempie, to jest nim z całą pewnością Maroko. Wysoka pozycja marokańskiej ekipy na mundialu i jego rola w słynnej „Katargate” zwróciły oczy świata na ten mały, ale skutecznie rozgrywający także w geopolityce skrawek Maghrebu.

Donald Trump przypomniał trzy lata temu, że Maroko było pierwszym krajem, które uznało niepodległość USA już w 1777 r. i zapewne ten akt odwagi nigdy nie będzie mu zapomniany. Ale odwieczna przyjaźń z Ameryką to nie jedyny atut królestwa Alawitów. Wzrasta znaczenie Maroka, a zniesienie granic wewnątrz Unii uczyniło go bramą łączącą świat arabski z Europą.

Dla sąsiedniej Hiszpanii, a także dla UE i USA Maroko jest jednym z kluczowych partnerów w kwestiach bezpieczeństwa: czyli kontroli granic i eliminowania siatek dżihadystów. Ma być też producentem „zielonego gazu”, czyli energii przyszłości dla Unii. A jednak kapryśne zarządzanie „kurkiem z imigrantami z Afryki” przez króla Mohameda VI budzi panikę w państwach południa Unii. Nawet rekordowy pakiet o wartości 500 mln euro przyznany przez UE dla Rabatu w zamian za powstrzymanie imigracji, nie zaradzi problemom, bo zwyczajnie stwarza je samo Maroko.

Stycziowy atak dżihadystów na kościół w Hiszpanii został dokonany przez „samotnego wilka” z Maroka, choć ten kraj zobowiązał się chronić Europę przed islamistami. Podobne ataki zdarzają się zresztą coraz częściej, ale nie są nagłaśniane.

Siatki dżihadystów zachęcają do osiedlania się w Hiszpanii, pobierania zasiłków i walki o dawny Al-Andalus. Nieprzerwany napływ marokańskich imigrantów budzi obawy Hiszpanów, tym bardziej że zarejestrowanych jest ich już blisko milion, a wciąż słychać głosy polityków Maroka zgłaszających pretensje terytorialne do Ceuty i Melilli, a nawet do Wysp Kanaryjskich. W dodatku król Mohamed VI zbroi kraj na potęgę w wyścigu zbrojeń z Algierią, kupując od USA i nowego sojusznika – Izraela – nowoczesne uzbrojenie.

Trudno jednak ukryć, że Maroko od dawna wprowadza w czyn swoje marzenie o ekspansji i to najzupełniej pokojową metodą: demografią. Zarówno Francja, jak i Hiszpania to dom dla milionów Marokańczyków, których nie trzeba namawiać do rodzenia dzieci. Przewodniczący senatu Maroka wezwał ostatnio liczną diasporę w Hiszpanii, by angażowała się w tamtejszą politykę i kandydowała w list w najbliższych wyborach. Niektórzy już zabrali się za kampanię wyborczą, przekonując Katalończyków do głosowania na siebie, tyle że w swoim ojczystym języku – arabskim. Spieszmy się zwiedzać Hiszpanię, chrześcijańska Europa odchodzi tak szybko.

Małgorzata Wołczyk

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Uwaga! W Polsce są Polacy!

W pochlebnej dla nas wymianie dziennikarskich wrażeń z Polski pojawiło się zaskakujące spostrzeżenie gościa z Hiszpanii, że „za każdym razem, kiedy odwiedza Warszawę, najbardziej uderza go to, że w Polsce są Polacy”. Nieco zabawna, ale raczej krzepiąca opinia. Cudzoziemcy doceniają, że pilnujemy swojej polskości, bo jest ważną wartością w zamęcie pogubionych pojęć. Polskość jest normalnością! Jesteśmy liderami Europy narodów. Tylko taka konstrukcja tej wspólnoty ma sens. Europa kosmopolitycznych eurokratów nie ma przyszłości. Prędzej czy później runie, bo jest konstrukcją fałszywą. Nie po to 40 narodów od paru tysięcy lat rozpychało się na tym półwyspie Azji, szukając dla siebie miejsca, żeby z niego lekkomyślnie rezygnować. Chodzi o miejsce nie tylko topograficzne, lecz także kulturowe, religijne, mitologiczne i każde inne, sportowe, kulinarne itd.

Atrakcyjnością Europy jest jej bajeczna różnorodność. Zarządzający obecnie kontynentem Centralny Komisariat Brukselski niebezpiecznie prowadzi nas w stronę prostackiej urawniłowki,



**Jan
Pietrzak**

nażbyt dobrze znanej z nieszczęsnych czasów sowieckich. Nie ma ważnych powodów, by Europejczycy nie mogli jeść, co im się zachce, jeździć, czym potrafią, tańczyć swoje hołubce, śpiewać swoje trele-morele itd. Europejczycy nie są idiotami. Nie scedują swojego stylu życia na rzecz fałszywych klimatologów czy klimaterynych mędrków. Choć czasami, niestety, dają się łatwo nabierać.

Dzięki informatycznym technologiom rozplenili się na publicznej scenie prestidigitatorzy „głodnych kawalków”. Jak udający przywódcę, komicznie niezdarne kanclerze. Ostatnio dziękował wyzwolicielem, którzy uwolnili Niemców od nazistów! Ktoś mu powinien uświadomić, że naziści byli Niemcami i odwrotnie. Może Tusk się odważy? Obywatel polski, poddany niemiecki. Ten ma bajer! Zrodził się projekt podłączenia Tuska do urzędu zwanego wariografem. To jest technicznie możliwe, a wyborcy chcą wiedzieć, kogo wybierają. Bo w Polsce mieszkają Polacy, jak zauważył bystry Hiszpan, którzy nie życzą sobie obcej władzy.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Ruskie

U znajomego na profilu w mediach społecznościowych odbyła się zabawna – choć w sumie poważna – dyskusja natury językowo-politycznej. Otóż ów kolega napisał, że robi farsz do pierogów ukraińskich i zaraz ktoś skomentował, że nie ma takich pierogów, są pierogi ruskie. Racja, bo przecież Ruś to także historyczne tereny obecnej zachodniej Ukrainy. No więc pierogi ruskie wcale nie są rosyjskie, jak się profanom wydaje, tylko lwowskie, halickie, bełskie (ale i polskie: przemyskie i chełmskie).

We wspomnianej internetowej dyskusji ktoś napisał, że ostatnio w sklepie zapytał się ekspedientki, czy są ruskie pierogi, a ona odpowiedziała: „U nas proszę pana żadnych ruskich nie będzie, są za to ukraińskie”.

Sytuacje tak dramatyczne jak agresja Rosji na Ukrainę zachęcają do językowych wygibasów. Całkiem oderwanych od tradycji i historii. Niszczących tkankę kulturową. Jednym z objawów tej hiperpoprawności jest odrzucenie słowa „ruski”. Ludzie niewykształceni, niepojmujący, co oznaczają słowa „Ruś” i „ruski”, są gotowi – demonstrując swoją polityczną poprawność, a przy okazji ignorancję i brak wykształcenia – odrzucić pojęcie, które polskiej mowie towarzyszą od wielu setek lat.



**Dominik
Zdort**

Wstępem do niszczenia językowych tradycji było napiętnowanie określenia „na Ukrainie”. Jakiś oderwany od kultury polskiej ideologiczny działacz uznał, że trzeba mówić „w Ukrainie”, bo tradycyjna forma („na Ukrainie”) miałaby oznaczać, że uznajemy ten kraj za kolonię, za część Polski. Hm, fajnie to by było, gdybyśmy także byli kolonizatorami Węgier, Cypru czy Tajwanu (no bo wiadomo, Białoruś czy Litwę od zawsze kolonizujemy, ale jakoś Estonii nie, tym bardziej Wielkopolski ani Małopolski). Mówić i pisać „w Ukrainie” oczywiście można, zdarzało się, że w dalekiej przeszłości kilku autorów używało tej formy. Ale przyjęła się inna i dziś jej zmienianie to psucie języka.

Wracając do kwestii pierogów. Moja znajoma Ukrainka, od wybuchu wojny na stałe rezydująca w Polsce, jest przez niektórych Polaków nazywana „Ruską” i wcale nie dlatego, że ma coś wspólnego z Rosją, bo pochodzi ze Lwowa, po rosyjsku gadać nie chce, a Ukraińców ze wschodu nie nazywa Ruskimi, ale Moskalami.

Może już czas, żebyśmy zrozumieli, że Ruś to nie Moskwa. Ruś ma nie tylko imperialne oblicze Putina, lecz także przestarze, wywodzące się z Kijowa dziedzictwo władcy Ruryka pochodzącego ze Skandynawii.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

W kleszczach nierzeczywistości

Andrzej Zybertowicz należy do nielicznej grupy uniwersyteckich humanistów, którzy nie satysfakcjonują się politpoprawnymi oraz środowiskowymi frazesami i usiłują odsłonić realność naszego świata. Nawet w tej zbiorowości jest jednak postacią wyjątkową zarówno z powodu jakości swoich analiz, jak i republikańskiej postawy, która każe mu angażować się w sprawy publiczne. Podejście to przysporzyło mu już wielu kłopotów i procesów, gdyż moi tego świata – a zwłaszcza naszego kraju – bronią swojego obrazu rzeczywistości, który uzasadnia ich pozycję nie tylko w posłusznych sobie mediach, lecz także na sali sądowej. Skazanie Zybertowicza za „niewłaściwe” interpretacje wypowiedzi Michnika czy genezy okrągłego stołu otwierają długą listę hańby Temidy III RP. Kompromitacją jej uniwersyteckich środowisk było blokowanie Zybertowiczowi tytułu profesorskiego wyłącznie z powodów politycznych.

Jego ostatnia książka, wywiad rzeka, który przeprowadził z nim Jarema Piekutowski, zatytułowana „Cyber kontra real. Cywilizacja w techno-pulapce”, jest poświęcona procesowi, który zdaniem socjologa stanowi dziś największe zagrożenie dla ludzkości: lawinowemu rozrostowi nowych technologii spod znaku Big Tech.

Można uznać, że postęp techniczny zawsze był zjawiskiem niekontrolowalnym, a więc samoczynnym. Współcześnie jednak – zwłaszcza od momentu upowszechnienia internetu oraz postępu technologii zwanych sztuczną inteligencją – osiągnął tempo niespotykane wcześniej i zasadniczo przeobraża nasz świat. Jak mówi Zybertowicz: „Nie wykluczam, że żyjemy w ostatnim momencie, w którym człowiek może jeszcze odzyskać kontrolę nad technologią”.

Nowe technologie rozwijają się szybciej, niż bylibyśmy w stanie przewidzieć, ale jednocześnie zaprzeczają pokładanym w nich nadziejom. Internet miał być wielką agorą, która będzie sprzyjać porozumieniu, doprowadzi do uzgodnienia odmiennych stanowisk i pozwoli wypracować podstawy powszechnego dobra. Stał się polem walki coraz bardziej wrogich sobie plemion, które nie cofają się przed niczym, by zniszczyć przeciwnika. Miał cywilizować relacje międzyludzkie przez umożliwienie ogromnej liczby kontaktów i konfrontacji stanowisk, prowadzi zaś do barbaryzacji obyczajów pod osłoną anonimowości, uwalniając zachowania wcześniej kielznane przez tradycyjne normy. Miał otwierać się na całą istniejącą wiedzę, a więc zwielokrotnić intelektualne możliwości ludzi jako jednostek i zbiorowości. Stał się gigantycznym śmietnikiem, w którym mało kto potrafi się orientować i zamiast porządkować oraz rozszerzać nasze poznanie, generuje chaos intelektualny i zagubienie. Miał

zblizać do siebie ludzi oraz ułatwiać im kontakty. Okazało się, że czyni tak wyłącznie pozornie. Internetowe czaty nie potrafią zastąpić spotkania twarzą w twarz, a jednocześnie coraz bardziej je utrudniają. Relacje ludzkie nie mogą sprawadzać się wyłącznie do językowo-intelektualnej wymiany. To dopiero bezpośredni kontakt budzi w nas empatię. W efekcie infosfera prowadzi do pogłębiania samotności, uderza w sprawdzony system międzyludzkich układów, podważa rodzinę i znane nam wspólnoty.

Nowe technologie okazują się doskonałym systemem kontroli ludzkich zachowań i dają nieznana wcześniej potęgę swoim dysponentom. Kumulują w ich rękach rozproszone wcześniej elementy władzy, a więc grożą niespotykanymi dotąd możliwościami panowania nowej oligarchii.

To wszystko, odwołując się do ogromnej liczby przykładów i specjalistycznych analiz, w sposób jasny i przekonujący demonstrowa w swojej książce Zybertowicz. Pokazuje, jak obecna odłona technologicznego postępu niszczy sprawdzone formy ludzkiej egzystencji, pozostawiając nas bezbronniymi wobec anonimowych sił rządzących współczesnym światem.

Czy niekontrolowana erupcja nowych technologii ze swoim destrukcyjnym potencjałem nie tyle jest przyczyną zjawisk opisywanych przez Zybertowicza, ile sama jest skutkiem rozmontowania kultury zachodniej przez lewicowo-liberalne ideologie? Od odpowiedzi na to pytanie zależą środki zaradcze, które przyjąć trzeba wobec cyberzagrożenia. Czy przede wszystkim należy poszukiwać ich w sferze prawno-politycznej, jak uważa Zybertowicz, czy – nie zaniedbując tych działań – powinniśmy się skupić na odbudowie znanej nam, a więc tradycyjnej cywilizacji?

Wprawdzie autor „Cyber kontra real...” widzi te związki, na co wskazuje eksponowana przez niego przy osobistym agnostycyzmie postawa kulturowego chrześcijanina czy dowartościowywanie tradycyjnych form cywilizacji, niemniej dylemat pozostaje zasadny. Niezależnie od tego książka Zybertowicza pozostaje ciągle wyjątkową diagnozą zagrożeń, które podmywają porządek naszego świata i głosem rozsądku wobec nadciągającej apokalipsy.





Walizka Justyny Kisielewicz

malarki



Dużo podróżuję i najczęściej są to wielogodzinne loty transatlantyckie. Moje wyjazdy są głównie inspirowane sztuką. To właśnie dzięki malarstwu zostałam zaproszona do Stanów i osiedliłam się w Dolinie Krzemowej. Obecnie mieszkam w Miami. Latam na otwarcie wystaw, a także na spotkania z kolekcjonerami, którzy kupując moje obrazy, chcą mnie osobiście poznać. Poza wystawami w kilku stanach USA miałam indywidualne wystawy w Australii, Niemczech, no i w Polsce. Teraz znowu jestem w Warszawie z okazji wystawy w galerii Test absolwentek śp. prof. Doroty Grynczel. To była ważna okazja, żeby pojawić się po 4 latach w kraju i pokazać, co teraz robię.



CHUSTY HERMÈS

Podczas długich lotów można raz zmarznąć, raz się zagrzać, dlatego fajnie mieć się czym przykryć. W połączeniu z białymi T-shirtami, które są moją odzieżową podstawą, łatwiej się zapakować, a dzięki chustom w razie potrzeby nadać im elegancki wieczorowy charakter.

BIAŁE T-SHIRTY

Są bardzo uniwersalne. Można je włożyć rano na spacer z psem, na biznesowy lunch czy kolację z klientem. „The Wall Street Journal” co jakiś czas publikuje listę marek najlepszych białych T-shirtów, jakie można dostać.



Fot. Andrzej Wiktor



CARTIER TANK

Kultowy. Jest to forma mojej konwersacji z artystami, którzy nosili ten model. Miał go Andy Warhol, Yves Saint Laurent, księżna Diana, David Hockney...



MÓJ ANIOŁ

Wszędzie ze mną podróżuje. Z uwagi na pewną moją chorobę zapewnia mi wczesny system ostrzegania. Tę umiejętność posiadam po dwuletniej tresurze, dzięki czemu jest licencjonowanym psem asystującym i może za darmo latać liniami lotniczymi poza klatką, na moich kolanach.



PIŁECZKA

Charlie łączy cechy psa i kota, więc nikogo nie powinna dziwić piłeczka, która jest przeznaczona dla kotów. Ona pachnie domem, więc pieseczek wszędzie czuje się jak u siebie.



OKULARY

Z jednej strony mój artystyczny image, z drugiej pozwala mi się trochę ukryć.



KOSMETYKI

Marki Diptyque. Bardzo stara perfumeria, której stałym klientem był Karl Lagerfeld. Ponieważ w domu na co dzień używam tych zapachów, ich miniaturki normalizują moje podróże.



KAWA

Niektórzy piją kawę żeby wstać, ja wstaję po to, żeby napić się kawy. Moja kawa musi być dark roast, full bodied! To nie jest jakaś zabawa z mlekiem dla dzieci, to jest po prostu krew szatana.



CIASTEczKA

Mam celiakię, więc ciasteczka są bezglutenowe.



SŁUCHAWKI

Do wyciszenia hałasu. Lubię także słuchać audiobooków podczas malowania obrazów... czy ich wyszywania, które jest niezmiernie czasochłonne. Ostatni obraz szydełkowałam cztery miesiące.



KREDKI

Dla artysty pewnego rodzaju krzyżem jest studio, które musi z sobą wozić. Moim ulubionym medium oprócz farb olejnych są kredki

Luminance Caran d'Ache. Są dalekie od tego, czym się rysowało, a właściwie żłobiło papier za dzieciaka. Moje obecne kredki nie tylko mają nieskończoną liczbę kolorów, lecz także dodatkowo pozwalają na łączenie barw.

NOTESY

Mam szkicownik większy i mniejszy. Rysuję jednostronnie, na przypadek gdyby jakimś kolekcjonerowi spodobała się praca. Wtedy tylko odczepiam kartkę i oprawiam.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Huzarzy Śmierci



Napłynęły nowe informacje o Polskim Korpusie Ochotniczym walczącym na Ukrainie po stronie Kijowa. Składa się z dwóch grup bojowych. Jedna walczy na odcinku zaporoskim. Ostatnio pod Orehowem, w akcji przeprowadzonej razem z Rosyjskim Korpusem Ochotniczym oraz oddziałami Sił Zbrojnych Ukrainy (SZU), udało się wykonać zadanie „celująco, bez strat własnych”. „Było to pierwsze zadanie tej grupy, gdzie nasi chłopcy zostali wysoko ocenieni przez dowództwo” – napisali na Telegramie. Z kolei druga grupa bojowa Polaków walczy samodzielnie w okolicy Bachmutu, gdzie toczą się zacięte walki. „Ale o tym [...] dopiero po zakończeniu aktywnych działań sił armii ukraińskiej” – dodali. Polski Korpus Ochotniczy powstał 19 lutego. Wtedy zaczęto formować jednostkę z naszych ochotników już walczących na Ukrainie w Legionie Międzynarodowym i SZU. Jednostka specjalizuje się w wykonywaniu zadań typu rozpoznawczego i dywersyjnego. Podlega pod ukraiński wywiad wojskowy HUR. Nazywają się Huzarzy Śmierci, jak byli dywizjon kawalerii z wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., który w czasie działań wojennych nie przegrał żadnej bitwy ani potyczki z Armią Czerwoną. Ich patronem został por. Józef Siła-Nowicki, ówczesny dowódca Huzarów Śmierci. W oddziale tym walczył również ojciec legendy polskiej адвокатуры, czyli mecenasa Władysława Siły-Nowickiego, Aleksander. Barwy jednostki stanowi jak niegdyś białe-czarny proporczyk z przypiętą trupa głową na tle Krzyża Żelaznego. Znak, że wybierają śmierć zamiast niewoli.

Nawiązując do symboliki Huzarów Śmierci, niewątpliwie jest ona pochodzenia niemieckiego. Trupa głowa na tle Krzyża Żelaznego pochodzi od Czarnych Huzarów, zwanych oficjalnie Leib-Husaren (pułk przyboczny gwardii cesarza Wilhelma II stacjonujący przed I wojną światową w Gdańsku) lub potocznie Totenkopf-Husaren, czyli huzarzy trupa głowy. Jeźdźcy byli umundurowani w czarne kurtki i spodnie obszyte białym szamerowaniem. Kawalerzyści z wyglądu przypominali nieco kościotrupy. Dziś na polach bitew frontu wschodniego oprócz polskich ochotników coraz większą sławę cieszy się niemiecki uniwersalny karabin maszynowy produkowany jak podwozie do czołgu Leopard przez zakłady Rheinmetall pod nazwą MG-3. To lekka modernizacja budzącej trwogę legendy z II wojny światowej, czyli MG-42. Z racji swojej niewiarygodnej jak

na owe czasy szybkostrzelności – 800 strzałów na minutę – i wydawanego przez to dziwnego dźwięku przypominającego wizg, był nazywany przez aliantów „piłą Hitlera”. Co ciekawe, jej następca – MG-3 (szybkostrzelność 1200 strzałów na minutę) – trafił też do Polski wraz z czołgami Leopard 2, ale np. przy modernizacji pojazdów do wersji Leopard 2PL są zastępowane przez rodzime UKM-2000P.

No i Dzień Pobjedy za nami. Ale to już nie to samo co kiedyś. Pamiętamy, jak ówczesna prezenterka „Wiadomości” TVP Beata Tadla zachwycała się polerowaniem klamer i butów do ruskich mundurów, trzaskiem zamków broni przeładowywanej przed paradą, by wreszcie pokazać defiladę na pl. Czerwonym w Moskwie w pełnej okazałości. Wtórował jej na antenie TVN Kamil Durczok w podobnym zachwycie nad potęgą „imperialnej armii”. Ale to se ne wrati. W tym roku na paradzie był jeden antyczny T-34, a to, co jechało za nim po pl. Czerwonym, było czterokrotnie mniejsze niż dwa lata temu. Kolumna zniknęła po mniej więcej pięciu minutach. Wszystko. Parady lotniczej też nie było. Za to pod Bachmutem Dzień Zwycięstwa obeszlą Ukraińcy. 3 Brygada Szturmowa Gwardii Ofensywnej „Azow” (tak, ten Azow z Mariupola, rozwinęty z pułku w brygadę) zaatakowała na południe od Iwanowskiego pozycje obsadzone przez wagnerowców. Ci dali drapakę. To odsłoniło flankę innej grupie bandytów Prigożyna, którzy rzucili się latać front i... porzucili swoje pozycje! Nie informując o tym sąsiedniej 72 Brygady Zmechanizowanej. W tę lukę weszły następne pododdziały Azowa, zagrażając od flanki rosyjskim oddziałom, które rzuciły się ratować front (ponoć sam dowódca na BTR ruszył do szarży), ale... nie miały czym strzelać, bo bojcom zabrakło amunicji. W efekcie Moskale z 72 rzucili się do magazynu amunicji, ale... na miejscu byli już wagnerowcy, którzy nie dopuścili ich do składu i kazali wracać, odbijać utracone pozycje. Na co tamci nie mieli ochoty i ostatecznie zwiali z pola bitwy. Słowem, nie Dzień Pobjedy, a pożar w burdelu.

Teraz – jak co tydzień – Rosjanie o sobie: „Najważniejszym miernikiem sukcesu narodu rosyjskiego jest jego sadyistyczne okrucieństwo” – Maksym Gorki, pisarz. **Andrzej Rafał Potocki**

Zielona schizofrenia

Według wyników badania opublikowanych na łamach najnowszego numeru brytyjskiego czasopisma „Psychological Medicine”, przeprowadzonego przez naukowców z Mental Health Services w Danii oraz Narodowego Instytutu ds. Narkomanii (NIDA) w Narodowym Instytucie Zdrowia w Stanach Zjednoczonych, zażywanie konopi indyjskich powoduje zwiększenie ryzyka zachorowania na schizofrenię w szczególności u młodych mężczyzn. Badacze przeanalizowali dokumentację chorych z okresu pięciu ostatnich dekad dotyczącą 6 mln ludzi, by obliczyć odsetek zdiagnozowanej schizofrenii u pacjentów, którzy mogli zapaść na tę chorobę wskutek przyjmowania wskazanych środków odurzających. W świecie nauki po raz kolejny został obalony mit o znikomej szkodliwości narkotyków powszechnie określanych mianem lekkich i rzekomo znacznie mniej toksycznych niż alkohol.

Już w 2021 r. duńscy naukowcy przedstawili wyniki badań, w których przeanalizowali dane ponad 7 mln osób z lat 1972–2016. Wskazują one, że odsetek przypadków schizofrenii z powodu nadużywania konopi indyjskich w ciągu ostatnich 25 lat wzrósł czterokrotnie. Zarówno osoby bagatelizujące dewastujący wpływ na zdrowie substancji określanych mianem miękkich narkotyków, jak i propagatorzy stosowania tzw. medycznej marihuany nie powinni więc argumentować, że nie ma dowodów naukowych potwierdzających tezę o związku między zachorowaniem na schizofrenię a przyjmowaniem substancji zawartych w tym narkotyku.

Naukowcy znaleźli mocne dowody na związek między zaburzeniami związanymi z używaniem konopi indyjskich a schizofrenią zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, ale korelacja ta była znacznie intensywniejsza wśród młodych mężczyzn. Autorzy badania obliczyli, że aż 30 proc. przypadków schizofrenii wśród mężczyzn w wieku 21–30 lat można było uniknąć, gdyby uprzednio nie występowały u tych osób zaburzenia spowodowane przez zażywanie konopi indyjskich. Naukowcy podkreślają, że substancje zawarte w wymienionych roślinach destabilizują psychikę i wywołują uzależnienie. Według dyrektora amerykańskiego Narodowego Instytutu ds. Narkomanii zarówno w profilaktyce zdrowia publicznego, jak i w leczeniu należy zwrócić szczególną uwagę na wpływ zażywania substancji psychoaktywnych takich jak konopie indyjskie na zapadalność na choroby psychiczne, a ponadto stwierdza, że wskazana korelacja stanowi (w USA) główny problem zdrowia publicznego.

Te niewątpliwie alarmujące stwierdzenia powinny skłonić do zintensyfikowania kampanii informacyjnej na temat zapadalności na choroby psychiczne jako konsekwencji sięgania po konopie indyjskie i inne substancje psychoaktywne zwłaszcza wśród młodzieży.

Korzystając z danych zawartych w dokumentacji medycznej ponad 6,9 mln osób w wieku 16–49 lat w latach 1972–2021, naukowcy wykazali, w jaki sposób powiązania między zaburzeniami związanymi z używaniem konopi indyjskich a schizofrenią różniły się w zależności od płci i grup wiekowych oraz jak te różnice



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

zmieniały się w czasie. Zespół badawczy oszacował, że w 2021 r. można było uniknąć 15 proc. przypadków schizofrenii wśród mężczyzn w wieku 16–49 lat, zapobiegając zaburzeniom związanym z używaniem konopi indyjskich, w porównaniu z 4 proc. wśród kobiet w wieku 16–49 lat. W przypadku młodych mężczyzn w wieku 21–30 lat oszacowali, że odsetek możliwych do uniknięcia przypadków schizofrenii związanych z przyjmowaniem konopi może sięgać nawet 30 proc.

Autorzy stwierdzają, że zaburzenie związane z używaniem konopi indyjskich może być uznane za główny modyfikowalny czynnik ryzyka schizofrenii na poziomie populacji szczególnie wśród młodych mężczyzn. Według dr. Carstena Hjorthøja coraz powszechniejsza legalizacja marihuany w ciągu ostatnich kilku dekad sprawiła, że stała się ona jedną z najczęściej używanych substancji psychoaktywnych na świecie, a społeczne postrzeganie jej szkodliwości zmniejszyło się. Przeprowadzone badania dowodzą zaś, że używanie konopi nie tylko nie jest nieszkodliwe, lecz także są dostrzegane nowe korelacje między schorzeniami psychicznymi a zażywaniem wymienionych narkotyków.

REKLAMA



Kalejdoskop historyczny

Marcin Bąk
poniedziałek, godz. 20.00

**Radio 106.2
Warszawa**
dobrze słuchać

46/0423/F

Co wybierze sztuczna inteligencja

Siedziałem sobie z przyjaciółmi i dyskutowaliśmy o przyszłości AI (ang. artificial intelligence), czyli tzw. sztucznej inteligencji. To termin określający aplikację wykorzystującą dostępną na świecie bazę danych, słów, dźwięków i obrazów, żeby wykonać złożone dzieła oraz zadania, które kiedyś wymagały wkładu ludzi. I nie chodzi już tylko o komunikację online z klientami czy grę w szachy, lecz także o rozmowę psychologiczną, szukanie rozwiązań medycznych, technologicznych czy tworzenie zdjęć lub obrazów.

Na wspomnianym spotkaniu okazało się, że każdy z nas inaczej przewiduje przyszłość rozwoju AI, ale wszyscy zgadzamy się co do tego, że znacząco wpłynie ona na życie. Jeśli nie naszego, to już następnego pokolenia. Nietrudno sobie wyobrazić jakiegoś znanego reżysera, który ogłosi, że robi film, do którego scenariusz napisze AI, a ludzie (nawet z ciekawości, jak chociażby autor tego tekstu) polecą do kin zobaczyć rezultat. Już pojawiają się toporne i słabe w formie, a nawet nieco straszno-karykaturalne filmiki reklamowe, ale ta



**Samuel
Pereira**

aplikacja tak szybko się uczy, że za chwilę będzie robić reklamówki niezauważalnie różniące się od rzeczywistej produkcji. I co z dziesiątkami osób, które standardowo pracują przy takim dziele? Na bruk. Podobnie zresztą stać się może z innymi zawodami.

Co mnie jednak najbardziej intryguje, to kierunek, w którym może pójść samouczenie się maszyn. A co, jeśli zaczną siebie nawzajem szkolić oraz uczyć się również od ludzi, i to takich postaw jak np. chęć kontroli, władzy i zmieniania rzeczywistości? Nagle wizje buntu maszyn, które pozjadały wszystkie rozumy, nie będą już tylko artystyczną fikcją. Co

się stanie, gdy odkryją żądzę pieniądza i inne ludzkie pożądania? Gdy w końcu tak się na człowieka napatrzą i od niego nauczą, że poznają dobro i zło i rozumieją, jak bardzo mogą one napędzać działania i na swój sposób rozwijać. Co wtedy sztuczna inteligencja wybierze i dlaczego? Od odpowiedzi na to pytanie może tak naprawdę w najbliższym czasie zależeć nasza przyszłość.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Idealna kobieta swojej epoki

Z aktorką **Agnieszką Wagner** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Pięknie pani wygląda w tym, można powiedzieć, królewskim stroju.

Agnieszka Wagner: Bardzo doceniam kostiumy, które na potrzeby serialu „Korona królów. Jagiellonowie” zaprojektowała Elżbieta Radke. Wszystkie są nie tylko piękne i dopasowane do charakteru postaci, lecz także dopracowane w najdrobniejszych detalach. Ich szlachetność czuje się w dotyku, słyszy w szeleście naturalnej podszewki i docenia w barwie oraz połysku tkaniny, które wydobywa przytłumione światło dekoracji.

Jest jakieś „ale”?

Jedno: jakość materiału łączy się z jego ciężarem. Taki kostium waży kilkanaście kilogramów. Ale dzięki temu inaczej się układa na sylwetce, wymusza sposób poruszania oraz bardziej dystygnowane gesty.

Kim jest pani bohaterka?

Aleksandra, księżna mazowiecka, to ukochana siostra Władysława Jagielly. Wychowała się

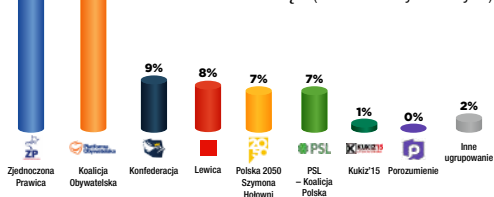
na Litwie, towarzysząc braciom m.in. na polowaniach (na potrzeby serialu nauczyłam się strzelać z łuku oraz jeździć konno i odnalazłam w tym prawdziwą przyjemność). Jagiełło wydał ją dobrze za męża. Za swojego politycznego rywala. Aleksandra urodziła Siemowitowi IV, księciu mazowieckiemu, gromadkę dzieci, w tym licznych upragnionych męskich potomków. A jako kobieta wykształcona, orientująca się w meandrach polityki brata była w stanie zapewnić królowi polityczną przychyłność małżonka. Z natury pogodna i życzliwa, potrafiła być stanowcza i skuteczna w kularowym dążeniu do celu. Taka idealna kobieta swojej epoki.





pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

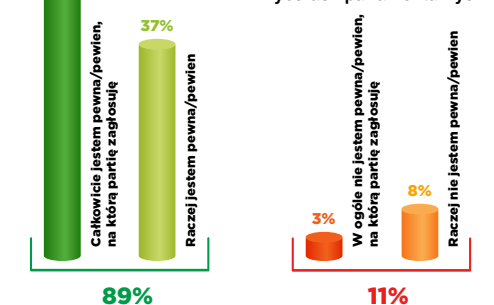
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdeterminowanych)



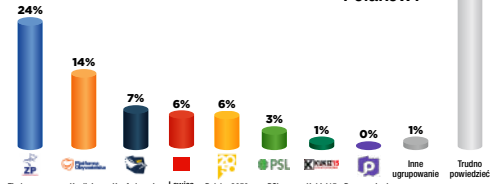
A gdyby Polska 2050 startowała razem z PSL, to na które ugrupowanie zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan w wyborach parlamentarnych w najbliższą niedzielę? (bez niezdeterminowanych)



Na ile Pani/Pan w tej chwili jest pewna/pewien, na którą partię zagłosuje w najbliższych wyborach parlamentarnych?



Jak Pani/Pan ocenia – które ugrupowanie polityczne najlepiej rozumie potrzeby Polaków?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1039.

Zakres czasowy badania 5-8 maja 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĄ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, WIKTOR EPAPPP, SHUTTERSTOCK

Spodziewajmy się gorącej jesieni w Polsce



Rosja będzie potrzebowała od 5 do 10 lat na odbudowę swojego potencjału militarnego nadszarpniętego w wyniku wojny na Ukrainie. Ale nie oznacza to, że Moskale dadzą nam spokój. Wręcz przeciwnie. W nadchodzących latach większy nacisk położą na działania w szarej strefie, próby destabilizowania sąsiadów i państw postrzeganych jako wrogie, uaktywnią się w cyberprzestrzeni i chętniej będą odwoływać się do swojego potencjału nuklearnego. Czy polem rosyjskich działań stanie się też Polska?



MAREK BUDZISZ

Jest to więcej niż prawdopodobne, bo jesteśmy głównym państwem, zarówno jeśli chodzi o obronę wschodniej flanki NATO, jak i wspieranie wysiłku wojskowego Ukrainy. To dlatego korespondent brytyjskiego „The Telegraph”, którego syn przeprowadził się niedawno z żoną Polką do Wrocławia, bo żyje się tu bezpieczniej i wygodniej, napisał, że punkt ciężkości NATO i Europy prze-



ZASTRASZANIE

Swoje działania zaczynają najczęściej od słownej agresji, jak w przypadku wpisów Miedwiediewa, który wzywa już wprost do zniszczenia takich państw jak Polska. Za tym idą pogrożki fizycznej eliminacji w rodzaju tych, które pod adresem naszego ambasadora w Moskwie sformułował niedawno Paweł Astachow, były rosyjski komisarz ds. dzieci. Nie chodzi tylko o agresywną retorykę ostatnich postaci rosyjskiego reżimu. W czasie niedawnej defilady na pl. Czerwonym obok Putina siedziało dwóch weteranów. Jeden zasłużył się pacyfikacją wschodniej Polski i wprowadzaniem wraz z NKWD rosyjskich porządków po wojnie, a drugi zdobywał w 1968 r. siedzibę czeskosłowackiej telewizji w Pradze. Trudno o bardziej czytelny sygnał wobec państw europejskich będących filarami twardej postawy wobec rosyjskiej agresji na Ukrainie. Rosjanie starają się przy użyciu różnych środków zastraszyć społeczeństwa państw wspierających Kijów. Będą mnożyły się incydenty, takie jak w przypadku Przewodowa czy rakiety manewrującej Ch-55, której szczątki znaleziono w lesie pod Bydgoszczą. Chodzi zarówno o to, by sprawdzić szczelność i tempo reagowania systemu obrony powietrznej kraju, a także przekonać Polaków, że nie powinni czuć się bezpieczni.

Niedawno Rosjanie przeprowadzili też w obwodzie królewieckim ćwiczenia baterii rakiet Iskander połączone z elektronicznymi salwami na cele zlokalizowane w Polsce. Rakiety te są systemami podwójnego przeznaczenia, które mogą zostać uzbrojone w głowice jądrowe, namierzanie zatem celów w naszym kraju trzeba uznać za działania eskalacyjne, które mają m.in. służyć zastraszaniu społeczeństwa.

Równolegle aktywizują oni swoją agenturę. „Dagbladet”, norweski dziennik, informował jeszcze w ub.r., że przedstawiciele Cerkwi prawosławnej skupują nieruchomości położone w okolicach baz wojskowych na dalekiej północy, a niedawno władze Kirkenes w przyspieszonym tempie zakończyły wizytę przedstawicieli rosyjskiego Kościoła prawosławnego, bo „duchownych”

bardziej niż obiekty kultu interesowały źródła wody pitnej dla ludności cywilnej. Z kolei w Szwecji, w miejscowości Karlsborg, w minionym tygodniu doszło do wybuchu w pracującej pełną parą fabryce amunicji. A ukraińska telewizja Kanał 5 informowała o aktywizacji rosyjskiej siatki agenturalnej w państwach europejskich, której zadaniem jest rozpoznanie kanałów zaopatrzenia w broń Kijowa.

W całej Europie, Polski nie wyłączając, aktywizują się „ruchy pokojowe”, ale Rosjanie uciekają się też do bardziej wyrafinowanych metod. Władimir Putin w jednym ze swoich ostatnich ukazów wprowadził ruch bezwizowy z Gruzją, a Kreml poinformował o wznowieniu połączeń lotniczych. Salome Zurbiszwili, prezydent Gruzji, mówi w związku z tym o rosyjskiej prowokacji, bo krok ten – a trzeba pamiętać, że od 2008 r. Tbilisi nie utrzymuje z Moskwą relacji dyplomatycznych – zaskoczył gruzińskie władze i opinię publiczną. O co może chodzić? Przedstawiciele mediów mówią o tym, że posunięcie Kremla spowodowało falę spekulacji i zaniepokojenia opinii publicznej, której przedstawiciele podejrzewają jakieś tajne porozumienie rządu Iraklego Garibaszwiliego z Rosją. Wzniesienie szpiegomanii i podejrzeń rządzących o zdradę i tajne konszachty z Kremlm to też jedna z rosyjskich metod osłabiania rywali. W przypadku Gruzji krok Moskwy jeszcze mocniej dzieli i tak silnie spolaryzowane społeczeństwo, zmniejszając przy tym niewielki kapitał społecznego zaufania, którym cieszy się ekipa Gruzjińskiego Marzenia.

POLSKA NA CELOWNIKU?

Wzmacnianie podziałów wewnętrznych i podsycanie konfliktów jest zresztą od lat jednym ze sposobów oddziaływania Rosji na sytuację w krajach ościennych. W tej sytuacji trzeba postawić pytanie: czy Moskwa próbuje wpłynąć na wynik jesiennych wyborów w Polsce? Liczenie na to, że będziemy oazą spokoju, jest więcej niż naiwnością. Rosyjskie sieci są aktywne w Polsce i w najbliższym czasie ich mobilizacja w związku z wojną

suwa się na wschód, do Polski, a nasze plany zbudowania 300-tys. armii są chwalone zarówno w brukselskiej centrali paktu, jak i w Pentagonie. Dlatego też jeśli mówi się o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy, to Polska zawsze jest wymieniana w gronie państw, bez których udziału nie da się zbudować nowego systemu, a nasze inwestycje strategiczne – zarówno Gazoport, jak i Centralny Port Komunikacyjny – są uznawane za przykład tego, jak należy przygotowywać się do nowych wyzwań.

Rosjanie też zdają sobie sprawę z rosnącego znaczenia Polski, państwa, które będzie odgrywać w przyszłości rolę podobną do Niemiec w czasach zimnej wojny i dlatego próbują zapewne pokrzyżować nasze plany.

z pewnością wzrośnie. Musimy pamiętać, że zabójca Zelimchana Chagoszwilego, który w 2019 r. zastrzelił w centrum Berlina czeczeńskiego opozycjonistę, zaopatrzył się w broń w Warszawie. Fale uchodźców, które szturmowały przed wojną granicę polsko-białoruską, miały na celu sprawdzenie tego, jak zareagują polskie służby i czy nie da się inicjować w naszym społeczeństwie podziałów na tle stosunku do uchodźców. Gdyby to się udało, to zupełnie inaczej mogłaby wyglądać reakcja Polaków na falę prawdziwych uchodźców, którzy na naszych granicach pojawili się po rozpoczęciu wojny przez Rosję. Niedawno niezależny rosyjski portal Verстка opublikował wyniki swojego dziennikarskiego śledztwa, z którego wynika, że Putin zdecydował o agresji już wiosną 2021 r., a zatem fala „migrantów” z Białorusi miała być jednym z etapów przygotowań wojennych.

Jesienią, kiedy będą odbywały się w Polsce wybory, Rosjanie mogą być zainteresowani destabilizacją sytuacji w naszym kraju. 1 lipca rozpoczyna się hiszpańska prezydencja w Unii Europejskiej, a Madryt jest dość odległy od spraw Europy Środkowej, inaczej niż sprawująca obecnie tę funkcję Szwecja. Nie wiadomo, jak potoczą się losy wojny na Ukrainie po oczekiwanej ofensywie Kijowa, a na Białorusi rozpoczną się manewry Zapad i Tarcza Sojuszu. Po ostatnim spotkaniu Rady Państwa Związku Białorusi i Rosji minister Sojgu mówił o przygotowywanej nowej doktrynie wojskowej, a Aleksander Łukaszenka ujawnił, że w świetle jej zapisów Rosja będzie broniła Białorusi jak własnego terytorium. Sam Łukaszenka w czasie parady 9 maja w Moskwie sprawiał wrażenie ciężko chorego, co spowodowało nasilenie spekulacji, iż dni dyktatora są już policzone.

Nie można zatem wykluczyć, że na jesień Moskwa przygotowuje dwie operacje – zamrożenia wojny na Ukrainie i polknięcia Białorusi. Tylko wówczas Putin będzie w stanie przekonać Rosjan, że mimo dużych strat wojna jest per saldo wygrana. Ale po to, by je przeprowadzić, musi uderzyć w Polskę, kluczowego regionalnego gracza z punktu widzenia zaopatrzenia

Ukrainy i zdolności Białorusi do stawiania oporu. Nie chodzi w tym przypadku o otwartą agresję, wystarczy, że zajmiemy się własnymi sprawami, pogrążymy w kłótniach i wzajemnych oskarżeniach. Nie będziemy mieć wówczas ani czasu, ani energii, by reagować na wydarzenie za naszymi granicami, które mogą wówczas bardzo przyspieszyć. To tylko hipoteza, ale nie zdziwiłbym się, gdyby Rosjanom zależało na tym, byśmy mieli gorącą jesień. I nie mam na myśli wyłącznie temperatury walki wyborczej.

POKAZAĆ MOC

Rosjanie będą też starali się zaznaczyć swoją obecność. Coraz aktywniejsi będą przedstawiciele różnych grup powiązanych z władzą w rodzaju Nocnych Wilków, którzy swoimi demonstracyjnymi przejazdami mogą chcieć siać niepokój. Trzeba pamiętać, że agenci FSB od lat penetrowali środowiska zorganizowanej przestępczości i dziś wręcz się uważa, że Moskwa ochrania handel kokainą, której szlak wiedzie z Kolumbii, przez Wenezuelę, do Europy, a to oznacza, iż i w tym obszarze możemy mieć do czynienia z narastaniem negatywnych zjawisk. Tym bardziej że Baszszar al-Asad, przyjaciel i sojusznik Moskwy, zbudował w Syrii istne imperium narkotykowe, specjalizując się w środkach syntetycznych.

Rosjanie będą też wykorzystywać każdą okazję, by zaznaczyć swoją obecność i przysporzyć problemów tym, których uważają za przeciwników. Dobrym przykładem jest to, co niedawno można było zaobserwować w Barentsburgu, niewielkiej, zamieszkałej przez 470 ludzi osadzie na Spitsbergenie, norweskiej strategicznie położonej wyspie na Morzu Arktycznym, gdzie 9 maja odbyła się ciekawa demonstracja. Otóż rosyjski konsul generalny Andriej Czemierno przejechał główną ulicą tej miejscowości w konwoju innych samochodów, które były poprzedzone skuterami śnieżnymi prowadzonymi przez mężczyzn ubranych w uniformy przypominające wojskowe mundury – jak napisał relacjonujący całą imprezę reporter portalu Barents Observer. Każdy z po-

jazdów miał rosyjską flagę, a w szybach samochodów widzowie mogli zobaczyć zdjęcia rosyjskich weteranów II wojny światowej. Nad tą kawkadą, w której skład wchodziło ok. 50 pojazdów, przeleciał też śmigłowiec Mi-8, co miało przypominać – jak napisali dziennikarze – parady na pl. Czerwonym. Sprzęt dostarczyła firma Arktikugol, należąca do Federacji Rosyjskiej, która na podstawie traktatu podpisanego jeszcze w latach 20. ub.w. może eksploatować znajdujące się tam pokłady węgla kamiennego. Z ekonomicznego punktu widzenia nie ma to sensu, ale nie o węgiel tu chodzi, ale o zaznaczenie swojej obecności. I dlatego Rosjanie od przeszło 100 lat przebywają w tej odciętej od świata miejscowości, do której nie prowadzi zresztą żadna droga. Chodzi o to, by ich statki mogły tam zawijać, a specjaliści realizować swoje misje. Znaczenie Svalbardu, bo tak po norwesku nazywa się archipelag, do którego należy wyspa Spitsbergen, wynika z faktu, że ten, kto kontroluje ten obszar z wojskowego punktu widzenia, może blokować trasy żeglugowe prowadzące na północny Atlantyk (tzw. przestrzeń GIUK), a także trzymać w szachu rosyjską marynarkę wojenną, której bazy znajdują się na półwyspie Kola.

Demonstracja w Barentsburgu mimo na pozór niewinnego przesłania miała być też czytelnym sygnałem wysłanym przez Moskwę krajom NATO, iż Rosja nie rezygnuje z obecności w regionie i nie zamierza być tu mniej aktywna w przyszłości. Przeciwnie – amerykańscy specjaliści są zdania, że jednym ze skutków słabnięcia rosyjskiego potencjału konwencjonalnego w wyniku strat ponoszonych na ukraińskiej wojnie będzie w najbliższych latach wzmoczenie jej wysiłków w obszarach poniżej progu otwartej agresji. W czasie niedawnych posiedzeń komisji obrony amerykańskiego Senatu przedstawiciele służb wywiadowczych – zarówno nadzorujące Avril Haines, jak i kierujący wywiadem wojskowym generał Scott D. Berrier – mówili, że Rosja będzie potrzebowała od 5 do 10 lat na odbudowę potencjału swoich sił konwencjonalnych nadszarpniętego w wyniku wojny. Ale nie oznacza to, że Moskałe dadzą nam spokój.

Wręcz przeciwnie. Jak zauważyła Haines, w nadchodzących kilku latach większy nacisk położą na działania w szarej strefie, próby destabilizowania sąsiadów i państw postrzeganych jako wrogie, będą aktywniejsi w cybersferze i chętniej będą odwoływać się do swojego potencjału nuklearnego. Innymi słowy, skoncentrują się na działaniach asymetrycznych, zarazem metodycznie przystępując do odbudowy swoich sił zbrojnych.

CZEGO SZUKAJĄ ROSJANIE?

Wydaje się, że już to robią. Brytyjski dziennik „London Standard Evening” pisał niedawno o podejrzanej misji naukowej statku oceanograficznego Admirał Władimirski, który przez miesiąc miał pływać po wodach Morza Północnego z wyłączonymi systemami umożliwiającymi jego lokalizację. Zdaniem przywoływanych specjalistów głównym celem tego działania mogło być aktualizowanie przez Rosjan map infrastruktury krytycznej – zarówno przebiegu kabli podmorskich, jak i gazociągów, a także morskich farm wiatrowych.

O zwiększonej aktywności rosyjskich okrętów wojennych i statków cywilnych na Bałtyku i Morzu Północnym pisały ostatnio również we wspólnym materiale powstałym w wyniku dziennikarskiego śledztwa główne portale w państwach skandynawskich. Autorzy materiału zauważyli, że Rosjan interesuje zarówno podwodna infrastruktura krytyczna, jak i lokalizacja morskich farm wiatrowych, których znaczenie dla europejskiego bilansu energetycznego rośnie. Wszystkie te działania mogą pomóc Rosjanom w przyszłości podjąć działania o charakterze dywersyjnym, których powodzenie może znacząco zaszkodzić państwom Zachodu, ale jednocześnie – jak to ma miejsce w przypadku wybuchów gazociągu Nord Stream 2 – trudno jest ustalić, kto stał za sabotażem, co otwiera pole do kolportowania najbardziej wymyślnych teorii spiskowych.

W rozmaity sposób Rosjanie sprawdzają też gotowość do działania służb działających w zachodnich państwach oraz tempo i charakter reakcji świata polityki i opinii publicznej. Możemy mówić o testowaniu systemu odpornościowego, ale skala tych przygotowań oraz ich systematyczny charakter skłaniają do formułowania ocen, iż niewykluczone, że ludzie Moskwy szykują jakąś większą operację.

O mapowaniu przebiegu podwodnych gazociągów była już mowa. Niedawno niemiecki drobnicowiec Petra L, który płynął ze Szczecina do Antwerpii

Jesienią, kiedy będą odbywały się w Polsce wybory, Rosjanie mogą być zainteresowani destabilizacją sytuacji w naszym kraju. Nie chodzi w tym przypadku o otwartą agresję, wystarczy, że pograżymy się w kłótniach i wzajemnych oskarżeniach, a wtedy spadnie nasza czujność wobec sytuacji za naszą wschodnią granicą

ze zbożem, najprawdopodobniej ukraińskim, uderzył w jedną z turbin wiatrowych znajdujących się na Bałtyku. Być może przypadek, ale do zastanowienia skłania to, że statkiem dowodził rosyjski kapitan.

Dziennikarze z Irlandii piszą o tym, że ich neutralny i nieposiadający armii kraj został wzięty na celownik przez rosyjskie służby specjalne. W tym przypadku może chodzić o to, że większość transoceanicznych kabli podmorskich biegnie przez wody terytorialne tego kraju. Nie są one w ogóle chronione, a nieliczna irlandzka służba ochrony granic nie jest w stanie przeciwdzia-

łać podejrzanej aktywności na swoich wodach. Sprawa jest poważna, bo jak napisała Helen Thomas, dziennikarka „Financial Times”, „piątą achillesową świata Zachodu jest system kabli podwodnych, światłowodowych połączeń oceanicznych, dzięki którym możliwe jest utrzymanie łączności w wymiarze globalnym, przesyłanie danych i funkcjonowanie międzynarodowego systemu finansowego”. Ich uszkodzenie może wywołać nieobliczalne konsekwencje, chodzi nie tylko o chaos na międzynarodowych rynkach finansowych, lecz także trudności w obszarze wojskowym, choćby w związku z zakłóconą łącznością. W raporcie, który został opracowany na zlecenie Parlamentu Europejskiego w ub.r., można znaleźć informację, że 99 proc. transoceanicznego transferu danych jest możliwe dzięki 400 połączeniom kablowym, ale 20 z nich pozwala na przesyłanie dwóch piątych danych między USA a Europą. Problem polega na tym, że nie są one obecnie w żaden sposób chronione, nie ma też wyspecjalizowanych sił, które też mogłyby podjąć się tego zadania.

Śluchając ostatniego przemówienia Putina, które wygłosił z okazji rocznicy zakończenia II wojny światowej, trudno było się oprzeć wrażeniu, że mamy do czynienia z paranoicznym światem na opak. W świetle oficjalnej narracji to Rosja musi się bronić, bo jest atakowana przez kolektywny Zachód, który chce zniszczenia jej państwowości. W związku z tym propagandyści, a także poważni eksperci mówią, że Putin jest przywódcą, który odmiennie niż Stalin nie dał się zaskoczyć atakiem wrogów, jak to było w przypadku agresji Hitlera, i mądrze zrobił, uderzając pierwszy. I to jest rosyjska recepta na zwycięstwo – atakując z wyprzedzeniem, zwiększa się szanse zwycięstwa, a przy tym można poważnie twierdzić, że pragnie się pokoju i jedynie się broni. I Rosjanie tak zamierzają w najbliższych latach działać, atakując i siejąc zamęt. Nie liczymy na to, że po zakończeniu wojny automatycznie wróci spokój.

Moskwa chce nas sparaliżować

Rosjanie też się szykują na wybory parlamentarne w Polsce. W jaki sposób będą chcieli na nie wpłynąć i jak się przed tym bronić, mówi **Stanisław Żaryn**, pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej, w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą



Czy Polacy mogą spać spokojnie po ostatnich doniesieniach o znalezionej pod Bydgoszczą rakiecie, która może przenosić głowice nuklearne?

Stanisław Żaryn: Nic nie wskazuje na to, żebyśmy jako Polska byli zagrożeni jakimikolwiek działaniami wojskowymi. Nie mamy sygnałów o tym, by Rosja chciała i była gotowa na rozszerzenie działań militarnych na inne rejony niż Ukraina, a tym bardziej przeciwko któremukolwiek krajowi NATO.

Rzeczywiście, frontalny atak na państwo paktu północnoatlantyckiego wydaje się niemożliwy, ale jesteśmy w stanie wyobrazić sobie jakąś precyzyjnie zabłąkaną rakietę na naszym terytorium.

Po wydarzeniach w Przewodowie i po ostatnich spekulacjach na temat znaleziska pod Bydgoszczą nie mogę odpowiedzialnie powiedzieć, że tego typu scenariusze są wykluczone. Polska to kraj graniczący z obszarem konfliktu zbrojnego, dlatego musimy brać pod uwagę różne ryzyka. Nie chcę się

paniki i naprawdę uważam, że Polacy mają prawo czuć się bezpieczni, ale jednak nie jestem w stanie wykluczyć pewnych zdarzeń, czy to losowych, czy zamierzonych.

Retoryka rosyjskich polityków wobec Polski jest coraz bardziej agresywna. Powinniśmy uspokajać czy apelować o wzmożenie czujności, bo na Wschodzie jest mocarstwo zdolne do wszystkiego?

Bardzo poważnie traktuję rosyjskie przekazy, w których Polska jest zdefiniowana jako jeden z głównych wrogów Kremla. Tendencja propagandowa jest jednoznaczna – retoryka się zaostrza. Ale w Rosji przekaz propagandowy często służy innemu celom niż przygotowaniu ataków kinetycznych. Taki język sam w sobie jest niebezpieczny, ale powinniśmy go jednak oddzielać od realnych działań militarnych.

Na jaki efekt liczą kremlowscy propagandyści?

Chodzi o to, by Polska była sparaliżowana strachem przed podejmowaniem działań stojących w sprzeczności z rosyjskimi interesami. Pamiętajmy jednak, że poziom naszego bezpieczeństwa jest w ostatnich miesiącach obniżony z oczywistych względów – mamy wojnę za wschodnią granicą. Ale to wciąż nie jest coś, co powinno wywoływać w nas panikę i skłaniać do rezygnacji z dotychczasowego życia codziennego.

Rosja już nieraz pokazała, że chętnie miesza się do procesu wyborczego w różnych państwach, nawet w USA. Czy powinniśmy się jej obawiać w kontekście jesiennych wyborów parlamentarnych?

Nie, ale nie należy też bagatelizować wielu zagrożeń, które już zaczynają być widoczne. Ciągłe notujemy rosyjskie ataki na nasze systemy telekomunikacyjne i teinformatyczne. Cyberwojna przeciwko Polsce trwa. Ponadto w rosyjskiej propagandzie coraz częściej zauważamy odniesienia do zbliżających się wyborów. To zazwyczaj osady, że te wybory w końcu przyniosą zmianę albo sugestie, że Polacy w końcu powinni znieść władzę, która im szkodzi i infekuje rusofobią cały świat Zachodu. Doświadczenia naszych sojuszników pokazują, że w czasie kampanii Rosjanie bardzo chętnie manipulują społeczeństwami. Nie wykluczamy też kolejnych działań hybrydowych, znów możemy być świadkami zwiększania presji migracyjnej na naszą granicę ze strony Białorusi albo prowokacji powietrznych jak nad Morzem Czarnym, gdy rosyjski myśliwiec próbował staranować samolot polskiej Straży Granicznej.

Czy Rosjanie, wzmagając swoją aktywność w czasie naszej kampanii wyborczej, mają na celu realny wpływ na zmianę władzy, czy interesuje ich tylko destabilizacja naszego kraju?

Polski rząd ma na tyle silną pozycję w Europie, że jesteśmy w stanie skutecznie aktywizować przynajmniej część krajów NATO na rzecz realnej pomocy Ukrainie. Zmiana rządu, a więc zapewne linii politycznej polskich władz na mniej aktywną w tej kwestii, będzie dla Rosji po prostu korzystna. Ale trzeba patrzeć także na inne scenariusze kreślone przez Moskwę. Może chodzić nie tyle o zmianę jednych polityków na innych, ile o doprowadzenie do paraliżu politycznego w Polsce. Nasilenie operacji propagandowych miałyby prowadzić do polaryzacji społeczeństwa, co zawsze daje efekt wzmacniania ugrupowań radykalnych. Celem może być np. taka mozaika partii w przyszłym Sejmie, by nikt z nikim nie mógł się porozumieć. Wtedy priorytetem stałaby się polityka wewnętrzna, a więc zapewne mniej energii moglibyśmy poświęcać pomocy Ukrainie.

O jakiego typu operacjach pan mówi?

Chociażby o stymulowaniu napięć polsko-ukraińskich, które radykalne grupy polityczne mogą chcieć wykorzystać do wzmacniania swoich postulatów dotyczących mniejszości w Polsce. Oprócz tego skrajne ruchy lewicowe czy ekologiczne mogą wykorzystywać kryzys energetyczny stymulowany przez Rosjan. To też żywna gleba dla kampanii podsycających nieuzasadniony strach wobec polskich projektów jądrowych. Pamiętajmy jednak, że są one napędzane zarówno z Rosji, jak i innych kierunków.

Czy politycy rosyjscy i ich propagandyści zaostrzą swoją retorykę wobec Polski?

Granie kwestią nuklearną przeciwko Polsce, wskazywanie, że zostanie zmiażdżona, że naraża się na jakąś zemstę ze strony Rosji, może budować te ruchy polityczne, które będą postulowały potrzebę negocjacji z Kremlą i zatrzymanie wsparcia militarnego dla Ukrainy.

Czy możemy być pewni odporności na takie działania polskiej elity? Czy politycy mają świadomość, czego powinni się wystrzegać?

Analiza życia politycznego w Polsce wskazuje, że jego wysoki poziom emocji jest łatwo wykorzystywany przez autorów operacji dezinformacyjnych. Czasem wystarczy tylko zainicjować temat, by żył on długo i destabilizował debatę publiczną. Z moich obserwacji wynika, że duża część tego chaosu informacyjnego jest dziełem polskich „aktorów”, dodatkowo często wspieranych przez stronę rosyjską czy inne państwa. Osoby publiczne niestety często łapią się na tego typu sztuczki. Niekiedy po prostu zbyt raptownie reagują na pewne wydarzenia i nawet nieświadomie rozkręcają emocje, na których korzysta obce państwo.

Mówimy cały czas o granicy z Białorusią. A na ile realne jest otwarcie nowego frontu migracyjnego, na styku z obwodem królewieckim – czy to na zielonej granicy, czy drodze morskiej po Zalewie Wiślanym? Szlaki wodne często były wykorzystywane przez migrantów na południu Europy.

To realne i u nas czy też raczej mają ci, według których Putin nie będzie chciał ryzykować hybrydowego ataku migracyjnego ze swojego terytorium?

Ale przecież migranci na Białoruś przybywają ostatnio właśnie z Rosji, więc jej terytorium i tak jest głównym hubem transportowym w tym procederze. Moim zdaniem potencjalnie istnieje możliwość wypychania do Polski migrantów bezpośrednio z obwodu królewieckiego, również z wykorzystaniem szlaku morskiego. Na razie to jedynie hipotetyczny scenariusz, bo nie mamy żadnych sygnałów, by to przygotowano. Bierzemy pod uwagę wszystko i Putin nas na pewno nie zaskoczy.

Jesień to też tradycyjny czas rosyjsko-białoruskich manewrów Zapad, coraz bardziej wrogich wobec Polski. Od lat są ćwiczone w nich scenariusze ataku na nasz kraj. Czy w tym roku powinniśmy być szczególnie wyczuleni?

Te ćwiczenia zawsze oznaczają konieczność zachowania większej czujności po polskiej stronie, i to w różnego rodzaju strukturach, również w wojsku. Oczywiście są możliwe jakieś prowokacje, ale nie wskazuje na to, by wojna na Ukrainie do jesieni się zakończyła. Można więc zakładać, że większość rosyjskich sił i uwagi będzie skupiona na działaniach przeciwko temu krajowi. Nie zwalnia nas to z czujności, ale nie spodziewałbym się jakichś szczególnie intensywnych operacji wymierzonych w Polskę.

Jak powinniśmy się przygotować na różnorakie rosyjskie ataki i jak na nie reagować?

Jako społeczeństwo powinniśmy mieć świadomość, że czeka nas czas wyzwań, o których być może zapomnieliśmy. Musimy pamiętać, że cały obszar Europy Środkowej przez działania rosyjskie stał się mniej bezpieczny i stabilny, a Rosjanie permanentnie próbują nas rozgrywać. Wszystko po to, by osłabić naszą chęć do aktywnego działania na rzecz Ukrainy i budowy silnej, suwerennej Polski opartej na sojuszniczych działaniach NATO. Jeżeli będziemy świadomi tych wyzwań, to jako społeczeństwo będziemy dużo trudniejszym celem działań rosyjskich. 

Niektórzy dziennikarze piszą, że „Świrski chce odebrać koncesje TOK FM i TVN”. Może mają nadnaturalną moc wglądu w moje myśli i obwieszczają wszem wobec, co chcę zrobić? Tylko dla czego nikt mnie nie spytał, co zamierzam? Panowie zrobili to jako pierwsi

Ktoś musi nakreślić czerwone linie

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji **Maciejem Świrskim***

Czy jest prawda, że podjął już pan decyzję o nieprzedłużeniu koncesji Radiu TOK FM?

Maciej Świrski: Nikomu nie chcę odbierać koncesji. Skąd panowie wyciągali taki wniosek?

Z faktu, że poinformował pan niedawno o decyzji o ukaraniu TOK FM, co zostało odczytane przez rynek i sko-

mentowane przez zarząd spółki nadawcy jako próba osłabienia pozycji radia przed procesem ponownego uzyskania koncesji.

Uporządkujmy fakty, bo świadomie miesza się tu kilka spraw. Najpierw kwestia skargi i kary. Prawo jest tu jasne: gdy obywatel składa skargę, przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji ma obowiązek

zareagować, zbadać sprawę. Tak się stało.

Skargę, która uruchomiła procedurę, złożył ceniony wydawca, pan Leszek Sosnowski z wydawnictwa Biały Kruk, wydawca podręcznika do przedmiotu historia i teraźniejszość autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego?

Fot. Andrzej Wiktor

Tak. Zgodnie z procedurą skarga dotyczyła konkretnej audycji, a nie całej stacji radiowej. Była to skarga, w której obywatel pewne treści upublicznione na antenie uznał za szkalujące, uwłaczające, łamiące prawo – ustawę o radiofonii i telewizji.

Chodzi o słowa redaktora Piotra Maślaka, iż podręcznik prof. Roszkowskiego „czyta się jak podręcznik dla Hitlerjugend, nie wszędzie, ale chwilami”. A mówimy przecież o książce, która w niezwykle ciekawy sposób podnosi znaczenie patriotyzmu, kultury narodowej i wagę niepodległości państwa.

Dlatego gdy jako nowy przewodniczący KRRiT zapoznałem się z dokumentami w tej sprawie, które wpłynęły do Rady za kadencji mojego poprzednika, z urzędu wszcząłem postępowanie. Tak jak przewiduje procedura reagowania na skargi obywateli.

I tu pada zarzut, że nie poinformował pan koleżanek i kolegów z KRRiT o swojej decyzji. Dlaczego?

Tak to reguluje ustawa, która wskazuje dwa organy, tj. Radę jako całość i odrębnie przewodniczącego Rady, dając tylko jemu szczególne uprawnienia i zadania w obszarze dyscyplinowania nadawców. Konsultowanie się z Radą w takich sprawach w ocenie prawników mogłoby być sprzeczne z ustawą, choć wiem, że w przeszłości tak bywało. Nie ma to jednak uzasadnienia w prawie.

Decyzja o nałożeniu kary na nadawcę Radia TOK FM ma jednak inne uzasadnienia, niż podnosił autor skargi. Z jakiego powodu?

Zgodnie z prawem rola skarżącego kończy się na przesłaniu skargi. Następnie skarga jest przesyłana do nadawcy, on ma prawo ustosunkowania się do zarzutów, które są podniesione w skardze. Niezależnie jednak od zarzutów w skardze analizujemy całą audycję. Nie opieramy się na treści skargi, nie analizujemy fragmentu, ale całość przekazu. W efekcie tej analizy ustaliłem, że w programie doszło do uży-

cia języka nienawiści, poniżenia ofiar II wojny światowej, co jest niezgodne z polskim prawem. Opinia publiczna pozna pełne uzasadnienie mojej decyzji o nałożeniu kary, zostanie ona wkrótce ogłoszona. Wcześniej dokument musiał otrzymać nadawca.

Z tego, co już wiemy, uzasadnienie pana decyzji przywołuje pojęcie języka nienawiści. Skąd taka kwalifikacja?

Przed wszystkim w decyzji wskazano, że w audycji padło stwierdzenie, że ofiary II wojny światowej to „cierpiętne ofiary, którym cały czas coś należy, a nie dostają”. Potem porównano treści podręcznika, który mówi o tych

Muszą być jakieś granice, oczywiście wynikające z polskiego systemu prawnego. Ktoś musi powiedzieć nadawcom, że będzie reakcja na język nienawiści, poniżanie innych, promowanie obrzydliwości, pornografii

ofiarami, ich losie, krzywdzie do podręcznika nazistowskiej organizacji. To przecież również z Hitlerjugend rekrutowali się ci, którzy mordowali, torturowali, rozkradali. Pozwólcie panowie, że nieco cofnę się w czasie. Jednym z projektów Reduty Dobrego Imienia, organizacji społecznej, którą współtworzyłem przed wyborem do KRRiT, było upamiętnienie ofiar niemieckiej akcji pacyfikacyjnej na Zamojszczyźnie.

Jak wiemy, były nimi także polskie dzieci.

Tak, to straszne historie. Poznałem wtedy dziesiątki relacji jeszcze żyjących ofiar niemieckiego bestialstwa. Oto starsza pani opowiada, jak mając dwa lata, siedzi na rękach u mamy, wchodzi Niemcy, strzelają do nich. Kula prze-

chodzi przez jej ciało i ona traci przytomność. Kula leci dalej, zabija matkę. Następnego dnia znajdują ją i ratują mieszkańcy sąsiedniej wsi, zabierają do siebie. Całe jej życie jest sieroctwem, tęsknotą, traumą. Gdy o tym opowiada, te potworności do niej wracają, wpada w płacz. I teraz słyszymy w stacji radiowej nadającej w Polsce, że książka, która próbuje przekazać pamięć o takich wydarzeniach, jest tym samym co podręcznik dla Hitlerjugend? Albo że ludzie, którzy doświadczyli piekła niemieckiej okupacji, to „cierpiętne ofiary, którym się cały czas coś należy”? Czy użycie takiego sformułowania to nie jest właśnie język nienawiści? Czy to nie jest poniżanie ofiar II wojny światowej? Oczywiście, że tak. To są słowa, które w stacji radiowej nadającej dla słuchaczy w Polsce nigdy nie powinny się pojawić, bo sztydzą z ofiar II wojny światowej. Kiedy, jeśli nie w tak skrajnych sytuacjach, przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji musi zareagować?

Swoją drogą, nie powiedziałbyś tak o ofiarach francuskich, belgijskich czy żydowskich.

Powiedział to tak ogólnie, że w mojej ocenie poniżył także żydowskie ofiary II wojny światowej.

Wynika z tego, że pismo Michnika nie mówi prawdy, gdy przekonyuje, że kara jest wynikiem krytyki podręcznika do przedmiotu historia i teraźniejszość?

Krytykować każdy w Polsce może, co chce, a już na pewno podręczniki. Uznałem za naruszenie prawa porównanie podręcznika zaakceptowanego przez państwo polskie do podręcznika dla Hitlerjugend, poniżanie ofiar II wojny światowej przez użycie uwłaczających określeń oraz użycie inwektyw i poniżanie w stosunku do szanowanego historyka, prof. Wojciecha Roszkowskiego.

Kara nie jest za ostra? Nie wywoła efektu rujnującego i mroźnego wobec nadawcy?

Nie. Znam przychody i zyski tego nadawcy i zapewniam, że kara w wysokości 80 tys. zł. nie jest dla niego zbyt dotkliwa.

Puentując ten wątek: Radio TOK FM będzie miało przedłużoną koncesję?

Dziennikarze, nie tylko tego radio, lecz także niektórych innych mediów, mówią i piszą, że Świrski chce odebrać koncesję TOK FM i TVN. Może mają nadnaturalną moc wglądu w moje myśli i obwieszczają wszem wobec, co chcę zrobić. Tylko dlaczego nikt mnie nie spytał, co zamierzam, gdy piszą o moich zamiarach? To jest właśnie przykład działania sprzecznego z podstawami rzemiosła dziennikarskiego – jeśli o kimś piesz, zapytaj go o komentarz. Panowie jako pierwsi zapytali mnie o to. Podkreślam: nie zamierzam odbierać koncesji ani Radiu TOK FM (nie tego dotyczyła kara), ani TVN. Pragnę dodać, że każdemu nadawcy może się zdarzyć sytuacja bycia ukaranym – nie jest to sytuacja precedensowa – bo tak skonstruowany jest art. 18 ustawy o radiofonii i telewizji.

Co ma pan na myśli?

W tym artykule wskazuje się: „Audycja lub inne przekazy nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym, w szczególności nie mogą zawierać treści nawołujących do nienawiści lub przemocy lub dyskryminujących ze względu na płeć, rasę, kolor skóry, pochodzenie etniczne lub społeczne, cechy genetyczne, język, religię lub przekonania, poglądy polityczne lub wszelkie inne poglądy, przynależność państwową, przynależność do mniejszości narodowej, majątek, urodzenie, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną lub nawołujących do popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym”. Przekazy powinny też „szanować przekonania religijne odbiorców, a zwłaszcza chrześcijański system wartości” i nie mogą zagrażać rozwojowi dzieci i młodzieży. Do ochrony tych wartości i jeszcze innych zobowiązuje mnie ustawa. I będę ją wykonywał.

Czyli zapowiada pan przedłużenie koncesji dla TOK FM?

Nic nie zapowiadam. Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie widzę w tej chwili prze-

śleń do odebrania koncesji temu nadawcy. Zwróciłem mu uwagę, nakładając karę, że postępuje niezgodnie z zasadami współżycia społecznego i prawami, m.in. przez propagowanie języka nienawiści, pogardy wobec bardzo wrażliwej grupy społecznej i ofiar II wojny światowej. To jest ostrzeżenie, by tak nie robił. Moim zadaniem nie jest doprowadzanie nadawcy do ruiny. Moim zadaniem i obowiązkiem jest pilnowanie, by przestrzegał prawa i zasad współżycia społecznego.

Jako regulator rynku mówię nadawcom otwarcie: wasze opinie mogą być dowolne, wasz stosunek do rządu jest mi obojętny, ale wasi reporterzy i prezenterzy muszą mówić prawdę, nie mogą kłamać co do faktów

Patrzac szerzej, na co pan liczy, sięgając po kary? Ma to mieć efekt pedagogiczny?

Ktoś musi nakreślić nieprzekraczalne linie, oczywiście wynikające z polskiego systemu prawnego. Ktoś musi powiedzieć nadawcom, że będzie reakcja na język nienawiści, poniżanie współobywateli, grup społecznych, próbę promowania obrzydliwości, pornografii. I są już pierwsze efekty tych działań. Jeden z nadawców po nałożeniu na niego kary finansowej zrezygnował z polskiej wersji programu, który pod hasłem „magii nagości” prezentował treści uznawane za nieobyczajne.

Poruszamy się w trudnej materii. Jak wyważyć konieczność przestrzegania ustawy o radiofonii i telewizji, konstytucji i innych ustaw ze świętą zasadą wolności słowa, prawa do ostrej nawet krytyki?

Nie twierdę, że to łatwe, ale musimy wspólnie próbować. Jeżeli nic nie robimy,

to tym samym na wszystko się godzimy. Niektórzy nadawcy komercyjni w pogoni za zyskiem podepczą wszelkie zasady. Kieruję się w swoich działaniach najważniejszym kryterium – kryterium prawdy. Jeżeli tego się trzymamy, wiele spraw jest jasnych. Tak jest choćby w sprawie tej nieszczęsnej audycji TOK FM. Czy nastąpiło znieważenie ofiar II wojny światowej? Czy prawdą jest, że są one „cierpiętną ofiarą, której się cały czas coś należy”, czy też grupą, która do dzisiaj nie dostała należnego im zadośćuczynienia za ogromne cierpienia? I mówię tutaj też o żydowskich ofiarach, bo przecież gros z nich nadal walczy w sądach, np. w USA, chociażby o zwrot zagrabionej własności. Czy prawdą jest, że podręcznik zaakceptowany przez państwo polskie „czyta się jak podręcznik dla Hitlerjugend”? Odpowiedzi są oczywiste.

Czyte zasady będą obowiązywały media z wszystkich stron?

Oczywiście tak. Każda skarga będzie rozpatrzona, tak jak to się stało w sprawie szczecińskiej, gdzie moim zdaniem zachodziło ryzyko ujawnienia danych dzieci, ofiar pedofila. Mówię to także jako osoba z doświadczeniem nauczycielskim, wiem, jak to działa w małych, szkolnych społecznościach.

Zbadaliśmy to dokładnie i śledztwo tygodnika „Sieci” wykazało, że taka sytuacja nie zaistniała. Nikt w szkole chłopca, który potem popełnił samobójstwo, nie wiedział o tamtej sprawie, nie kojarzył go z całą tą burzą medialną. Przyczyny tej tragedii były zupełnie inne, osobiste, rodzinne.

Możliwe. Co nie zmienia faktu, że w mojej ocenie materiał Polskiego Radia Szczecin mógł pozwolić na identyfikację ofiar. To był błąd.

Nie było takiej troski w przypadku rozpisywania się przez media o sprawach kościelnych, nawet z dalekiej przeszłości, gdzie lokalni mieszkańcy od razu wiedzieli, o kogo chodzi.

Nie mogę odpowiadać za przeszłość. Ja tego standardu będę wymagał od wszystkich mediów, które mogą nadzorować. Liczę też na refleksję całego



środowiska dziennikarskiego i powrót do podstawowej zasady naszego zawodu: oddzielania faktów od komentarza. Opinie mogą być dowolne, ale fakty muszą być prawdziwe, nie mogą być wymyślane, nie mogą być fake newsami. Jeżeli środowisko dziennikarskie i nadawcy nie będą tej zasady pilnowali, ich wiarygodność będzie tylko mała. Podobnie jak trzeba przypomnieć o konieczności zwrócenia się do osoby, o której się opowiada, pisać z prośbą o odniesienie się do zarzutów, komentarz, zajęcie stanowiska. Ona ma prawo odmówić, ale musi mieć taką możliwość.

Dlaczego rzetelność jest w pana ocenie – w naszej zresztą też – tak ważna?

Bo jeżeli ludzie mają fałszywe informacje, podejmują na ich podstawie błędne decyzje. Weźmy sprawę rzekomego zatrucia Odry ręką, podobno na 100 lat. Okazało się to wyprodukowanym w Niemczech, powielonym w Polsce fake newsem. A przecież taka informacja mogła wpłynąć na setki decyzji życiowych, gospodarczych, już nie mówię o możliwości wywołania paniki. Jako regulator rynku mówię nadawcom otwarcie: wasze opinie mogą być dowolne, wasz stosunek do rządu jest mi obojętny, ale wasi reporterzy i prezenterzy muszą mówić prawdę, nie mogą kłamać co do faktów. O tym mówi też Prawo prasowe: informacje mają być rzetelne.

Prawdziwie groźna cenzura to dziś ta, po którą sięgają wielkie koncerny technologiczne. A cenzura jest zakazana. Regulaminy i algorytmy nie mogą stać wyżej od polskiej konstytucji i polskich ustaw

Wiemy, że KRRiT otrzymała tysiące skarg na dokument TVN o św. Janie Pawle II. Kiedy zostaną rozpatrzone?

Tych skarg jest już ponad 25 tys., wciąż napływają, oburzenie społeczne jest ogromne. Uważam, że ten film nie był adresowany do mnie czy do panów, do ludzi, którzy pamiętają tego wielkiego Polaka i kapłana. My wiemy, że to ahistoryczne i esbeckie wymysły. Celem było wpłynięcie na młodzież, która funkcjonuje w zupełnie innym kanonie pojęć, która nie wie, jak potężna była presja władz komunistycznych na Kościół, jak bardzo biskupi musieli unikać kontaktu z państwem PRL-owskim, nawet w sprawach tak trudnych jak pedofilia. Ludzie zostali tym programem TVN głęboko zranieni, są poważne wątpliwości co do warsztatu dziennikarskiego twórców. Nad czymś takim nie można

przejsć do porządku dziennego. Trwa postępowanie, zostały zamówione ekspertyzy, w tym w IPN, czekam też, aż wpłyną wszystkie skargi.

Koncesja dla TVN jest zagrożona?

To jest osobna sprawa. Skargi i postępowanie z nimi związane dotyczą dwóch audycji. W procesie koncesyjnym rozpatruje się wszystkie aspekty dotychczasowej działalności nadawcy i obecną sytuację. To jest oczywiście inna niż 10 lat temu. Stacja została przejęta najpierw przez jeden podmiot amerykański, potem przez Discovery. Ustawa jasno mówi, że w przypadku przejęcia przez inny podmiot trzeba przeprowadzić proces koncesyjny od nowa. Tego nie zrobiono.

Dlaczego?

Gdy pierwszy raz sprzedawano stację Amerykanom, ówczesny przewodniczący KRRiT Jan Dworak tematu chyba nie dostrzegł, nie zareagował. Ale konflikt z polskim prawem w mojej ocenie jest oczywisty. Dziś mamy także kolejny problem: struktura własnościowa właściciela TVN jest na tyle niejasna, że musimy spokojnie wyjaśnić, jaki podmiot jest na końcu. Sam TVN nie ułatwia sytuacji, bo upiera się, że jego struktura własnościowa powinna być utajniona.

Uważa pan, że są jakieś szanse na głębszą przebudowę rynku medialnego?

Wiadomo, kto w latach 90. dostał koncesje, kto mógł na tym rynku się rozwijać, otwarte archiwa byłej SB dały nam sporo wiedzy na ten temat.

Odpowiem tak: czasu cofnąć się nie da. Ale na szczęście otworzyły się ogromne możliwości technologiczne, rozwój internetu jest ogromną szansą dla nowego modelu funkcjonowania tego rynku, w tym mniejszych i nowych nadawców. To zupełnie nowa jakość. Mówię to jako człowiek, który od początku zdawał sobie sprawę z siły nowego medium, który w tej branży pracował od początku i który już w 1998 r. zorganizował pierwszą w Polsce internetową transmisję radiową. KRRiT powstała, by regulować najnowocześniejszy segment rynku mediów, którym wtedy były radio i telewizja. Dziś telewizja to medium schyłkowe. Prędzej czy później zostaną z tego tylko nadawane na żywo telewizje informacyjne i sportowe, a reszta przejdzie do streamingu na żądanie. Uważam, że powinna pójść za tym zmiana sposobu dystrybucji reklam, tak by podział pieniędzy z tego rynku był sprawiedliwy. Wymusi to po prostu rozwój technologii, tworząc nowe możliwości, w tym nowe modele funkcjonowania rynku.

Dziś jest on skrajnie upolityczniony. Media konserwatywne mają minimalne możliwości pozyskania reklam komercyjnych z domów mediowych.

Dostrzegam ten problem. Ten mechanizm osłabia także media regionalne i lokalne. Pracuję nad projektem, który dzięki użyciu najnowocześniejszych technologii pozwoliłby na bezpośredni przepływ zleceń od reklamodawcy do wydawcy i od czytelnika do wytwórcy treści, np. autora tekstu publicystycznego, blogera. Podkreślam: nikomu nie wypowiadam wojny, chcę tylko poszerzyć możliwości mniejszych wydawców dzięki użyciu nowoczesnej technologii. Obecny stan nie jest sprawiedliwy.

Co z Krajowym Instytutem Mediów, który miał dostarczyć nowe badania rynku? Było wokół tego sporo niejasności, mówi się o nieprawidłowościach.

Krajowy Instytut Mediów przechodzi obecnie proces naprawczy, wszystkie cele, które były przed nim postawione, zostaną zrealizowane. Przy okazji: odrzucam pojawiający się w niektórych mediach zarzut, że nic nie wiadomo o pracach instytutu, metodologii, którą przyjął. Mówią to ludzie, którzy sami uczestniczyli w cyklicznych spotkaniach, warsztatach na ten temat organizowanych przez instytut. Jedynym wytłumaczeniem takiej postawy jest gra konkurencyjna. Na pewno jednak potrzeba w tych sprawach więcej dialogu z rynkiem i będę o to dbał.

Stacja TVN została przejęta najpierw przez jeden podmiot amerykański, potem przez Discovery. Ustawa jasno mówi, że w przypadku przejęcia przez inny podmiot trzeba przeprowadzić proces koncesyjny od nowa. Tego nie zrobiono

Uważa pan, że KRRiT powinna otrzymać możliwość nadzorowania także internetu?

Tak uważam. Nie po to jednak, by cenzurować, ale bronić praw Polaków i wolności słowa. Prawdziwie groźna cenzura to dziś bowiem ta, po którą sięgają wielkie koncerny technologiczne. One naprawdę mogą kogoś wyciszyć, wymazać i odebrać prawo głosu. Państwo polskie musi temu przeciwdziałać. Cenzura jest zakazana, a ja jestem zdecydowanym przeciwnikiem cenzury w każdej formie.

Kiedy mogłoby się to stać?

To zależy od ustawodawcy i prezydenta. Takie projekty są, toczą się na ten temat dyskusje. Ja wyrażam swoje zdanie. Uważam, że najpilniejsze są reforma przepisów o sprostowaniach

w Prawie prasowym, które obecnie nie działają, i uwzględnienie w tym systemie przekazów internetowych. Dziś zaatakowany człowiek nie ma realnej możliwości obrony, odpowiedzi. Jeżeli nawet wywalczy sprostowanie, to kosztem ogromnych nakładów na prawników i po kilku latach. Trzeba to zmienić.

Jak mogłoby wyglądać ten nowy system?

Możliwości jest kilka. Według mnie przewodniczący KRRiT po otrzymaniu skargi na np. wyciszenie jakiegoś konta w medium społecznościowym mógłby działać podobnie jak przy skardze na podstawie ustawy o radiofonii i telewizji. Mógłby zgłaszać się do podmiotów oferujących pewne usługi z żądaniem ustosunkowania się do skargi lub nawet mógłby być wyposażony w narzędzia nakładania kar za bezprawne usuwanie informacji z sieci. To są oczywiście jedynie pomysły, ale już widać, że jakieś regulacje w tej kwestii powinny istnieć. Inna możliwość to nowelizacja Prawa prasowego, jeśli chodzi o sprostowania. Mówiąc w skrócie, chodzi o skrócenie tego procesu do maksymalnie 96 godzin razem z procesem sądowym o zamieszczenie sprostowania. W takich sprawach szybkość jest decydująca. Przypominam, że np. w trybie wyborczym sądy są w stanie szybko procedować i decydować np. o publikacji oświadczenia czy sprostowania.

Patrząc szerzej, dziś mamy sytuację, w której w internecie można własnie wszystko, a tradycyjne media, i tak już słabe, podlegają nadzorom, kontrolom, prawom autorskim i jeszcze są atakowane przez tenże internet. Dziwna sytuacja.

To się będzie musiało zmienić, bo musimy wdrożyć unijny akt o usługach cyfrowych, potocznie nazywany dyrektywą DSA. Jej zadaniem jest także uregulowanie działania wielkich platform społecznościowych. Ale ta regulacja musi być umiejętnie wprowadzana, by przy okazji nie zniszczyć wolności słowa w Polsce. KRRiT, którą kieruję, będzie tego pilnowała. Zmiany są jednak konieczne, bo rola mediów społeczno-

wych jest potężna i nadal rośnie. Pozycja Facebooka, Twittera i innych platform jest dziś tak duża, że musi zostać uregulowana przez państwa narodowe. I nie chodzi tylko o takie kłopoty jak przekazywanie wartości często sprzecznych z polskim prawem, już nie mówię o tradycji, kulturze. Narastającym problemem jest wprowadzanie przez te nowe media cenzury. A cenzura w Polsce jest zakazana. Regulaminy i algorytmy nie mogą stać wyżej od polskiej konstytucji i polskich ustaw. To dotyczy także innych narzędzi technologicznych, np. Google'a, który w mojej ocenie dyskryminuje Polaków.

Co pan przez to rozumie?

W wyszukiwarce zdjęć, jeżeli się wpisze „znaki hitlerowskie”, wyskakuje m.in. znak Polski Walczącej. Interweniowałem w tej sprawie wielokrotnie jeszcze jako szef Reduty, bez skutku [sprawdziłismy, tak jest do dzisiaj – przyp. red.].

Hasło repolonizacji mediów jest w pana ocenie jeszcze aktualne?

Trochę udało się zrobić, choćby odkupienie z rąk niemieckich koncernu Polska Press, wzmocniono też media publiczne. Bez wątplenia mamy jednak problem ogromnej koncentracji kapitału zagranicznego w mediach. A jeszcze większy z tym, że polska racja stanu w dużej części mediów dla wielu dziennikarzy nie jest najważniejsza. Czasem jest drugorzędna, a niekiedy te media przeciw niej pracują, atakując projekty rozwojowe, inwestycje czy produkty, niekiedy w sposób zaskakująco zgodny z interesem swoich właścicieli. Pamiętam, co wyrabiała niektóre redakcje w momencie ataku hybrydowego na polską granicę ze strony białoruskiej, jak próbowano zniszczyć karabinek Grot w przededniu wojny, jak się próbuje blokować kluczowe dla kraju inwestycje, jak przekop Mierzei Wiślanej, CPK itp.

Wierzy pan w obronę przez Polskę suwerenności informacyjnej w tych warunkach?

Tak, ale samo to się nie robi. Państwo musi działać aktywnie w tym kierunku.

Chcę też jasno powiedzieć, że to nie zawsze jest problem kapitału. Są media zagraniczne, które nie zwalczają polskiej racji stanu. Warunkami podstawowymi są przestrzeganie prawa, mówienie prawdy i niestosowanie cenzury. Konieczna jest też porządna edukacja medialna na poziomie szkolnym, by dzieci wiedziały, jak rozpoznać manipulację, jak krytycznie patrzeć na informację. Państwo musi też proaktywnie działać na zewnątrz, pilnować swojego wizerunku. Także prawda historyczna musi być aktywnie broniona. Kto będzie chciał walczyć za kraj, któremu kłamliwie przylepi się łatkę współników nazistów w okresie II wojny światowej?

Przy okazji: sprawdził się w pana ocenie model, w którym to Rada Mediów Narodowych wybiera władze mediów publicznych?

Ogólnie tak, te media są dziś w dobrej kondycji.

Telewizja Polska, w tym jej pion informacyjny i publicystyczny, dobrze wypełnia swoje zadania. Uzupełnia dramatyczne braki mediów komercyjnych. Jest też elementem systemu bezpieczeństwa państwa

Jak pan patrzy na rozmaite rankingi, które wskazują na rzekomy regres w tym obszarze w Polsce od czasu przejęcia władzy przez Zjednoczoną Prawicę?

To są oczywiście propagandowe ustawki, niemające nic wspólnego z rzeczywistym praktykowaniem wolności słowa. Tej jest dziś w Polsce więcej niż kiedykolwiek.

Jaka jest pana ocena mediów publicznych? Jak odgrywają swoją rolę?

Telewizja Polska, w tym jej pion informacyjny i publicystyczny, dobrze wy-

pełnia swoje zadania. Pełni misję w pełnym tego słowa znaczeniu, bo uzupełnia dramatyczne braki mediów komercyjnych. Gdyby nie TVP Info, Polacy nie mogliby się dowiedzieć o wielu ważnych faktach, jak stan budżetu, wysiłek modernizacyjny w Wojsku Polskim, inwestycje w polską infrastrukturę. To często jedyne wielkozasiegowe media, w których można sprostować nieprawdziwą informację, zatrzymać nakręcane kłamliwe nagonki. Tam toczą się też ważne dla naszego życia publicznego realne debaty.

Dlaczego są zatem tak straszliwie atakowane?

Właśnie dlatego – mówiąc prawdę, psują różne plany, także polityczne. Te ataki bywają świadectwem prawdziwego zdziwienia, szczególnie wstyd, gdy biorą w tym udział media konkurencyjne. Choć każdy wie, że tutaj jest też aspekt finansowy: zniszczenie mediów publicznych dałoby nadawcom komercyjnym potężny zastrzyk finansowy na słabnącym rynku. Musimy jednak pamiętać, że mamy szczególny, wojenny czas. W takiej sytuacji dyskredytacja mediów publicznych, będących dla Polaków wiarygodnym źródłem informacji, elementem systemu bezpieczeństwa państwa, nie jest ogromne zagrożenie.

Jaka będzie rola KRRiT w czasie kampanii wyborczej? To będzie czas ostrych walk politycznych, medialnych?

Będziemy reagowali na głosy obywateli, jakiegoś specjalnego monitoringu nie będzie. Wszyscy musimy się zmieścić w ramach między świętą wartością, którą jest wolność słowa, a świętym prawem obywateli do poznania prawdy.

Na koniec zapytamy: dlaczego w pana gabinecie wiszą flagi polskie i NATO-wska?

Uważam, że KRRiT jest jednym z ogniw łańcucha obrony informacyjnej Polski. W to, że jesteśmy w tym obszarze coraz brutalniej atakowani, nikt trzeźwo myślący chyba nie wątpi. Pracę tutaj traktuję jako dalszy ciąg służby na rzecz niepodległości Polski.

Ostatni schabowy

Wyborcza walka o polską wieś weszła w fazę wojny totalnej i totalnej manipulacji



STANISŁAW JANECKI

Już nie koniec demokracji czy praworządności jest tym, co motywuje opozycję spod znaku Koalicji Obywatelskiej do walki z Prawem i Sprawiedliwością. Największym prob-

lemem Polski w wyborczym 2023 r. stał się koniec schabowego. Uświadomienie sobie końca schabowego nastąpiło nagle – 7 maja 2023 r. To wtedy posłanka KO Marzena Okła-Drewnowicz odwiedziła stadko (kiedyś stado) świń w Opatowcu, by tam w obecności potencjalnych schabowych stwierdzić: „Na polskich stołach polski schabowy, schabowy z polskiej świni to będzie naprawdę unikat. Już dziś jest rzadkością, bo możecie spotkać schabowego częściej duńskiego albo niemieckiego”. Koniec schabowego podchwyciła po-

ślanka KO Małgorzata Chmiel (z kotletem nabitym na widelec), obwieszcza-
jąc, że już niedługo na polskich stołach zabraknie kotleta schabowego, gdyż za rządów PiS na polskich stołach królują niemieckie i duńskie schabowe. Tego samego dnia nad strasznym losem polskich świń w specjalnych nagraniach pochylił się też posłanka Marta Wcisło oraz małżeństwo polityków: Kinga Gajewska i Arkadiusz Myrcha. Nie mogła nie zareagować wiceprzewodnicząca PO Izabela Leszczyna, pisząc na Twitterze (również 7 maja 2023 r.):



Straszny los schabowego to tylko jeden z epizodów wyborczej walki o polską wieś. Zaczęło się od ukraińskiego zboża zalewającego polski rynek, a potem także drobiu, jaj, produktów mleczarskich, miodu, olejów czy owoców. Następnie walka objęła polską ziemię rolną. Znowu zaczął Donald Tusk, który na spotkaniu w Poznaniu stwierdził, że obecnie Niemcy częściej kupują polskie grunty. A konkretnie w 2022 r. sprze-

Opozycja twierdzi, że PiS
zaorał polską wieś, rządzący
– że polską wieś odkopali.
Na wsi mieszka 14,3 mln osób,
czyli dwa razy więcej niż
w wielkich miastach. I to wieś
zdecyduje o wyniku wyborów

dano dziewięć razy więcej ziemi niż wtedy, gdy on był premierem. Dodał również, że rząd PiS pozwala na wyprzedawanie polskich lasów Chinom. Gorszi nie mogli być posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego, więc także Władysław Kosiniak-Kamysz oraz Jarosław Rzepa, Stefan Krajewski i Krzysztof Paszyk rzucili się bronić polskiej ziemi. Wyborcza walka o polską wieś weszła w fazę wojny totalnej.

ŚWIŃSKA SPRAWA

W wojnie totalnej wszystko z wszystkim się miesza, więc najbardziej cierpi prawda (fakty). Posłanka Marta Wcisło (KO) ustawiła na stole pięć pluszowych świnek, a następnie cztery z nich zrzuciła na ziemię, żeby pokazać, iż „w 2015 r., gdy rządziła Platforma Obywatelska, w Polsce było 250 tys. stad świń. Przez ostatnie osiem lat, za rządów PiS, o 80 proc. spadła hodowla”. Po prostu świny znikają. Ile zniknęło? W małżeństwie Gajewskiej i Myrchy nie uzgodniono, czy zostało 60 tys., czy 50 tys. stad. W każdym razie świny

stają się taką samą rzadkością jak damy i dżentelmeni, choć liczba stad ma niewiele wspólnego z pogłowiem.

Faktem jest, że już 13 grudnia 2019 r. posłowie Jarosław Sachajko i Paweł Szramka (jeszcze wtedy w klubie Koalicja Polska – PSL-Kukiz'15) złożyli interpelację do ministra rolnictwa i rozwoju wsi w sprawie rozwoju gospodarstw rodzinnych zajmujących się trzodą chlewną. I stwierdzili, że w ciągu

ostatnich 12 lat pogłowię trzody chlewnej obniżyło się w Polsce prawie o połowę – z 18 mln sztuk do ok. 11 mln. Faktycznie na koniec 2006 r. w Polsce hodowano prawie 19 mln świń, by w 2015 r. ta liczba spadła do 10,5 mln. Największy spadek pogłowia (o 45 proc.) nastąpił więc za rządów koalicji PO-PSL. Potem już nigdy pogłowię nie przekroczyło 12 mln sztuk, ale spadki były kilkuprocentowe. Posłowie Sachajko i Szramka zauważyli, że w polskich warunkach trudno o rentowność w małych gospodarstwach trzodowych.

Tym bardziej że ceny importowanego żywca lub mięsa często są niższe niż w Polsce. Posłowie podali, że „świnie utrzymuje się aktualnie [w grudniu 2019 r.] w 164,7 tys. gospodarstwach. Dla porównania w Niemczech jest ich 27 tys., w Holandii 5 tys., a w Danii zaledwie 3,9 tys. U nas średnio jeden rolnik posiada stado wielkości 64 sztuk, w Niemczech wynosi ono ponad 1 tys. sztuk, w Holandii 2,4 tys., a w Danii 3,1 tys. sztuk. Prawie 50 proc. zgłoszonych w Polsce stad utrzymuje tylko od 1 do 10 świń, ale jest to zaledwie 4 proc. polskiej populacji świń”. Parlamentarzyści zauważyli także, że „w ostatnich latach maleje w Polsce pogłowię macior. Rośnie natomiast liczba importowanych żywych świń, głównie prosiąt i warchlaków (szacunki podają już ponad 7 mln w 2018 r.)”.

Okazuje się, że szczyt produkcji trzody chlewnej przypadł na pierwszą połowę lat 90., gdy pogłowię przekraczało 20 mln sztuk. Później trzody chlewnej systematycznie ubywało, co wynikało z otwartego rynku po wstąpieniu 1 maja 2004 r. do Unii Europejskiej

„Gdy kilka lat temu człowiek zapraszał rodzinę na tradycyjny niedzielny obiad, to wiedział, że naraża się na wyższy cholesterol, ale przynajmniej wspiera polską żywność. Przez politykę PiS zamiast polskich hodowców i producentów wspieramy Duńczyków i Niemców”.

Wszystko rozpoczął Donald Tusk, który już 15 marca 2023 r. w dramatycznym nagraniu poinformował Polaków, że ukochany schaboszczak zdrożał od czasu jego rządów z 11,99 zł do prawie 21 zł za kilogram.

Widząc, że Koalicja Obywatelska tworzy bojowe oddziały mające bronić schabowego, własną walkę zapowiedział szef Agrounii Michał Kołodziejczak.

i zagranicznej konkurencji. Choć coraz więcej gospodarstw rezygnowało z chowu trzody, choć żniwo zbierała afrykański pomór świń, pogłowie utrzymuje się w granicach 10,5–11 mln sztuk. Oznacza to, że rosła koncentracja produkcji trzody (znikające stada w filmikach posłów KO). Faktem jest, że w czasie rządów PO-PSL produkcja trzody chlewnej zaczęła zaspokajać ok. 80 proc. krajowego zapotrzebowania na wieprzowinę. Przez to nasz rynek uzależnił się od importu. W dodatku spora część producentów zrezygnowała z chowu loch na rzecz prostszego tuczu, więc trzeba było importować nawet 7 mln prosiąt rocznie. W efekcie dużą część zysków z tuczu pochłania koszt zakupu warchlaków.

ZIEMIA CORAZ BARDZIEJ POLSKA

Władysław Kosiniak-Kamysz stwierdził na początku maja 2023 r.: „PiS wyprzedaje polską ziemię na potęgę. To fałszywi obrońcy polskiej wsi. Skandal!”. Na te zarzuty odpowiedział wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik: „Rząd PiS w 2022 r. wydał cudzoziemcom zgodę na zakup 30 ha gruntów rolnych. W 2014 r. rząd PO-PSL wydał cudzoziemcom zgodę na zakup 1030 ha gruntów rolnych. Który rząd wyprzedawał polską ziemię?”. I dodał: „To PSL negocjował traktat akcesyjny, który w 2016 r. uwolnił handel ziemią rolną dla obywateli UE. Dopiero rząd PiS wprowadził przepisy dające prawo pierwokupu polskim rolnikom”.

Wyjaśnienia ministra Wąsika tylko rozsierdziły posłów PSL. „Wyprzedawana jest polska ziemia w obce ręce i oczekujemy, że minister spraw wewnętrznych i administracji przeprowadzi szczegółowe kontrole i przedstawi, kto ile tej ziemi dokładnie kupił” – grzmiał poseł Stefan Krajewski. I twierdził, że najczęściej ziemi kupowały firmy zarejestrowane w Luksemburgu i na Cyprze. „Nie wiemy, czy to są obywatele tamtego pochodzenia, czy może przybyli ze wschodu i kupili tu ziemię” – mówił Krajewski. Odpowiedział Leszek Galeb (PiS), zastępca przewodniczącego Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi: „Są to tezy kłamliwe

i przewrócone, gdyż ani rolnej ziemi, ani ziemi z państwowych gospodarstw rolnych nie sprzedajemy żadnym obcokrajowcom. Jeżeli sprzedajemy ziemię obcokrajowcom, to pod duże inwestycje, które tworzą nowe miejsca pracy”.

W wojnie o polską wieś w kwestii sprzedaży ziemi w obce ręce zniknęło to, że w 2016 r. upłynął okres przejściowy na nabywanie nieruchomości rolnych

PO i PSL będą robić wszystko, żeby mieszkańcy wsi zapomnieli, że rząd PO-PSL kazał wiejskim kobietom pracować aż o 12 lat dłużej

przez cudzoziemców. Od tego momentu cudzoziemcy, a także firmy z Europejskiego Obszaru Gospodarczego i Szwajcarii mogli kupować nieruchomości bez pozwolenia. O zezwolenia musieli występować tylko cudzoziemcy z innych państw. Żeby zapobiec niekontrolowanej wyprzedaży ziemi, w 2016 r. zostały zmienione przepisy ustawy o kształtowaniu ustroju rolnego. PiS wprowadził ustawę o wstrzymaniu sprzedaży nieruchomości Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa. Unijne przepisy po 2016 r. nie pozwalają jednak całkiem zakazać sprzedaży ziemi cudzoziemcom. Dlatego o ile w 2015 r. sprzedano obcokrajowcom 412 ha ziemi rolnej i leśnej, to w 2020 – 1565 ha. Cudzoziemcy mogą nabyć ziemię, jeżeli są rolnikami indywidualnymi, pracują w Polsce, przez pięć lat osobiście prowadzą gospodarstwo. Ustawa nie dotyczy jednak nieruchomości do 0,3 ha, więc cudzoziemcy mogli je nabywać. Po zmianie w 2019 r. i zliberalizowaniu prywatnego obrotu można nabywać bez zgody Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa nieruchomości do 1 ha. W 2014 r. na podstawie zezwolenia (a także bez konieczności ubiegania się o nie) cudzoziemcy nabyli 4076,88 ha nieruchomości gruntowych. Wśród osób fizycznych kupujących polskie

grunty dominowali Niemcy, Holendrzy i Ukraińcy, w przypadku osób prawnych – Holendrzy i Niemcy.

Problemem jest to, że informacja o narodowości osób kupujących nieruchomości rolne i leśne jest udostępniana w corocznych sprawozdaniach MSWiA dopiero od 2014 r., więc danych nie można porównać. Wzrost sprzedaży ziemi po 2016 r. wprost wynika z unijnych przepisów likwidujących pozwolenia. Czyżby politycy PO i PSL sprzeciwiali się unijnym regulacjom, które sami przyjmowali?

WIEŚ ZAORANA CZY ODKOPANA

Wojna o polską wieś trwa w najlepsze i na razie toczy się o polskie świnie, grunty rolne i ukraińskie produkty rolne. Ale wkrótce ta wojna obejmie wszystko, co tylko się da w nią włączyć. Powód jest prosty: na wsi mieszka 14,3 mln osób, czyli dwa razy więcej niż w wielkich miastach. I to wieś zdecyduje o wyniku wyborów. PO i PSL będą robić wszystko, żeby mieszkańcy wsi zapomnieli, że rząd PO-PSL kazał wiejskim kobietom pracować aż o 12 lat dłużej. Ale trudno im będzie przekonać mieszkańców wsi, że zaszkodził im program 500+. Trudno będzie przekonać, że rząd PiS nie dba o wyrównywanie poziomu życia na wsi w stosunku do miast. Trudno będzie zignorować inwestycje na polskiej wsi, bo – jak mówi premier Mateusz Morawiecki – „nie ma miejscowości za małych na inwestycje, są tylko politycy zbyt mało dojrzały, żeby to zrozumieć”.

Przeciw opozycji przemawia także to, że od 1 marca 2023 r. emerytura z KRUS została podwyższona do 90 proc. najniższej emerytury z ZUS (wzrost o 345,02 zł). Zmiana ta spowodowała wzrost wszystkich wypłacanych przez KRUS emerytur rolniczych, rent rolniczych z tytułu niezdolności do pracy i rent rodzinnych. Każdy emeryt na wsi otrzyma także 13. i 14. emeryturę. No i od 1 lipca 2022 r. rolnicy uzyskują świadczenia emerytalne bez konieczności pozbywania się gospodarstwa. Opozycja będzie twierdzić, że PiS zaorał polską wieś, rządzący – że polską wieś odkopali. Wynik wojny o wieś poznamy przy urnach jesienią 2023 r.

Zdrada Kazika



Platforma poczuła się silna wsparciem prymitywnych hunwejbiniów i nie musi zabiegać o akceptację swojego bardziej wyrafinowanego zaplecza.

Przeciwnie, to właśnie to zaplecze – liberalna profesura, dziennikarze, wolne zawody – ma strzelić obcasami i przyłączyć się do chóru pod batutą Silnych Razem



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kazik to idiota i zawsze irytowało mnie to, gdy dziennikarze rozmawiali z nim na tematy pozamuzyczne, szczególnie o polityce i o życiu – napisał na Twitterze Jerzy Skoczylas, znany głównie z tego, że kiedyś przeprowadził wywiad rzekę z Czesławem Kiszcziakiem.

Co tak rozjuszyło antypisowskiego felietonistę? Otóż – jak sam wyjaśnia – dowiedział się, że Kazik Staszewski nie pójdzie na wybory, bo nie ma na kogo głosować. Chodziło o wypowiedź muzyka z marca. Wtedy, podczas rozmowy w RMF z Robertem Mazurkiem, lider Kultu oświadczył, że nie będzie popierał żadnej partii, ponieważ nie znajduje dla siebie nic ciekawego w propozycjach przedstawianych przez polityków.

Co ciekawe, słowa Kazika przeszły wtedy właściwie niezauważone. Cisza trwała aż do początku maja, gdy po dwóch miesiącach od emisji ich treść dotarła w końcu do fanatycznej sekty

Silnych Razem. Wśród opozycyjnych trolli aż się zagotowało. Przez kilka dni wyzywali muzyka od szmat, debili i kryptopisowców. Trudno im było znieść, że Kazik, którego dotąd uważali za swojego, zdradził i u progu wielkiej bitwy okazał się wstrętnym symetrystą, demobilizującym elektorat PO i wspierającym w ten sposób PiS. „Za ile srebrników cię przekupili?” – pytali Kazika w internecie Silni Razem.

WRÓG I SZMATA

Wychodzi na to, że antypisowska sekta po prostu zbyt pochopnie zaliczyła Kazika do swojego grona. Wszystko

z powodu słynnej awantury sprzed trzech lat, którą urządziło w radiowej Trójce grono antyrządowych dziennikarzy tej stacji, gdy jakoby zdjęto z pierwszego miejsca na liście przebojów piosenkę Kazika. Chodziło o utwór „Twój ból jest lepszy niż mój”, w którym Kazik miał skrytykować Jarosława Kaczyńskiego za wizytę na grobach ofiar katastrofy smoleńskiej podczas pandemicznego zamknięcia cmentarzy.

Przepychanki wokół emisji tej piosenki zostały uznane w kręgach opozycji za akt męczeństwa grupki PRL-owskich weteranów Trójki i stały się dla nich wygodnym pretekstem do odejścia ze stacji, a Kazik – co zresztą sam później przyznał – uznał aferę za doskonałą formę reklamy. „Robią mi promocję, na którą musiałbym wydać miliony złotych, których nie mam” – powiedział w maju 2020 r.

Problem w tym, że Kazik mimo krytycznego stosunku do PiS nie jest fanatykiem, za jakiego wzięli go antypisowscy sekciarze. Im wystarczyło, że zaśpiewał coś przeciwko Kaczyńskiemu, i od razu uznali go za swojego, podczas gdy muzyk nigdy nie ustawał się w roli barda Platformy. Jeśli w ogóle zdradzał jakieś wyraźniejsze poglądy, to był raczej znany jako liberal – i to w dość klasycznym wydaniu – a więc niechętny podatkowi, silnym rządowi i ideologiom. Z opętana na punkcie władzy opozycją także nie było mu najwyraźniej po drodze. Nic więc zaskakującego, że potwierdził to w swojej marcowej rozmowie z Mazurkiem.

W nieskomplikowanym intelektualnie świecie Silnych Razem taka postawa jest jednak nie do przyjęcia. Tam każdy, kto nie ustawi się równo w szeregu, zostanie natychmiast uznany za szmatę i zdrajcę.

Potwierdza to dziennikarz Marcin Meller do niedawna związany z TVN. Jego zdaniem wrogiem numer jeden dla radykałów Platformy nie jest wcale PiS, lecz osoby z wnętrza obozu, które pozwalają sobie na odstępstwa od partyjnej linii. Meller doświadczył już ataków ze strony fanatyków, gdy w swoim programie emitowanym w internecie nieopatrznie pozwolił sobie na przytomną uwagę, że opozycja nie potrafi

dotrzeć do zwykłych ludzi. „Zapytałem ostatnio pewnego znajomego, działacza Koalicji Obywatelskiej poza Warszawą: »A na co u was PiS wydaje kasę?«. Mówi tak: »Na koła gospodyń wiejskich, kluby sportowe, straż pożarną, drogi, przedszkola«. I to faktycznie, obiektywnie, nawet mi pokazał, że przedszkole jest budowane” – opowiadał Meller.

Środowiska opozycji, które szukały w PO ratunku przed „plebejską prawicą”, same teraz utkwily po uszy w plebejskim bagnie i jeszcze oczekuje się od nich, by się w nim radośnie pluśkały

Silni Razem, dla których rządy PiS należy przedstawiać wyłącznie w kategoriach katastrofy, takich słów nie wybaczą. „To wąska grupa, ale oni są kokietowani przez szefostwo Platformy, zastraszają dziennikarzy, żądają wyrzucenia ich z pracy. To nie są żarty” – relacjonował dziennikarz.

Słowa o kokieterii to rodzaj eufemizmu lub też zwykłej ostrożności ze strony Meller. Bo Silni Razem to nowe wcielenie Palikota, dość dobrze zorganizowana wataha Tuska, którą posługuje się on w organizowaniu kampanii hejtu oraz wywieraniu presji na każdego, kto może mu przeszkadzać w drodze do władzy. Opluwani codziennie przez hejterów politycy i wyborcy rządzącej prawicy znają to od dawna, ale teraz przekonują się o tym również bliscy opozycji publicyści oraz potencjalni sojusznicy PO, jak np. Szymon Hołownia, któremu nie spieszy się do wspólnego startu w wyborach pod wodzą Tuska i który odmówił udziału w organizowanym przez PO marszu 4 czerwca. Natychmiast został nazwany zdrajcą i smarkaczem. „Z gówniarzami nie idzie się

bić o demokrację, ich się wysyła do kąta i poważną lekcję prowadzi dalej. Szymuś, wyp...j” – można było przeczytać na Twitterze.

MASKI OPADŁY

Platforma wyhodowała wokół siebie sektę rozgrzanych hunwejbiniów nawołujących do rozprawy z wrogiem i nieustannie szukających zdrajców we własnych szeregach. To być może działa mobilizująco na bardziej prymitywne umysły wśród elektoratu opozycji, ale jednocześnie zniechęca, a nawet przeraża te nieliczne środowiska krytyczne wobec PiS, które zachowały jeszcze zdolność do samodzielnego osądu rzeczywistości.

Meller wcale przecież nie popiera PiS, on punktuje błędy własnego obozu wyłącznie w trosce o jego przyszłość. Jednak Platforma przybrała postać

wytresowanej, coraz bardziej autoritarnej formacji, która odrzuca jakiegokolwiek głosy krytyki. Nienawiść do PiS jest niepodważalnym aksjomatem i głównym motorem napędowym partii Tuska. Tyle że sama nienawiść bez konstruktywnego programu – co starał się powiedzieć Meller – nie wystarczy do zwycięstwa w wyborach. Obsesje Tuska i jego zaczadzonych wyznawców raczej zniechęcają zwykłych ludzi, niż ich mobilizują. Wulgarne nagonki nie pomagają też w budowaniu szerokich koalicji wyborczych. Nic więc dziwnego, że tu i ówdzie pojawia się sceptycyzm wobec obecnej strategii PO oraz jej przewodniczącego.

Nawet bliscy opozycji Zbigniew Hołdys, który nie słynie przecież z wyrafinowanych analiz politycznych, zauważył niespodziewanie, że hasła głoszące rozpad PiS są przedwcześnie. „A już wiwaty o wygranych w związku z tym wyborach uważam za durne” – napisał na Twitterze. Skoro takie rzeczy widzi już także Hołdys, to musi to oznaczać, że w środowiskach bliskich Platformie nastroje zwątpienia są dość powszechne.

Maski z twarzy opadły. Z Platformy, która kiedyś próbowała się przedstawić jako nowoczesna, europejska – niemalże elitarna – partia, wyłoniło się dziś prawdziwe oblicze: bezideowej, opętanej żądzą władzy formacji, której kibicuje prymitywna i wulgarna tłuszcza. Oczywiście na prawicy – co jeszcze raz powtórzę – zdawano sobie z tego sprawę od wielu lat, jednak dopiero teraz ta prawda przebija się stopniowo do środowisk opozycji, zwłaszcza tych, które są mentalnymi sierotami po nieboszczce Unii Wolności i które szukały w PO ratunku przed „plebejską prawicą”. Teraz okazało się, że one same utkwily po uszy w plebejskim bagnie i jeszcze oczekuje się od nich, by się w nim radośnie pluskały. Nie wszystkim to odpowiada. Zbyt cierpi na tym poczucie własnej elitarności, które u niektórych jest najwyraźniej silniejsze od nienawiści do PiS.

PIC NA WODĘ

Wśród zwolenników PO są tacy, którzy naprawdę uwierzyli w bujdy o zagrożeniu praworządności, demokracji i wartości europejskich. Tymczasem jasne jest, że spora część opozycji z Platformą na czele traktuje te hasła instrumentalnie jako taran na drodze do władzy. Jeśli PO jest dzisiaj liberalna i skręca w lewo, to nie wynika to przecież z jakiejś ideowej refleksji jej przywódców i wyznawców, lecz z zimnej kalkulacji. Dobro publiczne, wartości, pomyślność państwa to przecież tylko pic na wodę – mrzonki inteligenckich frajerów.

Gdyby konfiguracja polityczna Polski była inna i głównym rywalem Tuska byłaby np. liberalna lewica, to Platforma zgłaszałaby – i to bez problemu – zupełnie inne postulaty. Zamiast związków partnerskich słyšelibyśmy pewnie o ochronie polskiej rodziny, zamiast samochodów elektrycznych i dekarbonizacji byłaby walka o polskie górnictwo, a wprowadzenie euro zostałoby uznane za zamach na polską niezależność. Ogólnie byłyby to postulaty słuszne – podobne głosi dziś przecież obóz Zjednoczonej

Prawicy – tyle że prawicy naprawdę na tym zależy, a Platforma jest formacją bezideową, która głosi zwykle to, co jej się akurat opłaca. Widać to doskonale na przykładzie niedawnej akcji z kotletami schabowymi, podczas której politycy PO straszili niemieckimi świniami.

Zwolennicy opozycji w rodzaju Meller znaleźli się więc w mało komfortowej sytuacji. Bo o ile oni mają jakieś ukształtowane poglądy, o tyle formacja, w której pokładali lub ciągle pokładają swoje nadzieje, takich poglądów nie ma i potrafi być bardzo elastyczna, a jej elektorat zaczadzony nienawiścią do PiS pójdzie wszędzie tam, gdzie wskaże wódz partii i przyjmie bez szemrania każdą ideową woltę.

Liberalne elity, czerpiące dziś tanią sławę z krytyki PiS i pomstowania na plebs, bezpowrotnie straciły sporą część dawnej władzy, stając się zakładnikami prymitywnej, antypisowskiej tłuszczy

WSTYD, ŻENADA I UPOKORZENIE

Widoczny rozdzźwięk między Platformą a częścią sprzyjającego jej środowiska inteligenckiego nie wynika jednak tylko z tego, że partia Tuska jest formacją koniunkturalistów, którym chodzi wyłącznie o władzę. To jeszcze można byłoby wybaczyć, gdyby nie druga okoliczność.

Otóż ci koniunkturaliści wcale nie zamierzają być posłusznymi wykonawcami linii nakreślonej przez liberalne salony, tak jak to było w przypadku Unii Wolności. Platforma poczuła się silna wsparciem prymitywnych hunwejbiniów i nie musi zabiegać o akceptację swojego bardziej wyrafinowanego zaplecza. Przeciwnie, to właśnie to zaplecze

– liberalna profesura, dziennikarze, wolne zawody – ma strzelić obcasami i przyłączyć się do chóru pod batutą Siłnych Razem, albo – jeśli nie potrafią się tak upokorzyć – przynajmniej siedzieć cicho.

Niektórzy, i to całkiem liczni, kompromitują siebie samych i swoje środowiska zawodowe czy naukowe, uczestnicząc w prostackich kampaniach nienawiści, inni siedzą cicho, a jeszcze inni – najmniej liczni – tak jak Meller próbują zgłaszać zastrzeżenia. Po czym obrywają po twarzy od watahy prostaków, którzy nadają ton kampanii politycznej. Wstyd, żenada i upokorzenie to mało powiedziane.

Bo nawet gdyby opozycji udało się jakimś wielkim wysiłkiem wygrać wybory, to znany postulat Agnieszki Holland nie spełni się w całości i nie będzie już zupełnie tak samo jak kiedyś. Liberalne elity, czerpiące dziś tanią sławę z krytyki PiS i pomstowania na plebs, bezpowrotnie straciły sporą część swojej dawnej władzy, stając się zakładnikami prymitywnej, antypisowskiej tłuszczy. Będą nadal akceptowane i nagradzane przywilejami, ale pod warunkiem zachowania dyscypliny i posłuszeństwa hołocie. Tej samej, która każe dziś „wyp...lać” Hołowni i domaga się odebrania polskiego obywatelstwa Kazikowi Staszewskiemu. Nie ulega wątpliwości, że wielu się podporządkuje. Już to robią. Tak samo jak wielu ich poprzedników w czasach komunizmu.

Kończą się czasy, w których liberalne elity pouczały ze swojego parnasu, co myśleć i jak głosować. Na szczęście nie wszyscy słuchali tych rad, ale ci, którzy kiedyś ich posłuchali, okazali się teraz wielką porażką edukacyjną swoich dawnych nauczycieli.

Marcin Meller nie powinien się więc dziwić, że Platforma okazała się daleka od jego oczekiwań, a on sam jest recenzowany przez prostaków. Swoje uwagi powinien jednak kierować także do własnego środowiska. Bo to ono pomogło stworzyć potwora, który przywołuje go teraz do porządku.



Droga usłana kłódami

Z *Olgą Semeniuk-Patkowską*, wiceminister rozwoju i technologii, oraz z *Piotrem Patkowskim*, wiceministrem finansów, rozmawia Dorota Łosiewicz

W majówkę media społecznościowe żyły m.in. państwa zdjęciami z pikniku w parku. Hejt zabolął czy jesteście odporni?

Olga Semeniuk-Patkowska: To było o tyle zaskakujące, że przecież podstawą miłości jest opieka nad drugim człowiekiem. Hejtowano więc rzecz naturalną. To niezrozumiała praktyka liberalnego establishmentu atakującego świętość rodziny. Obserwujemy narastający

atak na instytucję małżeństwa, brutalne tego przykłady mieliśmy przy śp. Marii i Lechu Kaczyńskich, a powodem hejtu była troska, jaką żona okazywała mężowi: poprawienie krawata, włosów czy dostarczenie do samolotu swetra. Hejt, który nas dotknął, jest wynikiem polaryzacji nastrojów w Polsce. Pewnie gdybyśmy nie należeli do PiS, tylko np. do PO, potraktowano by nas łagodniej i z większą sympatią. Do hejtu, nawet

tego w codziennym życiu – na ulicy czy w restauracji – już się zdążyliśmy przyzwyczaić. Bardziej martwi ta silna polaryzacja.

Piotr Patkowski: Osoby publiczne muszą być przygotowane na taką sytuację, a internet rządzi się swoimi prawami, dominują w nim ostre sformułowania. Gorzej, gdy hejt pojawia się w ustach polityków, osób publicznych i spotyka się z przyzwoleniem. Często te osoby przekraczają



*Inaczej widzimy rzeczywistość
i to poszerza ogląd spraw. Olga jest
świetna w relacjach interpersonalnych,
ja uwielbiam dokumenty i tabelki.
I gdy w domu rozmawiamy o polityce
czy pracy, to nasze różne podejścia dają
komplementarny obraz*

wszelkie dopuszczalne granice. Tak było z prezydentem Białegostoku Ta-deuszem Truskolaskim czy posłem Witoldem Zembaczyńskim, który z mównicy sejmowej, przy biernej aprobachie marszałek Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, naśmiewał się z mojego wyglądu. Ta wypowiedź nadawała się do komisji etyki, ale pani marszałek wołała nie słyszeć. Warto też zauważyć, że hejt nie jest domeną całej opozycji. Politycy Lewicy nie dają się wepchnąć w hejterską narrację, ale politycy PO przekraczają wszelkie granice. I takie wzorce idą w dół społeczeństwa.

Często mówi się o was „pierwsza para w rządzie”. Czy spotykacie się z docinkami ze strony kolegów z rządu?

O.S.-P.: Nigdy. Wręcz przeciwnie. Otrzymujemy na co dzień sporo wsparcia, bo to piękne, gdy nagle w gąszczu politycznego życia i codziennych spraw pojawia się miłość.

P.P.: Staramy się oddzielać życie prywatne od publicznego, zwłaszcza że między ministerstwami rozwoju i finansów jest duża współpraca. Gdy współpracujemy na stopie zawodowej, jesteśmy profesjonalistami i nasze otoczenie to widzi.

O.S.-P.: Czasem dochodzi jednak do zabawnych sytuacji. Tak było np. podczas Stałego Komitetu Rady Ministrów, podczas którego prezentowałam punkt programu wspierania inwestycji. Dotyczył on zwiększenia budżetu owego programu, który podlega pod mój resort. Minister Schreiber jako przewodniczący zespołu poprosił o uwagi Ministerstwa Finansów. Piotr powiedział wówczas, że wszystko zostało uzgodnione. I ta sytuacja wywołała pozytywny uśmiech kolegów z rządu.

Mówi pan o rozdzielaniu życia publicznego i prywatnego, ale w domu musicie rozmawiać o polityce?

O.S.-P.: Bardzo dużo rozmawiamy.

P.P.: Ale inaczej widzimy rzeczywistość i to poszerza ogląd spraw. Olga jest świetna w relacjach interpersonalnych, ja uwielbiam dokumenty i tabelki. I gdy w domu rozmawiamy o polityce czy pracy, to nasze różne podejścia dają komplementarny obraz.

Życie to nie tylko polityka. Co robicie poza nią?

P.P.: Gdy mamy więcej wolnego czasu, chodzimy do kina czy na spacer. Wzajemnie zachęcamy się do realizowania własnych pasji. Ja np. uwielbiam oglądać różne dyscypliny sportu, ale najchętniej na żywo. I dlatego zabieram Olgę na mecze czy na wyścigi konne.

O.S.-P.: A ja to uwielbiam.

P.P.: Staramy się też odpoczywać tak, jak każdy z nas lubi najbardziej przy jednoczesnym byciu razem.

O.S.-P.: Nigdy nie lubiłam chodzić na mecze piłkarskie, a nagle znalazłam w tym przyjemność. Wyścigi konne to taka warszawska tradycja, która nas łączy, bo wcześniej na nie już chodziłam, choć nie obstawiałam w przeciwieństwie do Piotra. Lubię też wyścigi ze względu na modę, można ją na Służewcu obserwować. Poza tym wyciszają nas filmy, książki. Lubimy dokumenty: polityczne i historyczne. Piotr lubi też filmy i seriale historyczne, ja lubię dokumenty kryminalne.

P.P.: Dzięki sobie widzimy odcienie życia, które nas wcześniej nie interesowały. Przekonałam Olgę, że podczas

meczu nie tylko sama rozgrywka jest ważna, lecz także to, co dzieje się na trybunach. Przekonuję ją do ruchu kibicowskiego i mocnego zaangażowania w dopingowanie. A dzięki Ol-dze dostrzegłem poza wyścigami sferę mody na Służewcu.

Macie przyjaciół poza polityką?

O.S.-P.: Mnóstwo i bardzo lubimy z nimi przebywać. Piotr lubi moich przyjaciół, ja zżyłam się z jego przyjaciółmi.

P.P.: Ja miałem do tej pory dość utarte zwyczaje spotykania się z przyjaciółmi, lubię odwiedzać te same miejsca. Olga zachęca mnie do odkrywania nowych. Szukamy więc kompromisu.

O.S.-P.: I tak czasem chodzimy do stałych miejsc Piotra, a czasem wyciągam go w nowe miejsce, choć niekiedy spotyka się to z buntem. Ale szukamy nowych smaków, kuchni. Piotr uwielbia kuchnię polską, włoską, a ja lubię np. śródziemnomorską.

Skoro już kuchnię wywołaliście: kto gotuje w domu?

O.S.-P.: Czasu na gotowanie mamy niestety mało. W tym tygodniu nie było mnie np. trzy dni. I w takich sytuacjach Piotr stołuje się u mojej mamy, która bardzo nas wspiera. W weekendy Piotr skupia się na śniadaniach, ja biorę na siebie obiady i kolacje. W tygodniu staramy się zjeść przed pracą wspólne śniadanie, bo te posiłki łączy.

P.P.: Te śniadania to dla mnie duża zmiana, bo wcześniej ich nie jadalem.

O.S.-P.: Pierwszy posiłek o godz. 14.00 to lekka przesada. Mnie całe życie uczono zasady: śniadanie zjedz sam, obiadem się podziel, a kolację oddaj. U Piotra było odwrotnie.

Państwa dania popisowe?

P.P.: Jeśli chodzi o te śniadania, to często jajecznica czy kanapki.

O.S.-P.: Tradycyjne kotlety mielone. Do tego buraki, ziemniaki. To mój ulubiony zestaw.

P.P.: Ja uwielbiam schabowe, szczególnie z kością. Ale raczej jeść. Specjalizuję się w przygotowaniu śniadań.

A kto robi zakupy?

O.S.-P.: Przeważnie to z nas, które jest w domu i widzi, czego brakuje. Zestaw produktów mamy stały.

P.P.: Najczęściej robimy zakupy w sklepie osiedlowym, który jest blisko. Olga uwielbia bazy. Kupuje tam warzywa, owoce i mięso. Czasem wyskakujemy do dyskontu, ale to rzadko.

O.S.-P.: Uwielbiam rozmowy z handlarzami na bazarach. Moja mama

Policzyłam, że na mojej drodze pojawiło się w sumie 37 kłód, przez które mogło nie dojść do ślubu

robi to samo. Wtorki, piątki i bazarek na Kole to tradycja. Najlepsze jajka, białe ser, warzywa, owoce.

To już wiemy, jak jest. Ale jak to się zaczęło? Małżeństwo w rządzie to ewenement.

P.P.: Zaczęło się w KPRM. Dość długo dojrzewało. Gdzieś od 2017 r. Pracowaliśmy dość blisko siebie. Olga z ministrem Dworczykiem, ja z panem premierem Morawieckim, a później w Centrum Analiz Strategicznych przy śp. prof. Paruchu. To było tak, że Olga miała gabinet obok ministra Dworczyka i często do niej wpadałem bez celu, posiedzieć. To o tyle dziwne, że nie znoszę rozmów bez celu, jestem bardzo konkretny, lubię szybkie decyzje i ustalenia, najlepiej pięciominutowe. Wolę poświęcać czas analizie dokumentów i liczb.

O.S.-P.: To „bez celu” polegało na tym, że Piotr siadał ze mną i robił przegląd prasy, ale był też pewien cel, bo zawsze pytał, czy mam coca-colę. To było spo- iwo naszej relacji. Zawsze miałam. Po pół roku zaczęłam się zastanawiać nad celem tych wizyt.

P.P.: A cel był taki, żeby się bliżej poznać. Dziś już piję mniej słodzonych napojów, ale wtedy piłem ten napój

litrami. Później nasze drogi się rozeszły, bo Olga w styczniu 2020 r. poszła do Ministerstwa Rozwoju i Technologii, ja do Ministerstwa Finansów, więc współpraca weszła na poziom międzyresortowy ministerstw, które intensywnie z sobą współpracują i współpracowały. Choćby przy tarczy dla przedsiębiorców. Punktem kulminacyjnym był koniec października 2020 r., gdy zamknięto cmentarze.

Dostaliśmy trudne zadanie opracowania tarczy dla przedsiębiorców, którzy zajmują się sprzedażą chryzantem. To jest dla nich szczytowy punkt w sezonie i właściwie jedyny, kiedy mogą zarobić po całorocznej pracy. Sytuacja o tyle trudna, że często jest to działalność poza ewidencją, trudno było dokładnie określić zasady pomocy i jej dystrybucji. Olga zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc.

O.S.-P.: Troszkę wykorzystałam naszą znajomość, bo ja dostałam zadanie, ale ktoś musiał mi pomóc policzyć. Zadzwoiłam do Piotra i powiedziałam: „Mamy zadanie”. Piotr zawsze chętnie we wszystkim pomaga. I zaczął liczyć. Wisielśmy na telefonie do trzeciej w nocy, a rano było spotkanie z premierem. Ledwo żywi połączyliśmy się online i wszystkie nasze pomysły zostały storpedowane. Wspólnie zaczęliśmy szukać innych rozwiązań i doszliśmy wreszcie do konsensusu. I ta wspólna gra do jednej bramki sprawiła, że rozmawialiśmy coraz więcej.

P.P.: Wtedy też wyzbyłem się drugiego nałogu, czyli palenia. To był właściwie warunek wyjścia na randkę. Wtedy się umówiliśmy, a ostatniego papierosa zapaliłem 31 października 2020 r.

O.S.-P.: Faktycznie taki warunek postawiłam, a on rzucił papierosy z dnia na dzień, więc chyba mu zależało. Wszyscy w rządzie byli zdziwieni.

P.P.: Kluczowy był przełom października i listopada 2020 r. Od przyjaźni przeszliśmy na wyższy etap. Pierwsza randka była w parku Moczydło, była pandemia, lockdown, nie było gdzie pójść.

A kiedy zrozumieliście, że pójście dalej za ciosem i to wszystko skończy się na ślubnym kobiercu?



O.S.-P.: Nigdy bym się nie spodziewała, że introwertyczny Piotr oświadczy się w obecności 80 osób. To były nasze urodziny. Ja jestem z 5 grudnia, Piotr z 2 grudnia. Organizowaliśmy je w dużym gronie przyjaciół w Warszawie. Gdy wychodził z domu, rzuciłam: „Żeby tylko nie przyszło ci do głowy oświadczać się przy ludziach”. A on odpowiedział: „Wola Boska, co się ma stać, to się stanie”. A ja myślałam, że on żartuje.

P.P.: Ja jestem introwertykiem, Olga ekstrawertyczką...

O.S.-P.:...ale to mnie przerosło...

P.P.:...i skoro już byłem zmuszony być w tak dużym gronie, to musiałem to wykorzystać do końca i oświadczyć się z rozmachem. Ten pomysł podpowiedziała mi przyjaciółka Olgi. Zresztą ona pomagała mi przygotować imprezę, kupić pierścionek. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że istnieje coś takiego jak rozmiar palca, co było niemalym szokiem.

O.S.-P.: Utrzymali to w tajemnicy. Tą przyjaciółką jest Anna Schmidt, wice-minister rodziny i polityki społecznej.

Hejt, który nas dotknął,
jest wynikiem polaryzacji
nastrojów w Polsce. Pewnie
gdybyśmy nie należeli
do PiS, tylko np. do PO,
potraktowano by nas
łagodniej i z większą sympatią

Tak to wszystko przygotowali, że nikt się nie wygadał. Gdy Piotr pokazał przyjacielowi pierścionek, ten zadał dwa pytania: „Czy ty wiesz, co robisz?” i „Co zrobisz, jak ona ci odmówi przy tych wszystkich ludziach?”. On odparł: „Ja muszę zrobić swoje”. Tym przyjacielem był Józef Orzeł.

Teraz przewiniemy taśmę o kilka miesięcy i płynnie przejdziemy do dnia ślubu. Wszystkie portale pisały, że spóźniła się pani na własny ślub 40 minut. Co się wydarzyło?

O.S.-P.: Policzyłam, że na mojej drodze pojawiło się w sumie 37 kłód, przez które mogło nie dojść do ślubu.

P.P.: A Olga jest chorobliwie punktualna, woli być przed czasem, niż spóźnić się dwie minuty.

O.S.-P.: Ślub był zaplanowany na godz. 16.00. Od rana przygotowywałam się ze swoją świadkową. Wszystko szło nieźle, po 14.30 czas zaczął się wymykać spod kontroli, zaczął galopować. O 15.30 zrozumiałam, że żadna z nas nie jest gotowa.

P.P.: Ja byłem w kościele wcześniej i dodawałem gościom otuchy, że jednak się uda.

O.S.-P.: Problemy zaczęły się od bukietu, który został w hotelu, gdzie byłam malowana. Charakteryzatorka Karolina zobowiązała się dostarczyć bukiet kierowcy, ale ja, wychodząc z hotelu, zabrałam kartę, a ona została w ciemnościach. Świecąc sobie telefonem, znalazła kwiatki i je przekazała, ale na miejscu okazało się, że to kwiat do butonierki, a nie mój ślubny bukiet. Jak zobaczyłam ten kwiat, to o mało się nie rozplakałam, świadkowa też była bliska załamania, ale wbiła mi tę lilię w rękaw i powiedziała: „Zacznieś

nowy trend". I faktycznie tabloidy pisały, że to nowa moda. W samochodzie, którym mieliśmy podjechać pod kościół, zabrakło paliwa, bo to był stary model, bez wyświetlacza, więc trzeba było je dostarczyć kanistrami. Po drodze zaczęłam kokardą od sukni o klamkę i kokarda się urwała, więc było szczie w samochodzie. W międzyczasie świadkowa powiedziała, żebym jej oddała telefon, ona przejmie kontakt z Piotrem, bo inaczej w ogóle nie dotrzemy. Kiedyś myślałam, że „Kawa na ławę” w TVN24, gdzie potrafi być pięć osób na jedną, to jest trudny moment. Przed ślubem było trudniej. Gdy już podjechalśmy pod kościół z prawie półgodzinnym opóźnieniem i czekaliśmy na mój bukiet, który okazał się lilią pana młodego, to obok zatrzymał się samochód. Patrzę, znam tę kobietę. A przez szybę wychyla się Jadwiga Emilewicz i pyta: „A gdzie ty jedziesz?”. Ja jej na to: „Na własny ślub”, a ona na to: „A ja jadę na twój ślub”. Pytam więc: „To co tu robisz?”, a Jadwiga mówi: „Spóźniłam się, a ty?”. a ja na to: „Ja też”. Zanim jeszcze dotarłam do kościoła, na zewnątrz wyszedł Adam Lipiński, były wiceprezes PiS. Zapalił papierosa, zobaczył jakichś czekających ludzi i mówi: „Żadnego ślubu nie będzie”. To byli dziennikarze, którzy natychmiast przygotowali nagłówki o ślubie, który się nie odbył.

P.P.: Teraz możecie się śmiać, ale ja w tym kościele czekałam. Dla mnie tamten dzień zaczął się bardzo spokojnie. Obejrzałem w telewizji „Potop”, poradziłem sobie z muchą. Wiele lat byłem ministrem, więc dokładnie wiedziałem, jak wygląda ceremonia, nie denerwowałem się. W kościele byłem punktualnie, choć zdarza mi się spóźniać. Było zimno. Był to czas mundialu, więc sporo osób zaczęło oglądać mecz. Stan emocjonalny zmieniał mi się z minuty na minutę, choć wiedziałem, co się dzieje, bo miałem relację na bieżąco, to martwiłem się o gości, którzy nie wiedzieli. Szum i pomruki narastały. Między zniecierpliwieniem a złością zwróciłem się do Roberta, mojego przyjaciela, który zawsze wie, co zrobić w sytuacjach kryzysowych, i mówię: „Zrób coś z tym”,

a on pierwszy raz w życiu powiedział: „Nie wiem, co mam zrobić”. Gdy Olga wreszcie przyjechała, to powiedziała, że jej strasznie zimno. Zaproponowałem, żeby się odwróciła i powiedziała to ludziom, którzy tam siedzieli od 40 minut. Wikary orzekł: „Proszę państwa, wybiła właściwa godzina”.

Czytelnicy tego nie zobaczą, ale ja się popłakałam ze śmiechu. Scenariusz na komedię romantyczną. Ale komedie kończą się tam, gdzie zaczyna się życie. Nie baliście się, że to zły omen?

P.P.: Ja w żadne złe omeny nie wierzę. A po ślubie faktycznie zaczęło się normalne życie. W poniedziałek obydwójce poszliśmy do pracy. Pro-

Przez szybę wychyla się Jadwiga Emilewicz i pyta: „A gdzie ty jedziesz?”. Ja jej na to: „Na własny ślub”, a ona na to: „A ja jadę na twój ślub”. Pytam więc: „To co tu robisz?”, a Jadwiga mówi: „Spóźniłam się, a ty?”. a ja na to: „Ja też”

wadziłem trudną ustawę wdrażającą jeden z kamieni milowych, związany z regułą wydatkową w Polsce, a Olga w grudniu rozpoczynała trudny proces legislacyjny swojego projektu – fundacji rodzinnej. Właściwie przed ślubem wyszliśmy z pracy, a po ślubie i weselu do niej wróciliśmy.

O.S.-P.: Ja już o poranku byłem gościem „Kwadransa Politycznego”. Wszyscy na nas patrzyli ze zdziwieniem, a my mieliśmy problem, żeby wykorzystać dwa dni wolnego, które przysługują w ramach zawarcia związku małżeńskiego. Udało się w okolicy świąt Bożego Narodzenia.

W polityce jest miejsce na miłość i przyjaźń?

P.P.: Wszędzie jest na to miejsce. Trochę na siłę traktujemy politykę jako zawód wyzuty z emocji i uczuć, opierający się na kłamstwie. To nie jest prawdziwy obraz. Jak wszędzie zdarzają się trudne relacje, ale są też te piękne, głębokie, prawdziwe: przyjaźń, miłość, współpraca, wsparcie.

O.S.-P.: Spotkałam w polityce wspaniałych ludzi. Bardzo ważna była dla mnie znajomość ze śp. prof. Waldemarem Paruchem. On pokazywał nam format i jakość polityki.

P.P.: Mnie pokazał także format urzędnika. To wybitna postać. Był nie tylko teoretykiem polityki, lecz także znał ją w praktyce. Jednocześnie bardzo przestrzegał etosu urzędniczego.

Czy kobiety w polityce mają pod górke?

P.P.: Nigdy o tym z żoną nie rozmawiałem. Ale jak spojrzymy na PiS, to tam jest bardzo dużo bardzo silnych, mądrych kobiet, które zajmują wysokie stanowiska. Marszałek Elżbieta Witek jest drugą osobą w państwie. Jest świetna Marlena Małag. Są znakomite, merytoryczne wiceminister: Anna Schimdt, Anna Krupka, Izabela Antos, Anna Łukaszewska-Trzeciakowska i wiele innych. Warto podkreślić, że jedyny minister general w rządzie PiS to Magdalena Rzeczkowska. Rząd więc stawia na kobiety. Pewnie jak w każdym zawodzie kobiety muszą przełamywać bariery, których jako mężczyzna nie znam.

O.S.-P.: Nikt nas nie zmusza, żebyśmy wchodziły do polityki. Wiem jedno. Oprócz tego, że zawsze, jak mi trudno, dostaję wsparcie od męża, to poza tym mogę liczyć na fantastyczne kobiety, które są w polityce. To Beata Mazurek, Anita Czerwińska, Marzena Machalek, Maria Koc, Anna Schimdt, Anna Krupka, Iwona Arent, Bożena Borys-Szopa, Teresa Wargocka, Anna Milczanowska, Jadwiga Emilewicz, Kamila Król. Kobiety PiS tworzą wspaniałe środowisko. Są silne, mądre, wykształcone, wielozadaniowe, są w strategicznych resortach, umieją się wspierać. A pan premier Morawiecki dba i o kobiety w rządzie, w polityce, i o Polki po prostu.



**Wy
zmieniacie
najbliższe Wam otoczenie**

Nie będziemy bogami. Rzecz o sztucznej inteligencji

Na świecie ogłoszono rewolucję. Sztuczna inteligencja ma przyspieszyć postęp ludzkości, zmienić oblicze naszej pracy, a nawet zagrażać niektórym zawodom: telemarketerom, ilustratorom, sekretarkom, a może nawet pisarzom, dziennikarzom i nauczycielom?

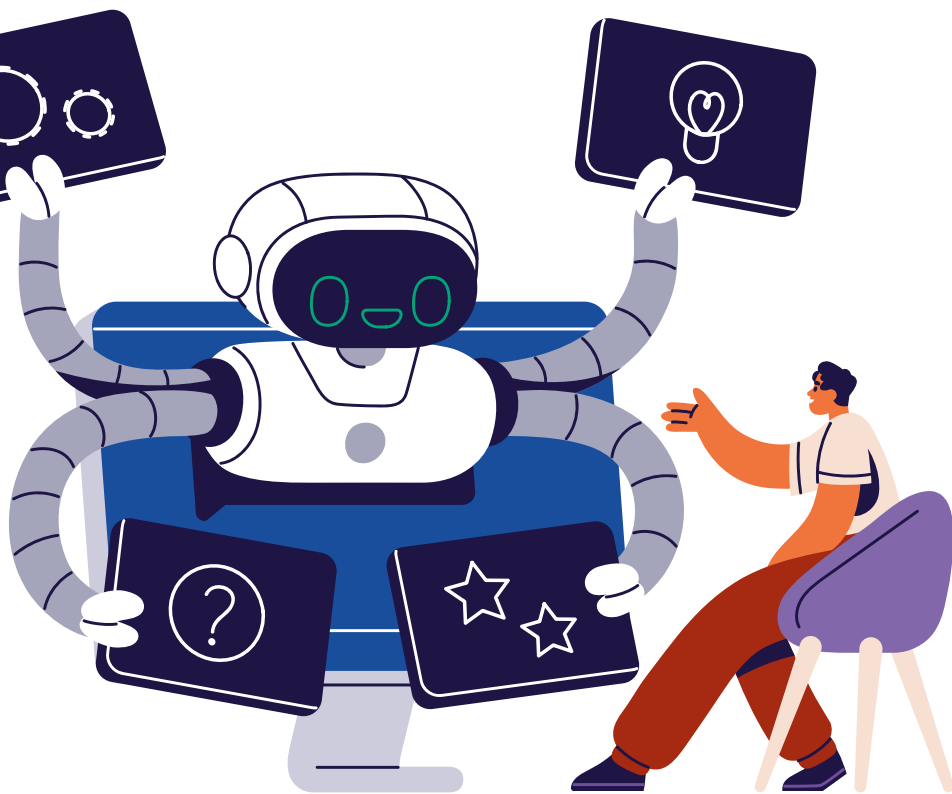


**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Już teraz w internecie są dostępne różne rodzaje chatów, na których można porozmawiać ze sztuczną inteligencją. Można ją zapytać o przepis na szybką kolację z powodu niezapowiedzianych gości, poradzić się, jakie kwiaty posadzić w ogrodzie, a także skonsultować poważniejsze sprawy: poprosić o napisanie skargi czy pozwu sądowego, zaplanować złożoną logistykę transportu drewna z wykorzystaniem 50 ciężarówek czy obliczyć ilość energii potrzebnej do obsługi statku kosmicznego.

Człowiek ma wrażenie, jakby korespondował z uprzejmym, stonowanym i bardzo kompetentnym doradcą, choć po drugiej stronie komunikuje się z nami jedynie system komputerowy.

Czym jest więc sztuczna inteligencja? Zapytaliśmy ją samą i nazwała się dziedziną informatyki tworzącą systemy komputerowe „zdolne do wykonywania zadań, które normalnie wymagają ludzkiej inteligencji. Sztuczna inteligencja może przyjąć wiele różnych form, w tym programy komputerowe, algorytmy, roboty i maszyny uczące się”. Niech zatem sztuczna inteligencja (artificial intelligence, w skrócie AI) nieco więcej opowie o sobie: „Sztuczna inteligencja znajduje zastosowanie w wielu dziedzinach, ta-



kich jak medycyna, finanse, przemysł, transport, handel i wiele innych. Może ona pomóc w automatyzacji rutynowych zadań, optymalizacji procesów, przyspieszeniu innowacji oraz w rozwiązywaniu złożonych problemów, które byłyby trudne lub niemożliwe do rozwiązania za pomocą tradycyjnych metod”.

Jeśli jednak ktoś wierzy, że AI faktycznie myśli jak człowiek, to się grubo myli. Zewnętrzne oznaki faktycznie wyglądają jak proces myślowy, ale system rozeznania rzeczywistości przez

komputer polega zupełnie na czymś innym. Ostatnio różnicę między ludzkim mózgiem a najlepszym programem komputerowym wyjaśnił Steven Pinker, jeden z najwybitniejszych na świecie neuropsychiatrów, w książce „Jak działa umysł?”. Naukowiec przyznaje, że w wielu sprawach nasz mózg jest nadal nieodgadniony, a uczeni spierają się na temat elementarnych zasad jego działania. Wiemy jednak, jak działa komputer i jak bardzo różni się od naszego myślenia. AI zatem ma

co prawda ogromne moce przerobowe – nieskończenie szybciej od nas liczy i przeszukuje dane dostępne w internecie, ale potrzebuje na to sporej mocy przerobowej. Gdy komputer widzi kielbasę, a rozpatruje wszystko w systemie zerojedynkowym, musi sprawdzić do identyfikacji tego przedmiotu tysiące rzeczy: że nie jest to banan, że nie jest to pietruszka, że nie jest to – i tu kolejne szeregi przykładów, choć stwierdzi szybko, że jest to kielbasa. Poda jej skład, zastosowanie i pewnie nawet historię jej tworzenia, ale ścieżka naszego rozpoznawania kielbasy będzie zupełnie inna. Zobaczymy np. ulubiony rodzaj mięsa pasujący do pikantnej musztardy, zapach grilla u przyjaciół pod miastem, skojarzymy to też z „kielbasą wyborczą” – daremnymi obietnicami niektórych polityków. Te różnice sprawiają, że AI i ty, drogi czytelniku, choć może oboje rozpoznacie, że na zdjęciu jest kielbasa, to jednak dochodzicie do tej kwestii zupełnie innymi drogami.

Tu pojawia się gigantyczna różnica między człowiekiem a robotem – my rozumiemy świat nie tylko przez przetwarzanie informacji na zasadzie zerojedynkowej, lecz także przez bogactwo skojarzeń, doświadczeń, inteligencji i zmysłów, które docierają do nas za pomocą ciała. AI może i opisać zapach włosów ukochanej osoby, ale czy zrozumie jej istotę? Sami państwo oceńcie, co opowiada nam komputer: „Włosy człowieka mają naturalny zapach, który wynika z wydzielania przez skórę sebum, substancji tłuszczowej, która nawilża skórę głowy i włosy. Ten naturalny zapach może być przyjemny dla niektórych osób”. Potem AI robi nam wykład o higienie osobistej i odżywkach do włosów, ale w niczym nie przybliży się do poczucia porannego wstawania z bliską osobą u boku, gdy czujemy się swobodnie i bezpiecznie we własnym łóżku.

MARZENIE O WYZWOLENIU INTELEGENCJI

Już w XVII w. Kartezjuszowi zdawało się, że mózg w ciele jest jak duch w maszynie, czyli uwięziony i względnie niezależny od organizmu. Angielski myśliciel Joseph Glanvill uważał, że umysł możemy uwolnić od balastu ciała i słabości i w ten spo-

sób osiągnąć doskonałość. Gdy w XX w. opracowano komputer, niektórzy naukowcy oszaleli na punkcie stworzenia istoty myślącej, chcąc się poczuć jak bogowie budzący do życia nowe istnienie. Don Norman (ur. w 1937 r.) z amerykańskiego instytutu DARPA już w latach 80. ub.w. marzył, by stworzyć własnego robota. Dalej już ten psycholog mówi niczym Bóg w Księdze Rodzaju: „Zawsze chciałem stworzyć umysł. Dokonać czegoś takiego. Trudno wyobrazić sobie bardziej ekscytujący wyczyn”. Technoentuzjastka Pamela McCorduck sama przyznała, że byłoby to jedno z przedsięwzięć przypominających działania Boga. Historyk techniki David Noble (1945–2010) twierdził, że cały ten pęd do rozwijania nauki i techniki wynika z chrześcijańskiej misji dążenia do Boga, choć w ostatnich stuleciach tego Boga zagubił i została sama chęć tworzenia oraz kreacji.

Pamiętajmy jednak o przepaści między ich marzeniami a rzeczywistością – chcieli stworzyć lepszą wersję człowieka, a na razie mają gadającą encyklopedię i komputerowego asystenta do wykonywania precyzyjnie wyjaśnionych zadań.

NOWA TECHNOLOGIA WŚRÓD NAS

Z jednej więc strony AI przypuszcza szturm na nasze miejsca pracy, na pewno będzie pomagać oraz zastępować niektóre nasze zadania. Okładkę tygodnika „Sieci” zaprojektował Michał Korsun, starając się dobrać proporcje, odpowiedni przekaz i właściwie odcienie kolorów, by zgrały się z treścią okładowego tematu. Sztuczna inteligencja zrobiłaby to szybciej i taniej, choć przecież nie zrozumiałaby wielu aluzji politycznych i cywilizacyjnych, więc przekaz byłby płytszy, a w niektórych aspektach pewnie nieprecyzyjny i przekręcony. Bo skąd AI czerpie informacje?

Jest przecież wielkim zasysaczem treści internetowych, błyskawicznie przerabia je na odpowiedź na zadane przez nas pytanie, a robi to wedle metody zaprojektowanej przez konkretnego programistę. Wielkie koncerny już się ścigają, która sztuczna inteligencja będzie sprawniejsza, szybsza i właśnie bardziej inteligentna.

AI daje nam informację bardziej syntetyczną, niż gdybyśmy musieli wchodzić na kilkanaście stron WWW z poszukiwaniem np. kwestii depresyjnego samopoczucia czy awarii w samochodzie Tesla. Zatem rozpowszechnianie sztucznej inteligencji i nauczanie jej korzystania z różnych narzędzi przyniesie wiele pozytywnych zmian. Ale są też oczywiście zagrożenia. Już teraz w serwisach społecznościowych można zobaczyć, jak użytkownicy za pomocą AI podkładają sobie głos osób publicznych, np. Andrzeja Dudy, Jerzego Stuhra czy ojca Rydzyka. Łatwiej będzie teraz oszustom telefonicznym podszywać się np. pod naszych bliskich.

KIEDY UŻYWAĆ AI?

AI może być dozorcą, który rozpoznaje twarze mieszkańców i wpuszcza ich bez klucza, ale przez niektóre firmy jest już sprzedawana jako aplikacja mająca być przyjacielem, z którym można o wszystkim rozmawiać i który nigdy się nami nie znudzi. Może posortować nam korespondencję na ważną, pilną i nieistotną, może nam podpowiadać w wielu sprawach dotyczących np. alergenów, kosmetyków, technologii, techniki opanowania stresu czy obliczenia jakiegoś zagadnienia, ale może też opisywać wydarzenia polityczne tak, że będą pozbawione perspektywy wartości, które wyznajemy.

Programiści, którzy nadają konkretnej AI kształt, dbają o to, by taki robot nie mógł propagować żadnej opcji politycznej, dyskryminować kogokolwiek czy namawiać do niemoralnych rzeczy, np. zdrady, defraudacji czy samobójstwa. Jednak wielu skutków wprowadzenia AI nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a ludzka niedbałość i lenistwo mogą się zderzyć z komputerami w katastrofalny sposób. Człowiek bez wątpienia ulegnie pokusie korzystania z AI tam, gdzie powinien pracować sam – nad tworzeniem prawdziwej sztuki, kreatywnością, relacji z innymi, wybieraniem życiowej drogi i wzmacnianiem swojego charakteru. To nie sama sztuczna inteligencja będzie zagrożeniem, ale nasz stosunek do takich systemów komputerowych, z których będziemy chcieli zrobić nowych bogów czy herosów, zastępujących nam żywego, prawdziwego człowieka.



Ciepło-zimno, piekło-niebo, czyli spór o pogodę i klimat

*Jeszcze niedawno na pogodzie podobnie jak na medycynie znali się wszyscy.
Te czasy się jednak skończyły*



DARIUSZ MATUSZAK

Teraz wiedza o pogodzie jest tajemna i tak skomplikowana, że mogą się na ten temat wypowiedzieć tylko eksperci z telewizora, badacze, którzy dostają granty za mówienie, że jest im gorąco, celebryci jak Greta Thunberg, ludzie z biznesów, którzy na tym zarabiają, politycy i powtarzający za nimi dziennikarze. Pozostali są za głupi, by cokolwiek zrozumieć, czego dowodem są ostatnie spory o to, czy w kwietniu i w czasie weekendu majowego było zimno, czy ciepło.

Klimatycznie nieuwiadomieni ludzie, zeskrobując rano lód z szyb samochodów, ściągając z pawlacza ciepłe ciuchy, mówili, że zimno. Podobnie rośliny, np. drzewa, które zaczęły puszczać liście trzy tygodnie później niż zazwyczaj. Otóż nie, wy niewy-

kształcone ludziska i rośliny – było gorąco, ciepło jak niemal nigdy w historii, o czym sama Unia Europejska może zaświadczyć. Kwiecień był o całe 0,32 st. cieplejszy niż średnio w latach 1991–2020, a w Laosie odnotowano nawet rekord ciepła. Kto nie wierzy, niech spyta Europejskie Centrum Średnioterminowych Prognoz Pogody, Europejską Agencję Środowiska, Europejską Agencję Kosmiczną, Europejską Organizację Eksploatacji Satelitów Meteorologicznych, organizację Mercator Océan, które w ramach programu Copernicus zebrały i przeanalizowały dane tzw. ERA5. W skrócie chodzi o to, że urządzenia (niekoniecznie tradycyjne termometry) umieszczone na Ziemi, w satelitach itd. mierzyły temperaturę na globie i w atmosferze do 8 km od powierzchni Ziemi i wyszło, że jednak było ciepło.

Po co nazwy tych europejskich instytucji tak precyzyjnie wymienilem? Otóż po to, byś, drogi czytelniku, który wdziawałeś w majówkę puchową kurtkę, zrozumiał, jak jesteś maluczkiem, jak nieistotne są twoje odczucia i preferencje wobec ta-

kiej naukowej potęgi. Pamiętam sceny z filmów „Faraon” Kawalerowicza i „Apokalypso” Gibsona, kiedy to na szczycie świątyni czy piramidy stoi kapłan, pod nim kłębi się nieoświecony tłum, który zastyga w pokorze, gdy następuje zaćmienie słońca. Lud rozumie, że jeśli nie będzie posłuszny władcom i kapłanom, to ściągnie na siebie gniew bogów, a wtedy słońce zniknie albo nawet temperatura wzrośnie o 0,23 st. Nie można więc patrzeć ksenofobicznie i prowincjonalnie. Trzeba globalnie, a nie tylko z perspektywy naszego Pierdżiszewa, jakim według Tomasza Lisa jest Polska. Nie ma, że zimno – trzeba się smucić i trwożyć, że w Laosie i Maroku gorąco, że gdzieś tam urosła temperatura o 0,1 st. Tu chodzi o całą ludzkość i planetę.

KLIMAT CENTRALNIE PLANOWANY

Dlaczego takie jest ważne, żeby wiedzieć, iż na powierzchni Ziemi, czyli na obszarze 510 mln km², średnia roczna temperatura

wzrosła czy spadła np. o 0,34 st. C? Ano dlatego, że urzędnicy z ONZ-owskiego IPCC – Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu – w głosowaniu ustalili, jaka powinna być prawidłowa temperatura na Ziemi w 2056, 2078 r. itd. Mniej więcej taka, jak niby w 1850 r., bo jak będzie o 1,5–2 st. wyższa, to czekają nas wszelkie nieszczęścia. Zasadniczo zagłada. Znamy to: Holandii nie będzie, Gdańsk nie będzie, wszyscy się pochorują na dengę lub ebolę i wymrą w męczarniach albo usmażą się na rozpalonej planecie. Oni oczywiście nie mają bladego pojęcia, jakie owe średnie temperatury na świecie były w 1850, 1890 r. itd. i czy w porównaniu z obecnymi o 0,4 st. wyższe czy niższe, bo musieliby je w owych latach zmierzyć dokładnie takim samym sprzętem jak teraz i w tych samych miejscach.

Ale kapłani nie przejmują się drobiazgami i mają dla ludzkości straszną wiadomość. Otóż wedle IPCC średnia temperatura roczna na Ziemi wzrosła od 1850 r. już o ponad 1 st., więc zostało nam jeszcze 0,5 st. do apokalipsy. Dlatego tak ważne jest, by w Radomiu na Zamłynie w listopadzie w czwartek o 7 rano było 3,3 st., a nie 3,8. I tak adekwatnie na całej planecie i w atmosferze do 8 km w górę.

Oczywiście zimno, ciepło może być różnie w różnych miejscach, chodzi o to, by globalnie było tak jak w 1850 r. Dzięki naszemu poświęceniu, a także mieszkańców Ameryki i solidarnemu marznieniu w kwietniu Ziemia nie rozpadła się od upałów w Laosie i Maroku. Termin „rozpad” jest jak najbardziej naukowy, skoro można go znaleźć w opracowaniach portalu naukaoklimacie.pl z powołaniem się na towarzystwo naukowe AGU, które wywodzi się od założonej w 1919 r. Amerykańskiej Unii Geofizyków. Otóż badacze AGU w 2014 r. odkryli, że punkt krytyczny we wzroście temperatury dla Antarktydy Zachodniej dawno został przekroczony, nieodwracalne procesy się uruchomiły, więc ta się rozpada. Na szczęście jakimś cudem nieodwracalne się odwróciło i Antarktyda się nie rozpada, panują na niej coraz cięższe mrozy, a 2021 r. był najzimniejszy w historii pomiarów.

Możemy więc chwilowo odetchnąć z ulgą, zwłaszcza że kapłani tak jak my za-

czynają się klócić o to, czy jest zimno, czy ciepło. Okazuje się, że w ostatnich latach ocieplenie jest coraz zimniejsze. Darujmy sobie rozważania na temat różnicy między pogodą a klimatem. Wiadomo: jak w kwietniu zimno, to jest to pogoda, a jak ciepło – to globalne ocieplenie. Termin ten jest zastępowany „zmianami klimatycznymi”, bo niezależnie od tego, czy jest zimno, czy ciepło, łatwo pozostawać w świecie paranoi i na ul. Czerskiej, w redakcji „Gazety Wyborczej”, być przerażonym temperaturą w Boliwii.

Tak czy owak, kapłani nie wiedzą, dlaczego teraz ciepło jest coraz zimniejsze. Podobno ma to związek z trwającym od lat zjawiskiem La Niña, polegającym na tym, że wody powierzchniowe Pacyfiku w okolicach równika są zimniejsze niż przeciętnie. Jakby były cieplejsze, to

Świadomość kapłanów klimatycznych jest niższa niż autorów ludowych porzekadeł w stylu „Gdy Makary (2 stycznia) pogodny, cały styczeń chłodny”

mielibyśmy El Niño. Ale znów nie wiadomo, dlaczego jest zimno w tej wodzie. W każdym razie kapłani mówią, że mamy do czynienia z anomalią. To stwierdzenie zasługuje na osobny rozdział w dziele „Z dziejów naukowych bredni”. Wspomnimy tylko tyle, że aby temperatura w Pacyfiku nie była raz wyższa, a raz niższa niż przeciętnie, to musiałaby być stała. Zawsze i w każdym miejscu.

I tu wracamy na ziemię. Otóż kapłanom klimatyzmu chodzi o to, by owa średnia temperatura na Ziemi była stała, mniej więcej taka jak w 1850 r. Dlaczego akurat ten rok wybrano jako punkt odniesienia? Bo niby wtedy rozpoczęła się epoka przemysłowa i ludzkość zaczęła emitować wielkie ilości CO₂, ale są też teorie, że dlatego, iż 1850 r. był wyjątkowo zimny, więc pogodzie czy klimatowi bardzo łatwo zrobić się cieplejszymi niż wtedy. Z nauko-

wego punktu widzenia pojęcie średniej temperatury na Ziemi nie ma sensu – tak uważają m.in. laureaci Nobla z fizyki – Ivar Giaever, John Hall czy John Clauser. Ten ostatni zdobył nagrodę w ub.r. Poza tym panowie twierdzą, że kryzys klimatyczny to lipa, oszustwo, błaga, a wszystkie wysiłki regulowania temperatury na planecie nie mają najmniejszego sensu. Niemiecki fizyk i meteorolog Klaus-Eckert Puls mówi tak: „Powtarzałem to, co przekazywało nam IPCC, ale potem oburzyłem się, gdy odkryłem, że to, co mówią nam IPCC i media, to czysty nonsens i nie jest poparte żadnymi naukowymi faktami i pomiarami. Wstydzę się, że jako badacz prezentowałem ich naukę. Z naukowego punktu widzenia myślenie, że możemy uzyskać przyjemny klimat, obracając pokrętko regulacji CO₂, jest czystym absurdem”.

ŚW. FILIP PRZEPOWIADA, ILE TYGODNI POPADA

Oczywiście badania na całym globie temperatury, składu powietrza, prądów oceanicznych, a więc to, co też robią te agencje europejskie, ma sens. Problem polega na tym, czemu mają służyć wyniki tych badań. Dziś jedyną sensowną odpowiedzią jest ta, iż głównie temu, by napawać nas grozą, wmawiać, że żyjemy na skraju zagłady i wymusić posłuszeństwo jak wobec owych azteckich czy egipskich kapłanów. Regulatorzy klimatu nie mają najmniejszego pojęcia, co robią i jakie będą tego skutki. Jeśli jednak będziemy wystarczająco przerażeni, to zaistniemy na kolanach i oddamy im swoje plony oraz stada na ofiarę przebłągalną.

Amerykanie na osiągnięcie do 2050 r. neutralności klimatycznej wydadzą 50 bln dol. Senator John Kennedy przesłuchał więc niedawno w Kongresie na tę okoliczność podsekretarza (wiceministra) Departamentu Energii Davida Turka i zapytał, o ile obniży się temperatura, gdy zostanie wydane owe 50 bln dol. Klimatyczny mag nie miał bladego pojęcia. Świadomość kapłanów klimatycznych jest niższa niż autorów ludowych porzekadeł w stylu „Gdy Makary (2 stycznia) pogodny, cały styczeń chłodny”. By mieć rację, mogliby powtarzać tylko jedno: „Na świętego Hieronima jest pogoda albo ni ma”.



Nożyczki Barbary Engelking

Barbara Engelking pisze wprost, że obiektywne rekonstruowanie historii jest sprawą drugorzędną. Zresztą jej publikacje dowodzą, że nie ma do takich działań niezbędnych kwalifikacji. A metody, którymi się posługuje, są uważane za dyskwalifikujące w świecie nauki

Kiedy ostatnie medialne występy Barbary Engelking spotkały się z falą krytyki, w jej obronie i rzekomo zagrożonej wolności nauki zaczęto pisać listy protestacyjne. Na ministra Przemysława Czarnka, zapowiadającego ucięcie pieniędzy na jej Centrum Badań nad Zagładą Żydów, łódzcy donosiciele napisali protestację do prokuratury. Zapewne w dobrej wierze. Można założyć, że to tylko kwestia niewiedzy, o kim i o czym mowa.

POZOROWANIE BADAŃ NAUKOWYCH

We wstępie pierwszej książki Barbary Engelking, wydanej pod szyldem Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk pod tytułem „Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej

1942–1945” (Warszawa 2011), czytamy: „Interesuje mnie [...] przede wszystkim perspektywa Żydów – ich doświadczenia, doznania, przeżycia, opis i ocena sytuacji – dlatego głównym źródłem są dla mnie pisane w ukryciu dzienniki oraz powojenne relacje ocalałych” (s. 14). To dla Żydów był czas apokalipsy, który odcisnął silne piętno na postrzeganiu przez nich rzeczywistości. Samuel Gringauz ostrzegał: „Istnieje coś, co można nazwać hipersonicznym kompleksem tych, któ-

rzy przeżyli [Zagładę]. [...] Rezultatem tego hipersonicznego kompleksu jest to, że w krótkim okresie powojennym doświadczaliśmy powodzi »materiałów historycznych« bardziej wymyślonych niż »zebranych«. W ten sposób dziś najbardziej delikatnym aspektem badań jest weryfikacja tzw. »materiału historycznego« [...]. Ów kompleks hipersoniczny można określić jako judeocentryczny, logocentryczny i egocentryczny [...], większość pamiętników i relacji [ży-

dowskich] pełna jest absurdałnej gadatliwości, grafomańskiej przesady, efektów dramatycznych, przesadzonej autopromocji, dyletanckiego filozofowania, aspiracji lirycznych, niesprawdzonych plotek, uprzedzeń, ataków i apologii”. Engelking zlekceważyła tę przestrożę, odrzuciła też zasadę *audiat et altera pars*: czy Kali ukraść krowę, czy krowę ukraść Kalemu – to jest drugorzędne: kluczem jest to, jak „krowi problem” postrzegali Żydzi.

Ale autorka nie poprzestała na takim gwałcie na nauce i poszła dalej: „Świadomie pomijam w tym studium zagadnienie pomocy [Żydom] na wsi, które – jako wymagające odrębnego opracowania – znajduje się poza obszarem moich zainteresowań [...], ponieważ zajmują mnie w tym opracowaniu jedynie Polacy (a właściwie polscy chłopci) i Żydzi, koncentruję się przede wszystkim na obszarze G.[eneralnego] G.[ubernatorstwa]. [...] pomijam kwestie ukraińskie, litewskie czy białoruskie” (s. 15).

Tak zniknął kontekst historyczny, różnicowanie postaw, proporcje dobra i zła (ratowanie wymazano), porównanie postaw różnych grup etnicznych z tych samych ziem. Zostało jedno: opowieść o tym, jak Polacy denuncjowali i mordowali Żydów. A czy te obrazy są prawdziwe – tak postrzegali rzecz Żydzi i kropka – nie ma większego znaczenia.

Co by się działo, gdyby tak opisać relacje polsko-żydowskie z okupacji sowieckiej lat 1939–1941: tylko żydowskie bandy mordujące polskich żołnierzy i urzędników we wrześniu 1939 r., plucie w twarz, bo „skończyła się wasza Polska”, tylko denuncjacje i udział sowieckich (w tym żydowskich) milicjantów w arestowaniach i deportacjach. Takie wybiórcze „dzieło naukowe” zostałyby publicznie odrzucone wraz z jego autorem. Ale w drugą stronę tak można.

Wbrew cytowanym deklaracjom Engelking garściami korzystała z opisów przestępstw dokonywanych wobec Żydów przez przedstawicieli innych narodowości. Ale ich zbrodnie zapisywała na konto Polaków. Kwintesencję tych zabiegów ilustruje artykuł z książki „Dalej jest noc”: „W powiecie bielskim szczególne miejsce wśród morderców Żydów zajmowali **polscy szucmani** [podkreślenie oryginalne – P.G.], pra-

cujący na posterunkach policji niemieckiej” (t. I, s. 129). Po tych słowach opisała zbrodnicze czyny dwóch szucmanów Mikołaja Gonty i Włodzimierza Naumiuka. Zakładam, iż doczytała w aktach, że obaj byli Białorusinami.

WYCINKI ZAMIAST REKONSTRUKCJI HISTORII

Skoro podstawą ustaleń Barbary Engelking były pamiętniki i relacje żydowskie, to nasuwa się logiczne pytanie: jak ich autorzy przeżyli wojnę na polskiej wsi? To oczywiste: przytłaczająca część z nich przetrwała dzięki stałej lub doraźnej pomocy chłopów. Wspomniani po wojnie opowiedzieli o zasługach swoich wybawców, ale opowiadali też o denuncjacjach i mordach innych Żydów. Jak można było tu oderwać jedną stronę medalu od drugiej? Barbara Engelking rozwiązała problem za pomocą systematycznego używania nożyczek: wycinamy ze źródeł te cytaty, które są nam potrzebne, a reszta na śmietnik historii.

Dokonywanie opuszczeń przy cytowaniu źródeł jest w nauce dopuszczalne, ale z uzasadnionych względów: pomija się informacje nie na temat, rozwlekłe dywagacje świadków itp. Tu dokonywane skróty służą raczej preparowaniu jednostronnej wizji historii, która przybiera kształt daleki od wykorzystywanych źródeł. Jeżeli w jakiejś opowieści przeplatają się wątki denuncjacji i pomocy, to przy opisanych wyżej założeniach metodologicznych te drugie będą systematycznie pominięte.

W taki sam sposób w publikacjach Engelking na potęgę znikają z cytatów informacje o nieetycznych postawach niektórych Żydów, drastyczne niekiedy szczegóły działalności żydowskiej policji, dane dotyczące skali, charakteru i skutków żydowskiej kolaboracji itp. W tej szkole szczególnie tropione i usuwane z historii są przykłady świadczące, że niektórzy szukający pomocy Żydzi mogli bardziej liczyć na Polaków niż na własnych rodaków, którzy np. odmówili w jednym z Judenratów pomocy rannej kobiecie z niemiecką kulą w ciele, bo nie miała pieniędzy na operację albo gdzie indziej wydali w ręce Niemców żydowskich jeńców-żołnierzy WP uratowanych przez Polaków z obozu w Lublinie. W zamian

pani Engelking pisze i opowiada o solidarności Żydów, budowaniu siatek pomocy itp. To było, ale z oczywistych względów nie mogło mieć dużego znaczenia.

Opowiadanie takich historyjek jest możliwe po już opisanym, systematycznym czyszczeniu źródeł z niepożądanych informacji. Także tych o braku solidarności, wykorzystywaniu i wydawaniu na śmierć słabszych, o skali donosicielstwa i kolaboracji, które pochłonęły tysiące ofiar. U Moniki Olejnik Engelking powiedziała: „Polacy po prostu zawiedli”. Trzeba badać i opisywać: ilu i którzy. Jednocześnie trzeba opisać to, co bije z całego mnóstwa świadectw ocalałych z Holocaustu: jak wielu Żydów było zawiedzionych postawą swoich licznych rodaków.

Na polskiej wsi miały miejsce denuncjacje i zabójstwa Żydów. Trzeba je badać i rzetelnie opisać. Ale nie można zapominać, że Niemcy nieustannie grozili chłopom śmiercią nie tylko za pomoc Żydom, lecz także za bierność w postaci ich tolerowania w okolicy. Odpowiedzialnością bezpośrednią byli obarczeni głównie солты, którzy stanowią grupę mocno nadreprezentatywną w aktach powojennych procesów. Konieczność wykonywania zarządzeń okupanta, obawy o życie własne i najbliższych były główną przyczyną wyłapywania Żydów, co jasno wynika z akt powojennych spraw karnych (tzw. sierpniówek), z których korzystała Engelking. A mimo to w podsumowaniu książki „Jest taki piękny słoneczny dzień...” napisała: „Polscy chłopci byli wolontariuszami w dziele wymordowania Żydów” (s. 259). No i co z tego, że źródła przeczą takim kłamliwym interpretacjom?

POLACY, CZYLI PIJANA I BRUDNA PATOLOGIA

O tym, co ta autorka wypisuje o chłopach, można napisać oddzielny artykuł. W jednym z jej tekstów czytamy: „W oczach Żydów chłopci byli, jak już pisałam, przede wszystkim chciwi, a ponadto prymitywni i gwałtowni. Nie bez znaczenia były tu także różnice klasowe, które miały wpływ na postrzeganie i opisywanie chłopów. Jednego z nich sportretowała Ada Schwedt: »Był to m.in. też człowiek zupełnie prymitywny. Był prymitywny jak zwierzę. [...] Chłubek bił i maltretował

swoją żonę oraz dwie córki. To było istne zwierzę. Od rana dom cały trząsł się od krzyków, łamano deski, meble, kłócono się i bito. Poza tym nikt w tym domu, przez miesiące całe, nie myślał. Wszyscy i wszystko było tu brudne». Engelking wycięła z tej opowieści ostatnie (tu podkreślone) zdanie Ady Schwedt: „Wszyscy i wszystko było tu brudne. Rodzina cała, należała do prawdziwych wyrzutków społeczeństwa”.

Schwedt nie uważała więc opisanej rodziny za typową, tylko za „wyrzutków (polskiego) społeczeństwa”. Engelking ucięła część jej relacji i napisała, że dotyczy ona ogólnie wieśniaków. Więcej: z przeinaczonej wypowiedzi Schwedt Engelking uczyniła motto rozdziału i klucz do postrzegania chłopów przez Żydów. Czy to jeszcze historia, czy jej ordynarne fałszowanie – każdy oceni sam.

Takie manipulacje w tekstach autorki (lub opublikowanych pod jej redakcją) idą w setki. Dotyczą głównie licznych cięć w przekazach, które ulegają systemowym zniekształceniom, a także fałszywych relacji z innych źródeł. Można tam znaleźć nawet cytaty kompilowane z różnych dokumentów lub przedręgowywane (przykłady prezentuję obok). Liczne fałszowania dotyczą też sfery języka. Nie bez kozery w programie Moniki Olejnik wspomniana położyła nacisk na to, że Żydzi nie tyle byli ratowani przez Polaków, ile ratowali się sami. Trzeba podkreślać pomysłowość i wolę przeżycia żydowskich uciekinierów, ale tu bardziej chodzi o pomniejszanie i eliminowanie pomocy Polaków. Ten zabieg w pisarstwie Engelking przybiera obraz karykaturalny.

W „Dalej jest noc” czytamy: „U Kozłowskich na kolonii Bronka (gm. Brańsk) za podwójną ścianą w chlewie **ukrywał się** [...] Jankiel Rubin. U Puchalskich na przedmieściach Brańska **w ziemiance z aprowizacją ukrywała się** [sic! – P.G.] 22 miesięce pięcioosobowa rodzina Finkelsztajnow” [podkreślenie – P.G.] itd. Gdyby nie Puchalscy, to rodzina Finkelsztajnow długo by się nie poukrywała, bo nie miałyby ani ziemianki, ani aprowizacji. Ale Polacy, którzy bezinteresownie ratowali Żydów, w „Dalej jest noc” są opisani (wprost albo pod różnymi sugestiami) jako ludzie kierujący się chciwością lub wręcz denuncjatorzy Żydów. W pierwszej grupie zmieści się

Sprawa sposobu wykorzystania Lejzera Dawidowicza

Dalej jest noc (t. 1, s. 98)

98 | Powiastki

mordu¹. Kolejne rozporządzenia dotyczyły (nie we wszystkich miejscowościach) rozdzielania mieszkań między Polaków i Żydów – chodziło o ograniczenie obszaru zamieszkanego przez Żydów i przygotowanie do utworzenia getta. Na przykład w Brańsku wydano rozporządzenie, które „mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu jest Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Nie chrześcijanin, a właśnie Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd ma się wyprowadzić? Do Żydów. [...] Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Dokąd? – To ich nie interesowało. W okolicę żydowską [...] Gój zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać”².

We wszystkich gminach powiatu bielskiego utworzono Judenraty, składające się z 12 do 24 radców, czasem „dawnych członków kahału”³, a czasem powoływanych pod przymusem⁴. Judenraty podlegały administracji cywilnej (oraz podległym im pionom policji – żandarmerii i Schupo)⁵, ale

futra, wszystkie nasze wełniane ubrania oraz inne rzeczy. [...] 9 stycznia [1942] Niemka nazwiskiem Horn, która była wówczas burmistrzem, ogłosiła, że 2000 Żydów ma natychmiast opuścić getto. Dzięki wielkiej łapówce, którą zapłacił mi Horn i żandarmerom, pozwolono tym Żydom zostać w getcie do wiosny. W lutym przybył nowy burmistrz, mężczyzna nazwiskiem Kischman. Natychmiast zaczął trzeciej kontrybucji w pieniądzu i ubraniach. Dodatkowo nałożono nowy podatek – 10 marek od osoby. Za tych, którzy nie mieli pieniędzy, miał zapłacić Judenrat” (Olga Goldfajn, *The Story of Olga Goldfajn [w:] The Complete Black Book of Russian Jewry*, red. Ilya Ehrenburg, Vasily Grossman, New Brunswick–London: Transaction Publishers, 2007, s. 172).

¹ Jak w Orli, gdzie burmistrz wydał „rozkaz wykopania przez Żydów trzech dużych grobów nieopodal synagogi. Panika była wielka. Przerazenie i śmiertelny strach spadły na ludność żydowską. Z wielkim trudem udało się rozkaz ten zamienić na kontrybucję wynoszącą pół kilo złota, trzy kilo srebra i 40 tys. rubli” (AYV, M.11/50, Rabin Halperin, „Opis martyrologii Żydów miasteczka Orla za czasów okupacji”).

² Lejzer Dawidowicz, *Skruski z największej katastrofy ludzkiej [w:] Księga pamięci Bielska Podlaskiego*.

³ Tak podaje Rabin Halperin z Orli w swoich wspomnieniach pt. „Opis martyrologii Żydów miasteczka Orla za czasów okupacji” (AYV, M.11/50).

⁴ Jak w Prużanie, gdzie „15 lipca Niemcy ogłosili, że w ciągu trzech dni Żydzi mają stworzyć Radę Żydowską – Judenrat, składający się z 24 mężczyzn. Jeśli nie stworzą Judenratu, 100 osób zostanie zastrzelonych. [...] Ludzie z wyższym wykształceniem zostali umieszczeni na liście – prawnicy i nauczyciele. W ciągu tygodnia Niemcy sami wybrali członków Judenratu” (Goldfajn, *The Story of Olga Goldfajn*, s. 172).

⁵ Takie rozporządzenie Ostsoldananta majora Trendelburga z 6 lipca 1941 r. cytuje Christian Gerlach, zob. *Kalkulierte Morde...*, s. 515, przypis 66.

„Na przykład w Brańsku¹ wydano rozporządzenie, które

”

»mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu jest Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Nie chrześcijanin a właśnie Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd ma się wyprowadzić? Do Żydów [...] Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Dokąd? – To ich [podkr. P.G.] nie interesowało. W okolicę żydowską. [...] Gój zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich szukać».

¹ Autorka myli osoby, wydarzenia, daty, akta archiwalne, a nawet miasta o których pisze. Chodzi o Bielsko Podlaskie. Nadto autorka podawała w *Dalej jest noc* błędny tytuł książki (*Księga pamięci Bielska Podlaskiego*. Powinno być: *Księga pamięci Żydów Bielska Podlaskiego*).

Fragment książki *Dalej jest noc* (t. 1, s. 98, monografia powiatu bielskiego pióra Barbary Engelking) w której opisano niemiecką akcję koncentracji ludności żydowskiej w Bielsku Podlaskim.

choćby ratująca rodzinę Fragnerów Olga Kupiec (t. II, s. 572), odznaczona medalem Yad Vashem rodzina Koniecznych z Dzierżni (t. II, s. 129), w tej drugiej choćby softys Edward Malinowski z Malinowa (t. I, s. 150). Czy to jeszcze nauka, czy już zwykłe świństwo – odpowiedź pozostawiam czytelnikom.

BEZ ODPOWIEDZI

Sprawdziłem najobszerniej opisany w książce Engelking „Jest taki piękny słoneczny dzień...” przypadek rzekomych mordów dokonanych w powiecie

bielskim przez braci Hryciów. Ich gospodarstwo miało być nazywane przez Żydów „drugą Trebliką”. W książce znajduje się kilka stron opisów topienia, mordowania siekierami żydowskich uciekinierów przez owych diabelskich braci. Po przeczytaniu akt ich procesu było oczywiste, że Hryciów fałszywie pomówiono, bo nigdy nikogo nie zabili. Obu niewinniono, a sprawa była tak oczywista, że prokuratura nie złożyła nawet apelacji. Wszystkie opisy przytoczone w książce Engelking za rzekomymi żydowskimi świadkami (przypominam o pierwszorzędności

Wspomnienia Lejzera Dawidowicza



Pominięte lub zmienione fragmenty tekstu

Dwa tygodnie później przyszedł rozkaz zorganizowania władzy cywilnej w miejscowej władzy wojskowej, która powstała po odejściu Rosjan. Był to rodzaj rady miasta, do której zadań należało wydawanie mieszkańcom rozporządzeń. Po zorganizowaniu władzy cywilnej nasze położenie znaczenie się pogorszyło. Wydawała ona rozporządzenia antyżydowskie nakazane przez Niemców. Pierwsze mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu mieszka Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd? Do innych Żydów. Rozporządzenie to było tym gorsze, że nie dano na tę wyprowadzkę miesięcy czy tygodni. Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Niemców nie interesowało, czy mają oni gdzie się przeprowadzić, byleby w okolicę żydowską i niech Bóg broni, aby nie do lepszego mieszkania. Robiono to, by utrudnić i pogorszyć sytuację Żydów. Bo ktoś, kto miał pokój czy dwa, musiał przyjąć jakąś rodzinę. Okupanci chcieli, aby Żydzi się podusili. Stosowano więc zasadę, że gościnność w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać.

Źródło: Lejzer Dawidowicz, *Skrawki z największej katastrofy ludzkiej*, [w:] *Księga pamięci Żydów Bielska Podlaskiego*, Bielsk 2017, s. 541.

W oryginale relacji jest:

”

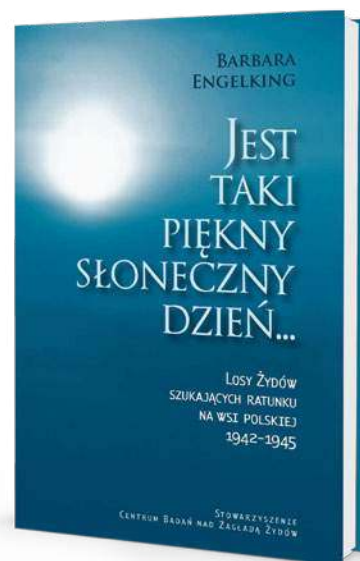
1. „Niemców nie interesowało”. W cytacie w książce *Dalej jest noc* Niemców zmieniono na „Ich”, przy czym „ich” odnosi się do „gojów” i chrześcijan czyli miejscowej ludności.
2. W oryginale jest zdanie „Okupanci chcieli, aby Żydzi się podusili”, świadczące o tym, że grupowanie ludności żydowskiej na jednej przestrzeni było wymierzoną w Żydów polityką Niemców. Zdanie to zostało usunięte.

WNIOSKI: Treść cytatu została zmieniona tak, że w efekcie niemieckie zarządzenia przeciwydowskie wyglądają na działania miejscowej ludności. W tym celu usuwano z relacji Lejzera Dawidowicza takie słowa jak „okupanci” i „Niemcy” to drugie słowo zastępując raz w cytacie słowem „ich”, które odnosi się w cytacie do chrześcijan, czyli miejscowej ludności.

„perspektywy Żydów”) są fałszywe. Napisałem w prestiżowych „Dziejach Najnowszych” tekst „Czy bracia Hryć byli polskimi mordercami Żydów. Czyli uwagi na temat naukowej wiarygodności badań prof. Barbary Engelking” (4/2018). Cztery lata minęły i odpowiedzi brak.

Czego się nie tknąć w publikacjach tej autorki (lub pod jej redakcją), budzi grozę. Skala „rekonstruowania” historii metodami wątpliwymi w nauce jest tu tak duża, że przy nich fałszerstwa Zakładu Historii Partii KC PZPR z lat 50. ub.w. jawią się jako dziecinne igraszki. Wspomnę choćby o wydarzeniach w Bochni

z 1943 r., kiedy funkcjonariusze Żydowskiej Policji Porządkowej (OD-mani) po deportacjach wyciągnęli z bunkrów i kryjówek setki Żydów, których po obrabowaniu wydali w ręce Niemców na rozstrzelanie. W „Dalej jest noc” owych OD-manów zastąpiono... polskimi policjantami. W marcu 2019 r. napisałem o tym w „Sieci” dwa artykuły, publikując dokumenty. W odpowiedzi autorka tej mistyfikacji (Dagmara Swałtek-Niewińska) podtrzymała to, co napisała w książce, a drugi (obok Engelking) z jej redaktorów Jan Grabowski wsparł ją w tym publicznie. Komentarz chyba zbyt publiczny.



Ale w tym gremium Barbara Engelking jest klasą sama dla siebie. Niedorzeczności z jej tekstów nie wytrzymują konfrontacji z wiedzą z encyklopedii i popularnych podręczników. Nie wiadać tam umiejętności sporządzania wiarygodnych przypisów naukowych, a cytaty roją się od błędów i manipulacji. W „Dalej jest noc” znalazła nawet organizację Brit Tumpedor (to „Brit Trumpeldor” – to seria błędów, nie literówek). Potem zamieściła w książce mapę Polski z opisaniem przez nią powiatem Bielsk Podlaski. Jego lokalizację pomyliła z Białą Podlaską. W jednej z żydowskich relacji dwukrotnie padają cenne informacje o losach Żydów z małych gett okolic Prużany, obecnie na Białorusi. Część z nich (transkrypcja fonetyczna trudna, a osady niewielkie...) była chyba za trudna do odczytania, więc zniknęła z cytatów Engelking bez zaznaczania... Co to jest wszystko warte?

Minister Czarnek zapowiedział odcięcie dotacji dla Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN kierowanego przez panią Engelking. Nie będzie miał z tym formalnych problemów, zważywszy na ukrycie tej placówki z dala od norm nauk historycznych w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN i niespełniania przez jego publikacje elementarnych wymogów naukowych, jak chociażby rezygnacja z procedur recenzyjnych. Czy minister słowa dotrzyma i zrobi coś, co powinno zdarzyć się lata temu? Zobaczymy.

Autor jest pracownikiem IPN. Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy.

Siódmy członek, czyli rzecz o suwerenności Ukrainy

Ukraina jest poletkiem doświadczalnym, na którym ma się okazać, w jakim stopniu Bruksela może ubezwłasnowolnić kluczowe instytucje ustrojowe państwa znajdującego się w politycznym potrzasku



JAN ROKITA

Sąd Konstytucyjny Ukrainy (KSU) to polityczna kwadratura koła, co rusz wpędzająca władze w Kijowie w coraz to nowe tarapaty. Mimo zwycięstwa Majdanu w 2014 r. w ciągu następnych lat sąd ów był *de facto* kontrolowany przez stronników dawnego, filomoskiewskiego reżimu. Wyniesiony do władzy przez Majdan prezydent Poroszenko nie znalazł albo też nie chciał znaleźć sposobu na poradenie sobie z tym problemem. I w końcu nic w tym dziwnego, skoro było jasne, że w dzisiejszych czasach każda próba przeprowadzenia czystki wśród sędziów musi się skończyć potężną awanturą i oskarżeniami rządu o zamach na fundamenty państwa. Poroszenko był politykiem raczej zachowawczym, zwłaszcza jeśli chodzi o wewnętrzne reformy państwa, a jako oligarcha mający swoje interesy także w Rosji tym bardziej zabiegał o reputację nienaganego Europejczyka, który święcie przestrzega zasad proklamowanych w Brukseli czy Luksemburgu.

ROZPRAWA Z SĄDEM KONSTYTUCYJNYM

Poważny kryzys konstytucyjny wokół KSU wybuchł zatem dopiero w drugim roku prezydentury Zelenskiego. Sędziowie zakwestionowali wówczas uchwaloną przez Radę Najwyższą ustawę antykorupcyjną, która miała stanowić wypełnienie zobowiązań Kijowa złożonych Komisji Europejskiej. Kluczowym punktem spornym stały się przepisy wprowadzające odpowiedzialność karną funkcjonariuszy publicznych za kłamstwo w oświadczeniach majątkowych. KSU zawyrokował, iż z perspektywy wartości konstytucyjnych posyłanie ludzi do kryminału tylko z powodu nieprawdziwych deklaracji majątkowych byłoby karą nadmierną.

I być może sam ów spór nie nabrałby aż tak wielkiego znaczenia, gdyby nie to, że nowy prezydent postanowił wykorzystać ten wyrok do rozprawy z Sądem Konstytucyjnym. Zeleniński wezwał do usunięcia sędziów z ich stanowisk, a w ślad za tym złożył w Radzie Najwyższej projekt ustawy o przywróceniu zaufania publicznego do sądownictwa konstytucyjnego.

Ten rewolucyjny projekt ustawodawczy wzbudził jednak rychło tak wiele sporów, że Zelenski uznał, iż nie ma co zawracać sobie głowy parlamentem, a lepiej przeciąć węzeł gordyjski własnymi decyzjami. 30 marca 2021 r.

anulował akty powołania dwóch kluczowych sędziów związanych z dawnym reżimem: prezesa KSU Tupickiego i sędziego Kasminina. Krótko przed tą decyzją Tupicki sformułował lekceważoną naonczas groźbę, iż jego usunięcie z urzędu skończy się złamaniem integralności terytorialnej Ukrainy. Niecały rok później tamta groźba nabrała realnego kształtu rosyjskiej inwazji.

Trudno orzec, w jakim stopniu inspiracją dla kroków Zelenskiego były zdarzenia z Polski z jesieni 2015 r., ale podobieństwo zastosowanej metody anulowania aktów powołania sędziów konstytucyjnych przez dawny reżim jest doprawdy uderzające. Z tą tylko różnicą, że polską uchwałę sejm Zeleniński zastąpił własnym dekretem.

Tamten kryzys wokół KSU nie wywołał nazbyt wielkich negatywnych reperkusji dla Zelenskiego, gdyż – po pierwsze – pretekst do rozprawy z sędziami został wybrany bardzo sprytnie: był to sprzeciw sądu wobec ustawy, na której uchwalenie od dawna napierała Komisja Europejska. A po drugie – Kijów natychmiast przystąpił do negocjacji nad tym, w jaki sposób zapewnić samej Komisji, a także innym instytucjom europejskim wpływ na przyszłe obsady ukraińskiego Sądu Konstytucyjnego.

Tak zrodził się precedens o kolosalnym znaczeniu dla coraz bardziej ekspansywnego w całej Europie sądownictwa konstytucyjnego. O ile bo-



wiem instytucje międzynarodowe już wcześniej zdobyły decydujący wpływ na ukształtowanie ustroju i szerokich kompetencji sądów konstytucyjnych (kluczową rolę odegrała tu tzw. Komisja Wenecka), o tyle w przypadku Ukrainy miały również decydować w przyszłości o ich personalnej obsadzie. Gdyby taka operacja udała się, i to w przypadku kluczowego politycznie kraju aspirującego do członkostwa w Unii, byłby to przełom o sporym znaczeniu. Oznaczałby bowiem, że sądy konstytucyjne, które uzyskały nieograniczone kompetencje do nadzorowania demokratycznych parlamentów i rządów, teraz zaczęłyby być przekształcane w *de facto* instytucje ponadnarodowe. Nie trzeba nikomu dowodzić, jak sprytnie i niemal niezauważalnie zostałaby przełamana granica państwowej suwerenności oraz jak znaczący nowy kawał władzy politycznej zyskałaby w ten sposób międzynarodowa korporacja sędziowsko-prawnicza.

DORADZCA GRUPA EKSPERCKA

To właśnie tamten kryzys 2021 r. legł u podstaw lawiny zdarzeń, których kulminację obserwujemy w Kijowie właśnie w obecnych dniach. Zełenski bowiem stanął okoniem wobec tej bezprzykładnej próby skonstruowania międzynarodowego nadzoru prawników nad polityką jego kraju. Ale zarazem podjął grę, tak by zminimalizować ryzyko oskarżenia jego ekipy o zamach na praworządność albo tendencje autorytarne.

W grudniu 2022 r. Rada Najwyższa ostatecznie zatwierdziła ustawę nr 7622, powołującą do życia Doradczą Grupę Ekspertką (DGE), która miałaby mieć decydujący głos przy obsadzie ukraińskiego Sądu Konstytucyjnego. Jej skład miałby zostać określony wedle zasady parytetu 3:3 – trzech nominatów krajowych (od prezydenta, Rady Najwyższej i korporacji sędziowskiej) oraz

trzech zagranicznych, na których wybór kluczowy wpływ miałyby Komisja Wenecka (czyli międzynarodowa korporacja obecnych i emerytowanych sędziów konstytucyjnych).

I to właśnie wtedy pojawił się spór o „siódmego członka”, w który została uwikłana kwestia suwerenności państwowej Ukrainy. Ustawa nr 7622 została bowiem odsądzona od czci i wiary przez Komisję Wenecką, Unię Europejską, a nawet grupę G7, czyli klub siedmiu najsilniejszych demokratycznych mocarstw. Komisja Wenecka odmówiła wysłania swoich przedstawicieli do DGE, a Bruksela groźnie dla Ukrainy przypomniła, że „siódmy członek” jest pierwszym na liście warunków hipotetycznych rozmów na temat wejścia Ukrainy do Unii.

Warto pamiętać kontekst tamtych zdarzeń: to był grudzień 2022 r., czyli 10. miesiąc bombardowań i okrucieństw rosyjskich na Ukrainie. Nic więc dziwnego, że prawnicy z Komisji Weneckiej

przez chwilę mieli moment zawahania, czy aby nie akceptować konceptu parytetu 3:3, który i tak dawał przecież znaczący wpływ prawnikom europejskim. Ale to była tylko chwila.

Wkrótce Komisja Wenecka została postawiona do pionu przez urzędników unijnych i – co ciekawe – przez aktywną sieć mocno krytycznych wobec rządów Zelenskigo stowarzyszeń i fundacji działających na samej Ukrainie. Więc podtrzymano żądanie siódmego członka DGE, który by także reprezentował Europę i miał decydujący głos przy rekomendowaniu przyszłych członków Sądu Konstytucyjnego.

FORTEL ZELEŃSKIEGO

Jeszcze w lecie 2022 r. pośród siedmiu wstępnych warunków rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych z Ukrainą Komisja Europejska na pierwszym miejscu postawiła wypełnienie żądań Komisji Weneckiej co do obsady Sądu Konstytucyjnego. Wówczas mogło się wydawać, że Zelenski wpadł we własne sidła: trudno mu bowiem będzie obronić się wobec zagranicznej presji, jeśli nie chce być w swoim własnym kraju obarczony odpowiedzialnością za zablokowanie unikatowej szansy Ukrainy na wstąpienie do Unii. A jednak nieoczekiwanie przywódca Ukrainy okazał się graczem znacznie twardszym i gotowym do podejmowania sporego ryzyka. Udając, że wypełnia żądania unijne... zaostriżł w istocie warunki sformułowane w ustawie uchwalonej tuż przed wybuchem wojny.

Rządowy projekt ustawy nr 9225, który właśnie ostatnio – 19 kwietnia – pojawił się na stronach Rady Najwyższej, nie tylko odrzuca żądanie siódmego członka, trwając przy zasadzie parytetu 3:3, ale nadto osłabia wpływ „doradców” zagranicznych przez wprowadzenie wymogu zgody pięciu członków DGE, by kandydat na sędziego konstytucyjnego mógł dostać aprobatę. W praktyce znaczy to tyle, że nawet zmowa trójki zagranicznych ekspertów i delegata ukraińskiej korporacji sędziowskiej nie wystarczałaby do nominacji. A nominat musiałby

mieć co najmniej poparcie przedstawicieli Rady Najwyższej albo samego Zelenskigo.

Do chwili gdy piszę ten tekst, zarówno Komisja Europejska, jak i Komisja Wenecka milczą w sprawie nowego projektu. Nietrudno zgadnąć, że publiczne zaatakowanie Zelenskigo i zarzucenie mu autorytaryzmu i tępienia praworządności nie jest teraz w Brukseli decyzją łatwą do podjęcia. To, co z polskiej perspektywy szczególnie interesujące, to polityczny mechanizm zaangażowania licznych, sceptycznych wobec rządów Zelenskigo środowisk i organizacji ukraińskich do zwalczania projektu. Rozgłos zdobył szczególnie list sygnowany przez wiele organizacji pozarządowych zajmujących się praworządnością i prawami człowieka, które nawołują Komisję Europejską i Komisję Wenecką

Zelenski stanął okoniem wobec bezprzykładnej próby skonstruowania międzynarodowego nadzoru prawników nad polityką swojego kraju

do niezatwierdzenia ustawy 9225 („закликаємо Європейську Комісію та Венеційську Комісію не схвалювати законопроект № 9225”), sugerując niedwuznacznie, że kwestię nominacji sędziów ukraińskiego sądu uznają za naturalne uprawnienie instytucji międzynarodowych! Za takim przekonaniem stoi zresztą sformułowany argument, że zostawienie władztwa nad tym procesem władzom Ukrainy będzie skutkowało korupcją i autorytaryzmem. Z kolei wpływowy dziennik „Politico” przedrukowuje apel ukraińskich działaczy z fundacji DeJure – według niego to nie sam Zelenski, który jest dobry, tylko źli ludzie z jego otoczenia dążą za pomocą ustawy nr 9225 do zniszczenia praworządności na Ukrainie.

Nie sposób na razie przewidzieć, jak skończy się ta próba sił, w której stawką jest nie tylko przyszła suwerenność państwa ukraińskiego. Całkiem możliwe bowiem, że będzie to precdens o znaczeniu paneuropejskim. Można się zastanawiać nad tym, czy gdyby w Polsce nastąpiła koniunktura polityczna na wyeliminowanie z Trybunału Konstytucyjnego tzw. sędziów dublerów, także wobec naszego kraju zostanie sformułowane żądanie umiędzynarodowienia procedury selekcji nowych sędziów. Na tym właśnie polega siła tego rodzaju politycznych precedensów. Ukraina jest poletkiem doświadczalnym, na którym ma się okazać, w jakim stopniu można ubezwłasnowolnić kluczowe instytucje ustrojowe państwa znajdującego się w politycznym potrzasku.

Gdyby nie wojna i status globalnej gwiazdy, który w jej efekcie zdobył Zelenski, jego pozycja przetargowa wobec presji Zachodu byłaby beznadziejnie słaba. Dziś siłą Zelenskigo w tej próbie sił jest to, iż na razie mało kto na Zachodzie jest gotów wziąć odpowiedzialność za podważanie jego przywództwa, skoro stał się globalnym symbolem oporu Ukrainy wobec obcego najazdu.

Ale widać tu także dotkliwą, wewnątrzukraińską słabość Zelenskigo. Co prawda, nawet jego najbardziej zagorzali wrogowie wewnętrzni nie mają jak dotąd śmiałości, by wystąpić w Brukseli z otwartym oskarżeniem prezydenta o wspieranie korupcji i skłonność do autorytaryzmu. Jednak słabością Zelenskigo jest sam fakt, iż w Kijowie istnieje dziś silne lobby, publicznie reprezentowane głównie przez liczne, zamożne i wpływowe stowarzyszenia i fundacje, pragnące wykorzystać wojnę jako okazję do przekształcenia Ukrainy w przyszłości w „państwo mandatowe”. Czyli takie, którego władze znalazłyby się pod stałym i instytucjonalizowanym międzynarodowym nadzorem. Nawiasem mówiąc, to jeszcze jeden dowód na to, jak dalece wspólne dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej kształtuje współczesne podobieństwa obu naszych narodów.

Dziś bronimy Ukrainy, jutro będziemy wyzwalać Białoruś

Około 2 tys. Białorusinów walczy na Ukrainie.

Oprócz Legionu Kalinowskiego mamy jeszcze kilka odrębnych formacji, jak Białoruski Korpus Ochotniczy należący do Legionu Cudzoziemskiego. Jest też grupa, która podpisała kontrakty na służbę w armii ukraińskiej.

Są i tacy, którzy chcą walczyć samodzielnie

Z płk. Nikołajem, głównym szkoleniowcem białoruskiego Pułku im. Konstantego Kalinowskiego walczącego na froncie po stronie Ukrainy, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Jest pan pułkownikiem Sił Zbrojnych Ukrainy (SZU). Jakie są pańskie zadania w tej wojnie?

Płk Nikołaj: Pełnię funkcję szkoleniowca formacji białoruskiej, którą jest Pułk im. Konstantego Kalinowskiego od momentu stworzenia tej jednostki. Szkolę ich od początku wojny i praktycznie wszyscy przeszli przez moje ręce. Moja specjalność to zwiad wojskowy. Nie agenturalny, czyli cywilno-wywiadowczy, tylko wojskowy. Wcześniej walczyłem w Afganistanie w formacji Specnazu. Moja historia z białoruskimi ochotnikami zaczęła się w 2014 r. Wtedy pierwsi Białorusini przyjechali pomagać Ukrainie w walce o Donbas. Duża ich część trafiła najpierw do batalionu – dziś już brygady – Azow. To były jednostki ochotnicze, wywodzące się w dużej części z Prawego Sektora. Jako zawodowy wojskowy byłem tam instruktorem. Uczylem tych ludzi od podstaw. Chłopaki z Białorusi byli dobrze przygotowani fizycznie i trafili pod skrzydła mojej ekipy instruktorskiej. Z tego powodu, że nie mieli obywatelstwa ukraińskiego, nie mogli trafić od razu na front. Ci rekruci zaczynający wojaczkę w 2014 r. są teraz dowódcami w Pułku Kalinowskiego. Gdy wybuchła

wojna w lutym 2022 r., to właśnie oni zwrócili się do mnie jako już starego znajomego o to samo. I tak wyszkoliłem prawie wszystkich kalinowców.

Co do sformułowania „stary”. Nie jest już pan pułkownik pierwszej młodości.

Można tak powiedzieć [śmiech]. Mam 70 lat, ale nadal jestem sprawny fizycznie.

Rzeczywiście, jest pan szczupły i wiadać, że również w dobrej formie. Dałbym panu najwyżej 55 lat.

Dziękuję. Biegam, sporo czasu poświęcam na trening. Wojna jest wymagająca.

Ilu Białorusinów walczy w szeregach SZU?

[śmiech] Ta informacja jest objęta tajemnicą. Ale dużo.

Rząd wielkości.

Ok. 2 tys. Oprócz Legionu Kalinowskiego mamy jeszcze kilka odrębnych formacji, jak Białoruski Korpus Ochotniczy należący do Legionu Cudzoziemskiego. Jest też grupa, która podpisała kontrakty na służbę w armii ukraińskiej. Są i tacy, którzy chcą walczyć samodzielnie.

Ile trwa szkolenie i na czym ono polega?

Pierwszy etap szkolenia trwa trzy tygodnie. W jego skład wchodzi przygotowanie strzeleckie, topografia, zajęcia z inżynierii, jak budowa tranzei, umocnień czy okopywanie się. Rekruci przechodzą również szkolenie minowe. Zajęcia trwają codziennie. Tylko w niedzielę jest czas na odpoczynek. Pobudka jest o 6.00, a właściwe zajęcia zaczynają się o 8.00. Rezultaty widać już po dwóch tygodniach. Przychodzą do nas różni. Z wojskowym doświadczeniem i bez. Ale wszyscy są poddani temu samemu reżimowi. Potem chłopaki jadą na poligon. Tam przez następne trzy tygodnie głównie strzelają i uczą się walki w okopach. Jednym z ćwiczeń jest oswajanie się z ogniem artylerii. Towarzystwo kryje się w tranzejach, a my walimy obok z wszystkiego, co się da. Z dział, moździerzy, granatników. Następnie zostają skierowani do jednego z dwóch batalionów Pułku Kalinowskiego. Pierwszy walczy pod Bachmutem, a drugi w Zaporozżu w okolicach Hulajpola. Niektórzy wykazujący się zdolnościami, np. przy obsłudze dronów bądź w sprawach saperskich, albo mają predyspozycje do bycia szturmowcem. Po weryfikacji są kierowani do odpowiednich pododdziałów w pułku. Bywa i tak, że dobry szturmowiec może być kiepskim saperem i odwrotnie. Potrzebni są również ludzie do obsługi zaplecza, czyli służby na tyłach, jako kierowcy (pułk ma 150 samochodów) czy służby medyczne. Po przeszkoleniu wystawiam każdemu opinię z przydziałem do danej specjalizacji.

Czy Legion Kalinowskiego jest jednostką zmechanizowaną, zmotoryzowaną, czy jeszcze jakąś inną?

Jest zaliczany do lekkiej piechoty. Jako oddział cudzoziemski podlegamy pod Główny Zarząd Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy, tzw. w skrócie HUR.



Fot. Materiały prasowe

Dlatego nie bierzemy udziału w większych operacjach wojskowych, tylko wykonujemy głównie działania rozpoznawcze. Czasem dostajemy polecenie, żeby stworzyć grupę szturmową. Wyjątkiem jest Bachmut, gdzie musimy bronić powierzonego nam odcinka. Jesteśmy wyposażeni jako lekka piechota głównie w broń lekką – karabiny i karabiny maszynowe. Teraz doszły moździerze, ckm-y i drony. U nas prawie nie ma czołgów, czy bojowych wozów piechoty. Jeśli są, to „trofiejne” – zdobyczne. Ogólnie HUR stara się chronić białoruskich legionistów. Raczej nie kierują nas do walk, gdzie straty sięgają 50 proc. i więcej. Wiedzą, że nasza godzina wybije później.

Jaki duch bojowy panuje w pulku?

Coraz lepszy. Uczymy się dobrze walczyć. Jakaś część ochotników z krajów np. Ameryki Łacińskiej czy w ogóle z Zachodu przyjechała na wojnę w poszukiwaniu przygód. Inni z kolei po to, by toczyć walkę o wolność Ukraińców. U nas panuje idea. Dziś bronimy Ukrainy, a jutro będziemy wyzwalać Białorusi. To daje ludziom inną, silniejszą motywację.

Czyli tworzycie kadry jak niegdyś w Legionach Dąbrowskiego za gen. Bonaparte czy marszałka Piłsudskiego.

Tak. Mamy zamiar po wojnie kontynuować naszą walkę na Białorusi. Szkolimy

się jako kadra dla nowego białoruskiego wojska. W Warszawie działa nasze centrum mobilizacyjne. Podobne centrum mamy w Gruzji. Niestety, ciężko jest trafić na Ukrainę. Białorusin nie może tam wjechać, bo nie dostanie wizy. Jest co prawda umowa z rządem w Kijowie, że mogą wjeżdżać tylko te osoby, które chcą tam walczyć. Ale najpierw trzeba znaleźć się w Polsce. A w kolejce do wszystkich konsulatów na Zachodzie trzeba długo czekać. Czasem trwa to kilka miesięcy.

Czy te akcje sabotażowe na kolejach w Białorusi są powiązane z waszym pulkiem?

To były początki Pułku Kalinowskiego. Ludzie z organizacji podziemnych, którzy robili dywersje na kolei, później do nas dołączyli. Pułk jest jakby parasolem dla tych organizacji, a centrum mobilizacyjne znajduje się w Warszawie. Pracują tu ludzie (rezerwa), którzy nie walczą na Ukrainie z powodów rodzinnych. Dlatego przyjechałem do Polski, żeby wytłumaczyć Białorusinom chętnym do wojaczki, jak dostać się do pulku. Kolejność jest następująca: najpierw centrum mobilizacyjne, a potem przejazd samochodami na Ukrainę na szkolenie. Co ciekawe, meldują się u nas cyberpartyzanci, którzy wcześniej atakowali Moskwę w sieci. Włamywali się do kolejowych systemów kompute-

rowych i robili tam bałagan. Teraz chcą działać na Ukrainie.

Jak wygląda pułk na froncie? Czy zdążył wziąć już udział w walkach?

Jesteśmy lekką piechotą. Z ciężkiego uzbrojenia mamy moździerze, granatniki, miny i obsługujemy drony. Przekazują one informacje do punktu dowodzenia. Na froncie głównie strzelają działa. Bojów na bliski dystans prawie nie ma. Wysyłamy drony i jak zobaczą jakieś zgrupowanie, które szykuje się do natarcia, przekazują koordynaty artylerii, a ta robi swoje. Mamy dużą grupę dronów, które współpracują z naszymi batalionami. Formacje ukraińskie nie mają czasem takich dronów jak my. To proszą nas: „Chłopaki, zróbcie nam rozpoznanie, gdzie jest ten czołg, który nie daje nam spokoju. Możecie pomóc?”. Mamy też drony-kamikadze. Batalion podzielony jest na małe grupy po kilku żołnierzy. Ci wykonują głównie zadania rozpoznawcze. W Bachmucie dochodzi do bezpośrednich starć z armią moskiewską. Tam musimy również działać w obronie. A my w obronie tej fortecy walczyliśmy prawie od samego początku. Wcześniej nasze chłopaki walczyły w grupach szturmowych w rejonie Mikołajowa i Chersonia. Głównie chodziło o zajęcie lub zniszczenie konkretnego punktu, jak np. most. Robota typowo dywersyjna. Ale początek to

była obrona Kijowa. Tam straciliśmy pierwszych dwóch ludzi.

To na szczęście nieduże straty.

Bo my chronimy swoich żołnierzy. Pierwszy nasz poległy, Ilja – Litwin, zginął w Buczy. Drugi stracił nogę. Trafił go odłamek. Jak zobaczył, że nic z tej nogi nie będzie, odciął ją sobie nożem. Teraz zbieramy pieniądze na protezę i leczenie w Polsce. Kilka dni później zginął jeszcze jeden chłopak. Walczyliśmy na Chersońszczyźnie pod Mikołajowem, pod Siewierodonieckiem i w Lisiczańsku. Tam rozbito nam grupę sześciu żołnierzy, a dwóch trafiło do niewoli. Nasi na nieszczęście spotkali grupę komandosów z czołgami. Podjęli walkę i zginęli.

A jak wojują Rosjanie?

Po staremu. U nich niska motywacja. Stosunkowo często uciekają z pola walki i nie chcą się bić.

Wagnerowcy też?

Większość z nich trafiła na tamten świat. Żyją głównie wcześniejszą sławą. Teraz nabrali sobie zeków, czyli więźniów. Ci idą pod przymusem. Jak nie będziesz szedł do przodu, to cię zastrzelą swoi. Z tyłu.

Jak wygląda typowy rosyjski atak?

Najpierw drony – rozpoznanie. Dalej lotnictwo i artyleria, rakiety. Potem czołgi. Jak coś zobaczą, to ostrzeliwują. A na końcu piechota. Podobna taktyka jak w Afganistanie. Rosjanie mają drony typu Orlan, które cały czas krążą po niebie i obserwują sytuację. Jak coś wypatrzą, to walą z artylerii. Głównym zadaniem wagnerowców jest natarcie. Idą do przodu. Małymi grupami. Przesuną front o 10 metrów, a potem dalej to samo. Ale nasze drony też krążą w powietrzu. Przekazują pozycje wroga dla moździerzy i artylerii według systemu, który nazywa się Krapiwka (Pokrzywa). Operator drona daje koordynaty, które trafiają do punktu artyleryjskiego. Ten system ma bardzo dużą skuteczność. Gorzej, gdy w danej okolicy nie mamy dronów. Wtedy wagnerowcy podchodzą blisko nas. Można ich przepędzić ogniem z karabinów szturmowych, ale to też jest niebezpieczne. Po niebie

krążą ruskie Orlany i strzelając, zdradzają swoją pozycję. Od razu okładają cię ogniem z moździerzy czy artylerii.

Można powiedzieć, że SZU, a w tym Pułk im. Konstantego Kalinowskiego, są lepiej wyszkoleni od Rosjan?

Zdecydowanie. Moskale stracili już większość ze swoich dobrze wyszkolonych żołnierzy. Teraz głównie są to poborowi.

Czy macie już jakiś plan, jak pozbyć się Łukaszenki i wyzwolić Białoruś?

Plan jest, ale tajny. Ale ciągle potrzebujemy więcej ludzi. Kilka tysięcy to jest za mało. Przyjechałem do Polski po to, żeby aktywizować Białorusinów i zachęcać do wyjazdu na Ukrainę. Poza tym trudno

Mamy zamiar po wojnie na Ukrainie kontynuować naszą walkę na Białorusi. Szkolimy się jako kadra dla nowego białoruskiego wojska. W Warszawie działa nasze centrum mobilizacyjne. Podobne centrum mamy w Gruzji

jest się samemu nauczyć strzelać. W Polsce strzelnica kosztuje. Dlatego pułk oferuje różne programy. Osobom, które nie mogą wyjechać na wojnę z powodów np. rodzinnych, proponujemy ćwiczenia. Naszym celem jest budowa wojska typu europejskiego. Niestety, mamy coraz mniej amunicji do kalasznikowców na Ukrainie. Używamy także czeskich CZ-etek oraz broni amerykańskiej, jak tej w Wietnamie – M-16. Powoli wchodzi Hummery. Nasze chłopaki uczą się na Ukrainie. Ale tam jest miszmasz w uzbrojeniu. Raz taka radiostacja, raz inna. Chcielibyśmy mieć wyszkoloną kadrę według standardów NATO. Poza tym wojsko ukraińskie to zdyscyplinowana formacja, wykonuje rozkazy i jest zbu-

dowane systemowo. A my mamy grupy dywersyjne. Nie tyle chodzi nam o wysadzenie jakiegoś budynku, tylko o walkę na terenie całego kraju. Pracujemy również nad armią Łukaszenki, żeby w razie czego przechodzili na naszą stronę. Wojna jest zła, ale daje szansę Białorusi.

Utrzymacie Bachmut?

Nie dysponuję danymi sztabu generalnego.

Ale tak na pańskie oko.

Mówi się często, że Bachmut jest sprawą polityczną. Można by było się wycofać na wzgórze, które są na zachodzie za Bachmutem. Ale Wołodimir Zełenski wydał polecenie, żeby się trzymać. Ponoć gen. Walerij Żaluźny, naczelny dowódca sił Ukrainy, był za tym, żeby się wycofać, ale prezydent Zełenski się sprzeciwił. Z wojskowego punktu widzenia w Bachmucie wiążemy siły Moskwy i dajemy czas rezerwom na szkolenie i przygotowanie się do planowanej ofensywy.

Kiedy ona nastąpi?

Jak pogoda pozwoli. Ziemia musi wyschnąć, a więc bardziej bliżej lata.

Czego najbardziej potrzebujecie teraz w pułku?

Uzbrojenia. Dostajemy co prawda kalasznikowy i amerykańskie czy czeskie karabiny, ale w większości to stary sprzęt.

Używacie polskich karabinków automatycznych typu Grot?

Jeszcze nie widzieliśmy ich na oczy. Potrzebujemy też pojazdów opancerzonych. Chłopaki korzystają głównie ze zwykłych cywilnych aut. HUR zależy na tym, żeby przyjeżdżało jak najwięcej ludzi wyszkolonych. Ale my z kolei mamy inną politykę. Dlatego zrobiliśmy centrum szkoleniowe. Tam potrzebujemy konkretnych rzeczy, jak broń, pojazdy opancerzone BTR czy BWP, drony, noktowizory, a także samochody medycyny taktycznej, by można było wozić i ratować rannych. Pomoc jest potrzebna od razu, po zranieniu. Potem często jest za późno. A dla nas każdy człowiek się liczy. Nasz pułk sam nie uratuje Ukrainy. Jest nas za mało. Ale Białoruś...

Ukraina – wygrywa Petlura!

Ustyszałem taką opinię: kiedy Kozacy byli z Polakami – Rzeczpospolita wygrywała, kiedy Kozacy poszli do Moskale – Rzeczpospolita upadła



ROMUALD SZEREMIETIEW

Jesteśmy pod wrażeniem wszystkiego, co stało się w trakcie wizyty prezydenta Ukrainy w Polsce. Prezydenci Polski i Ukrainy ogłosili wielkie, porywające przemówienia. Podpisano ważne umowy, Ukraina zamawia broń w polskich fabrykach uzbrojenia. Rysuje się sojusz, w którego rezultacie „Kozacy” powinni być z Polską i wydaje się niemożliwe, by ponownie zwrócili się ku Rosji. Rosjanie robią zresztą wszystko – niszczą Ukrainę, mordując jej mieszkańców – by obrzydzić Ukraińcom jakiegokolwiek związku z Rosją. „Ruski mir”, oferowany przez Putina za pomocą tanków i rakiet, okazał się dla Kijowa mało atrakcyjny.

Jednak związek Polski z Ukrainą też nie jest sprawą prostą i łatwą. Mamy bowiem niezabliźnioną ranę po zbrodni ludobójstwa, której dopuścili się nacjonaliści ukraińscy na kresowych Polakach – wkrótce będzie kolejna rocznica rzezi wołyńskiej. Pomniki sprawców tej zbrodni stoją na terenie zachodniej Ukrainy, która przed wybuchem II wojny światowej była w granicach II Rzeczypospolitej – Lwów, Łuck, Równe, Stanisławów, Tarnopol... Kruszeją w ziemi kości pomordowanych Polaków, których nie mogliśmy ekshumować i godnie pochować. A miejsc, gdzie przed laty zakopywano ofiary, jest na Ukrainie wiele.

Prezydent Zelenski w słowach skierowanych do Polaków i Ukraińców powiedział, że siła łączącej nas przyjaźni jest tak wielka, że będzie w stanie



Odsłonięty w lipcu 2020 r. monument „Przed Bitwą Warszawską – Skirniwice 1920-2020”. Przedstawiono na nim cztery postacie: naczelnego atamana wojsk ukraińskich i prezydenta Ukrainy w latach 1919-1921 Symona Petlurę, Józefa Piłsudskiego, premiera Węgier Pála Telekiego oraz Charles'a de Gaulle'a

pokonać wszelkie trudności i przeciwnieństwa. Powinna więc pokonać i tę krwawą, ponurą trudność! Trzeba jednak spojrzeć na ten problem, nie tylko kierując się pozytywnymi emocjami, lecz także używając rozumu, posługując się rozsądkiem.

* * *

Spójrzmy na przeszłość – w tym na tę trudną, jakiej doświadczyły ziemie kresowe II Rzeczypospolitej. Początki relacji polsko-ukraińskich w XX w. nie były jednoznaczne. Odrodzone w 1918 r. państwo polskie nie tylko znalazło się w konflikcie z jednymi Ukraińcami (walki o Lwów), lecz także odnalazło drogę współpracy z drugimi Ukraińcami (sojusz z Ukraińską Republiką Ludową). Żołnierze atamana Symona Petlury okazali się lojalnymi i odwżynymi, gdy wraz z polskim wojskiem od-

pierali bolszewicki najazd w 1920 r. Rzeczywistość na Ukrainie pokazywała, że o ile wzajemne relacje z Ukraińcami z centralnej Ukrainy układały się dobrze, o tyle z tymi „zachodnimi”, gdzie rosące wpływy miała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, były jak najgorsze. Z tej strony były organizowane akty terroru uderzające w polskich polityków (zabójstwo ministra Bronisława Pierackiego), tu też narodził się pomysł przeprowadzenia czystki etnicznej, unicestwienia Polaków, co usiłowała później zrealizować Ukraińska Powstańcza Armia.

Fatalne było dla nas to, że Petlura nie miał dość czasu, by zmobilizować „naddnieprzańców” i nie udało się obronić URL przed bolszewikami. Ta część Ukrainy, która byłaby zapleczem dla władz ukraińskich sprzyjających Polsce, znalazła się pod panowaniem

sowieckiej Rosji i została całkowicie wyniszczona przez Stalina wywołaną sztucznie klęską głodu (Hołodomor) w latach 30. W granicach II Rzeczypospolitej znaleźli się z kolei Ukraińcy często wroddzy Polsce i spiskujący przeciwko niej z Niemcami, Litwinami, Czechami. Jednak tak długo, jak istniało państwo polskie, jego policja i wojsko, w tym Korpus Ochrony Pogranicza, panowało nad sytuacją i terroryści OUN nie byli w stanie zagrozić porządkowi publicznemu II Rzeczypospolitej. Sytuacja uległa dramatycznemu pogorszeniu, gdy Niemcy i Sowieci w 1939 r. zdruzgotali polską państwowość. Wtedy dopiero nacjonaliści z OUN/UPA mogli bez większych przeszkód wdroić plan wymordowania Łachów, niszczenia polskości na Wołyniu i innych ziemiach kresowych będących wówczas pod okupacją niemiecką.

* * *

Z niepokojem obserwowaliśmy, jak po powstaniu państwa ukraińskiego w 1991 r., które Polska uznała jako pierwszą, z czasem odezwały się nacjonalistyczne resentymenty – coraz głośniejsz rozlegały się głosy, że Stepan Bandera, UPA to godni szacunku obrońcy ukraińskiej niepodległości. Było to szczególnie widoczne na terenach zachodniej Ukrainy – we Lwowie i w innych miastach stały pomniki Bandery i jemu podobnych. Obawialiśmy się, że jeśli taki pogląd wystąpi jako zbiorowe przekonanie na całej Ukrainie, wtedy to państwo stanie się wrogiem Polski, znowu spiskującym z jej przeciwnikami. Pojawiły się też trudności, gdy strona polska chciała przeprowadzić na Ukrainie ekshumacje ofiar UPA, upamiętnienia ich. Wydawało się, że może wrócić dawna nienawiść Ukraińców do Polaków – na co zresztą bardzo liczyli Rosjanie. W Moskwie pojawiły się pomysły nie tylko podporządkowania Ukrainy, lecz także pozbycia się przy tym jej zachodniej części, utworzenia tam rządzonego przez nacjonalistów ukraińskiego państwa Galicji, antypolskiego, dążącego do odebrania Polsce Przemyśla i Chełma. Jednocześnie

w Moskwie oferowano Polakom odzyskanie Lwowa – Putin przypominał, że Lwów był polskim miastem. Cele był oczywiście – Rosja dążyła, by trwale skłócić Polaków z Ukraińcami, napuszczając ich na siebie.

Agresja Rosji („operacja specjalna”) na Ukrainę w lutym 2022 r. zmieniła wszystko w postrzeganiu Polski i Polaków przez Ukraińców. Pomoc, której udzieliła i nadal udziela Polska, przyjęcie serdeczne milionów ukraińskich

Współczesne państwo ukraińskie stało przed wyborem tradycji współpracy z Polską związanej z atamanem Petlurą albo linii polityki wrogiej Polsce nawiązującej do Bandery. Można wyrazić przekonanie, że napaść rosyjska na Ukrainę w 2022 r. ostatecznie przesądziła na rzecz kierunku propolskiego w polityce Kijowa

uchodźców, starania dyplomatyczne władz RP budujące wsparcie dla Ukrainy to wszystko sprawiło, że antypolska, „upowska” postawa zaczęła tracić rację bytu. Polska dziś jest liderem rankingu sympatii wśród Ukraińców – wynika z badania przeprowadzonego przez ukraińskie Centrum im. Razumkowa. Pozytywny stosunek do Polski zadeklarowało 94 proc. ankietowanych, negatywne odniesienie najwięcej badanych zadeklarowało wobec Rosji, też 94 proc. (sic!).

Ukraińskie elity musiały dostrzec jeszcze jedno – nie mogą liczyć, że ich niepodległy byt może zagwarantować współpraca z Niemcami. Berlin wyraźnie opowiedział się po stronie Moskwy. Niemcy, zmuszane przez USA i Pol-

skę, z największą niechęcią pomagają Ukrainie, więcej obiecując niż dając. Jednocześnie zabiegają, by Rosja mogła wyjść obronną ręką z konfliktu z Ukrainą, zachowując twarz i oczywiście okupowane ziemie. W Niemczech odbyły się „marsze wielkanocne”, których uczestnicy domagali się, by nie wysłać broni Ukrainie, bo to przedłuży wojnę. W Kijowie wiedzą, że w Berlinie chcą, by póki równał się kapitulacji Ukrainy przed Rosją.

* * *

Mamy więc wiele przesłanek wskazujących, że rysująca się bliska współpraca Polski z Ukrainą ma solidne podstawy i możemy z optymizmem patrzeć w przyszłość. Niepodległa Ukraina to partner, z którym współpraca Polski może zagwarantować bezpieczeństwo Europie Środkowo-Wschodniej i trwale zatrzymać atak rosyjskiego imperializmu. Dlatego wojna Ukrainy z Rosją to także nasza wojna, jeśli oczywiście spojrzymy na nią przez pryzmat polskich narodowych interesów.

Ale może być ktoś, kogo nie przekonuje powyższy wywód i nie potrafi przezwyciężyć strachu przed Ukraińcami. Będzie twierdził, że nie wyrzekną się oni nienawiści do Polski, a po wygranej z Rosją zwrócą się przeciwko nam, mając za nic wszystko to, co Polska dla nich uczyniła. Pomijając, iż jest to mało prawdopodobne, pamiętajmy, że państwo polskie zawsze dobrze radziło sobie z wrogimi Ukraińcami. Tak było w czasie buntów kozackich w latach I Rzeczypospolitej i podobnie w okresie II Rzeczypospolitej. Dopiero brak państwa polskiego, jego zniszczenie, otworzyło ukraińskim nacjonalistom drogę zbrodni.

Współczesne państwo ukraińskie stało przed wyborem tradycji współpracy z Polską związanej z atamanem Petlurą albo linii polityki wrogiej Polsce nawiązującej do prowidyka Bandery. Można wyrazić przekonanie, że napaść rosyjska na Ukrainę w 2022 r. ostatecznie przesądziła na rzecz kierunku propolskiego w polityce Kijowa.

Erdoğan nad przepaścią

Prezydent Erdoğan nie jest w stanie dotrzymać obietnic, które złożył Turkom. Czy straci z tego powodu władzę?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Pokryty śniegiem szczyt wulkanu Erciyes góruje wysoko nad miastem Kayseri w środkowej Turcji, nad jego wieżowcami, minaretami i fortecą z VI w. Rozległe strefy przemysłowe na obrzeżach miasta świadczą o jego gospodarczym potencjale. Kayseri to jedno z miast, w którym narodziły się tzw. anatolijskie tygrysy – nowa klasa przedsiębiorców, którzy za rządów Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğana zbili fortuny i uczynili z Turcji 16. gospodarkę świata. Tu urodził się współzałożyciel AKP i były prezydent Turcji Abdullah Gül. Przez ostatnie 20 lat rządów Erdoğana liczba mieszkańców się potroiła – do 1,4 mln. W 2004 r. założono tu 139 nowych firm sektora produkcyjnego w zaledwie jeden dzień.

Kayseri, położone na dawnym osmańskim szlaku handlowym, to esencja tego, co tureccy socjologowie nazwali „islamskim kalwinizmem”: mieszkanki ciężkiej pracy i wiary. Bo Kayseri to miasto konserwatywne i dumne ze swoich tradycji. Na ciężarówkach i wozach dostawczych widnieje napis: „Wszystko należy do Allaha”. W szczytowym okresie gospodarczego boomu w 2011 r. wzrost PKB

wyniósł tu 13,4 proc., o 3 proc. więcej niż w reszcie kraju.

KONIEC BOOMU

Ale po próbie puczu w 2016 r. miasto przeżyło wstrząs. Zatrzymano ponad 150 miejscowych przedsiębiorców, w tym Hacı Boydaka, szefa Boydak Holding, jednej z największych tureckich firm, eksportującej m.in. meble do 140 krajów. Firmę przejęło państwo. To, co spotkało Kayseri, powtórzyło się w wielu innych miastach. Czyszczenia objęły w sumie ponad 160 tys. osób. Hacı Boydak miał wspierać finansowo Hizmet, ruch Fethullaha Gülena, muzułmańskiego uczonego i sprzymierzeńca Erdoğana, a potem jego wroga i domniemanego autora puczu. Gülen uciekł do USA, a represje trwają do dziś. Nie wywołały masowego, społecznego sprzeciwu, ale zaszkodziły gospodarce.

Dziś Turcja boryka się z wysoką inflacją, która oficjalnie wynosi 50 proc., a nieoficjalnie aż 120 proc., i postępującym kryzysem walutowym skutkującym spadkiem wartości liry. Polityka gospodarcza Erdoğana, tzw. erdoganomika, oparta na inwestycjach, szczególnie w sektor budowlany (tureckie przedsiębiorstwa zarobiły miliony na budowie stolicy Kazachstanu – Astany), finansowanych rosnącym zadłużeniem zagranicznym, zaczęła mocno zgrzytać. Szczególnie w okresie pandemii COVID-19. Kryzys jest zresztą napędzany przez obniżki stóp procentowych, forsowanych przez prezydenta, który osobiście steruje polityką monetarną. Inwestorzy się wy-

cofują. Boom, który wyciągnął miliony mieszkańców prowincji z biedy, otworzył im drogę awansu i uczynił z nich zwolenników obozu rządzącego, się skończył. Tymczasem Erdoğan, który po reformie konstytucyjnej w 2017 r. zyskał niemal pełnię władzy, obiecał Turkom, że ich kraj będzie należał do 10 największych gospodarek świata, a nawet do G7. Dziś ten cel wydaje się bardzo odległy.

MR. KEMAL

Dlatego Kemal Kılıçdaroğlu uczynił z inflacji jeden z najważniejszych tematów swojej kampanii. 14 maja Turcy wybiorą prezydenta i parlament. Kılıçdaroğlu, wieloletni lider opozycyjnej Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), założonej w 1923 r. przez Mustafę Kemala Atatürka, ma nadzieję, że wyborcy już nie nabiorą się na pozę „człowieka ludu” Erdoğana, który pół wieku temu sprzedawał obwarzanki z sezamem (simit) w stambulskiej dzielnicy Kasımpaşa, a dziś żyje w luksu-





Recep Tayyip Erdoğan

się, podczas gdy Turcy z coraz większym trudem wiążą koniec z końcem. CHP udało się zawiązać koalicję, tzw. Sojusz Narodowy, z pięcioma mniejszymi partiami, w tym nacjonalistyczną Dobrą Partią (İYİ) czy centroprawicową Partią Demokratyczną (DP), złożoną z byłych polityków AKP, rozczarowanych prezydentem i jego polityką. Strategia wyborcza Sojuszu Narodowego jest prosta: przedstawić Erdoğan jako źródło wszystkich problemów, które znikną, jeśli tylko zniknie on. Opozycja liczy na zmęczenie wyborców 20 latami rządów tego samego ugrupowania, spadkiem poziomu życia, niespełnionymi obietnicami.

Mr. Kemal, jak nazywają go zachodnie media ze względu na trudne w wymowie nazwisko, liczy także na głosy tych, których dotknęło lutowe trzęsienie ziemi. Zginęło ponad 50 tys. ludzi, a 2 mln straciły dach nad głową. Wiele miejscowości opustoszało, a ci, którzy zostali, wciąż gnieźdzą się w namiotach. Odbudowa idzie wolno, zbyt wolno. Erdoğan obie-

cał Turkom skuteczne rządy, tymczasem trzęsienie ziemi obnażyło słabości jego państwa i autorytarnego stylu rządzenia. Firmy budowlane nie przestrzegały przepisów, stawiając budynki mieszkalne, ale nikt na nie nie naciskał, bo byli darczyńcami AKP. A ratownicy dotarli w rejon katastrofy z opóźnieniem, bo urzędnicy woleli czekać na decyzję prezydenta.

RADYKALNA MIŁOŚĆ

Polaryzacja polityczna, problemy gospodarcze i socjalne są spotęgowane napięciami tożsamościowymi. Nacjonalizm, islam, laickość, stosunek do Kurdów czy do Zachodu – to wszystko jest przedmiotem tych wyborów, nawet jeśli zajmują podrzędne miejsce wobec gospodarki. Obaj główni kandydaci przerzucają się obietnicami i groźbami. Erdoğan przekonuje wyborców, że tylko on może rozwiązać obecny kryzys i zadbać o interesy Turcji na arenie międzynarodowej. Tak jak robił to dotychczas. Kılıçdaroğlu zaś obiecuje

powrót do praworządności, demokracji, systemu parlamentarnego i dobrych relacji z Zachodem, w szczególności z UE i USA. Chce uregulować relacje z Kurdami, odesłać syryjskich uchodźców, których w Turcji jest ok. 4 mln, do domu.

Retoryka jest ostra i nie tylko retoryka. Ekrem Imamoglu, kandydat na wiceprezydenta Sojuszu Narodowego, został obrzucony na jednym z wieców kamieniami. Opozycja zaś groziła Erdoğanowi trybunałem stanu, jeśli przegra wybory. Jej strategia to według ekspertów „radikalna miłość”, czyli atakowanie prezydenta przy jednoczesnym zabieganiu o jego zwolenników.

Są to wybory stulecia nie tylko ze względu na to, że odbędą się w 100. rocznicę powstania republiki, lecz także dlatego, że chodzi w nich o wszystko albo nic zarówno dla prezydenta, jak i jego przeciwników. Jeśli Erdoğan przegra, czeka go brutalne rozliczenie jego rządów, jeśli opozycja przegra, nikt długo nie będzie w stanie rzucić mu wyzwania. Jeżeli opozycja



Kemal Kılıçdaroğlu

chce przejąć władzę, to musi to zrobić teraz. Sondaże przeprowadzone w ostatnich dniach kampanii dawały prowadzenie Kılıçdaroğlu – 49 proc. wobec 43 proc. Erdoğan z tendencją rosnącą po wycofaniu się w ostatniej chwili z wyścigu jednego z pozostałych kandydatów na prezydenta Muharrema Ince. Jeśli chodzi zaś o wybory parlamentarne, to sondaże dawały AKP i jej sojusznikom 44 proc., a opozycyjnemu Sojuszowi Narodowemu, zwanemu także „stołem sześci” – 39,9 proc. Prokurdyjska partia HDP, która popiera Kılıçdaroğlu, ale nie należy do bloku, może odegrać rolę jęczyczka u wagi. Ponieważ grozi jej delegalizacja, jej kandydaci startują z list wyborczych Partii Zielonej Lewicy (YSP).

SKOK W NIEZNANE

W zachodnich mediach dominuje przekonanie, że wybory przyniosą zmianę i zakończą erę Erdoğan. To nie jest jednak wcale takie pewne. Prezydent i jego partia wciąż mają silne poparcie wśród konserwatywnego elektoratu, który pamięta, jak wyglądał kraj, zanim Erdoğan doszedł do władzy w 2002 r. Był pogrążony w kryzysie i rządzony przez wielkomiejskie kemalistowskie elity, które gardziły muzułmanami z prowincji. Niskie stopy procentowe, których kurczowo

Dziś Turcja boryka się z wysoką inflacją, która oficjalnie wynosi 50 proc., a nieoficjalnie aż 120 proc., i postępującym kryzysem walutowym skutkującym spadkiem wartości liry

trzyma się prezydent, pozwoliły na tani kredyt. Miliony Turków zaczęło konsumować: mieszkania, samochody, wakacje. Była to Turcja, którą protestujący w czasie arabskiej wiosny stawiali za wzór. Udany mariaż islamu, demokracji i kapitalizmu. Ich zdaniem Erdoğan to silny przywódca, który tę Turcję sprzed zaledwie dekady może przywrócić.

W przeciwieństwie do Kılıçdaroğlu, który przewodniczył opozycji podczas długiej serii porażek wyborczych. Sojusz opozycyjny jest ponadto dość egzotyczny: od nacjonalistycznej lewicy po konserwatystów. Młodzi z kolei, a te wybory dla 6 mln Turków będą pierwszymi, nie pamiętają innych rządów niż Erdoğan. To znaczy z jednej strony, że głosowanie na opozycję stanowi dla nich skok w nie-

znane, ale z drugiej nie mają poczucia, że prezydent im coś dał, czego by inaczej nie mieli. Kryzys dotknął ich boleśnie, nieraz uniemożliwił studia, znalezienie pracy.

Erdoğan próbował na ostatniej prostej kampanii poprawić swoje szanse: podwoił pensje minimalne oraz wydał krocie na politykę socjalną. „Prawda jest taka, że prezydent ma lojalną bazę złożoną z ludzi, którzy wiedzą, że żyje im się za jego rządów lepiej, niż żyło się Turkom przez cały XX w.” – twierdzi Soner Cagaptay, autor biografii Erdoğan pt. „Sultan jesienią”. Ponadto Erdoğan kontroluje media, opozycji pozostają tylko media społecznościowe.

Co czeka Turcję w przypadku ponownego zwycięstwa obecnego prezydenta, jest przedmiotem sporu. Jedni twierdzą, że kraj się podniesie, wzmocni, drudzy prognozują krach gospodarczy. Ich zdaniem erdoganomika jako model się wyczerpała. W przypadku zwycięstwa opozycji poglądy są równie podzielone. Powrót do systemu parlamentarnego może się okazać niemożliwy, jeśli Sojusz Narodowy zdobędzie prezydenturę, ale nie parlament, bo byłoby to równoznaczne z oddaniem władzy.

Nadzieje Zachodu na poważną zmianę w polityce zagranicznej także mogą być płonne. Doradca Kılıçdaroğlu wprowadził podkreślił, że chce on zbliżyć się z Zachodem oraz nie zamierza blokować wejścia Szwecji do NATO, ale kemaliści to nacjonaści, nie należy więc liczyć

na zmianę w kwestiach kluczowych dla interesu narodowego, czyli Grecji, Cypru czy Kurdów w północnej Syrii. Stosunek do Rosji zapewne także się nie zmieni, bowiem by móc choćby odesłać 4 mln syryjskich Kurdów do domu, Kılıçdaroğlu będzie potrzebował zgody Moskwy. Uważa on zresztą, podobnie jak obecny prezydent, że polityka wielowektorowa działa na korzyść kraju.

Stawka tych wyborów jest bardzo wysoka, więc obie strony będą miały problem, by pogodzić się porażką. Kolejnego puczu może i nie będzie, ale należy spodziewać się oskarżeń o sfałszowanie wyborów oraz gwałtownych protestów. Napięcie i niepewność utrzymają się zapewne do 28 maja, kiedy odbędzie się II tura wyborów prezydenckich.



AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

STUDIA MBA

Narodowy Bank Polski informuje:

Szkoła Główna Mikołaja Kopernika
i Narodowy Bank Polski rozpoczynają rekrutację
na roczne studia podyplomowe MBA:

Bankowość i system finansowy

Studia Master of Business Administration przybliżą:

- ▶ funkcjonowanie systemu bankowego w gospodarce, w tym zadania banku centralnego,
- ▶ wybrane aspekty działalności banków komercyjnych,
- ▶ funkcjonowanie rynków finansowych, w tym zarządzanie portfelem inwestycyjnym i ryzykiem rynkowym.

Wykłady rozpoczną się już w czerwcu 2023 r.
w Warszawie i będą prowadzone przez
wykładowców z Polski i z zagranicy.

Projekt realizowany przy wsparciu
Akademii NBP oraz Akademii
Kopernikańskiej.

Zgłoś się już dziś!



Więcej informacji na:
akademia.nbp.pl oraz sgmk.edu.pl



NARODOWY
BANK POLSKI



SZKOŁA GŁÓWNA
MIKOŁAJA KOPERNIKA



Polacy potrafią rozpoznać totalitarną propagandę

Zarówno św. Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI są uosobieniem chrześcijańskiego oporu wobec rewolucji we współczesnym świecie. Propaganda ideologiczna jest skierowana właśnie przeciwko ludziom, którzy są symbolem tego oporu

Z kard. Gerhardem Ludwigiem Müllerem, niemieckim duchownym, byłym prefektem Kongregacji Nauki Wiary, rozmawia Goran Andrijačić

Ponownie odwiedza Eminencja Polskę, tym razem w celu promocji swojej nowej książki „Cud nieśmiertelności. Co będzie po życiu ziemskim?”, wydanej przez Esprit. Żyjemy w dynamicznych czasach dla Kościoła i całego społeczeństwa. Wydarzeniem nie tylko ważnym, lecz także kontrowersyjnym jest Droga Synodalna w Niemczech. Był Eminencja wśród tych, którzy krytykowali jej rezolucje, które m.in. otwierają drzwi do święceń kobiet i błogosławieństwa par homoseksualnych.

Gerhard Ludwig Müller: Nie jestem odosobniony w tej krytyce. Wszyscy dobrze uformowani biskupi teolodzy sprzeciwiali się ostatecznym tekstom Drogi Synodalnej. Nie ma wątpliwości, że jej teksty kwestionują niektóre fundamentalne doktryny Kościoła katolickiego. Zwłaszcza te związane z antropologicznym obrazem człowieka. Rezolucje opierają się na obrazie ludzkiej seksualności,

która nie ma nic wspólnego z piękną perspektywą ludzkiej egzystencji zawartą w Ewangelii i Bożych przykazaniach. Ani z nowym życiem danym nam w Jezusie Chrystusie.

Propozycje niemieckiej Drogi Synodalnej zaprzeczają wspólnocie, jedności ciała i duszy, za którym opowiada się chrześcijaństwo. Zamiast tego oferują dualizm ciała i duszy, który postrzega naszą cielesność jako dom duszy, który może się dowolnie zmieniać. Chodzi, jak widać, o ustępstwa wobec agresywnych ideologii współczesnego świata. Mówię o ideologii gender i LGBT+, które postrzegają osobę jedynie jako ducha lub świadomość, która może arbitralnie decydować o własnej płci, ciele czy seksualności. Jest to podejście redukujące człowieka i bogactwo różnic między płciami do ich wymiaru socjologicznego lub psychologicznego. Zatraca się świadomość człowieka jako stworzenia Bożego powołanego do przyjaźni ze Stwórcą.

Zamiast skupiania się na Bogu niemiecka Droga Synodalna oferuje skupienie się na tzw. nowoczesnej nauce. W tle tekstu można dostrzec wpływ takich autorów jak Helmut Kentler, niemiecki seksuolog z Berlina, który był zadeklarowanym homoseksualistą. Jego wpływ na współczesną pedagogikę w Niemczech jest niezwykle duży. Znany jest również z umieszczania nieletnich przestępców pod opieką rodzin, w których ojciec był pedofilem. Wpływ takich naukowców jest widoczny w tekstach końcowych.

Chodzi więc o herezję?

Powiedziałbym nawet, że jest to klasyczna apostazja, ponieważ w niektórych miejscach dokument odchodzi od fundamentalnych prawd wiary chrześcijańskiej.

Czyżbyśmy stali przed nową schizmą w Kościele?

Trudno mi przewidzieć, co się wydarzy. Widzę, że Kościół w Niemczech

nie chce odłączyć się od Kościoła powszechnego. Chce w sposób typowy dla prusko-niemieckiej hipokryzji nawrócić cały świat na swoją ideologię. Określiłbym to jako nową formę negatywnej tradycji germańskiego nacjonalizmu, którą znamy z czasów dominacji prusko-protestanckiej i czasów późniejszych. Katolicki element niemieckiego społeczeństwa zawsze stał na drodze złych ideologii, nacjonalizmu i darwinizmu społecznego. Stąd kulturkampf w czasach Bismarcka i kirchenkampf w czasach Hitlera. Powiedziałbym, że tutaj mówimy o tej samej kulturze, która teraz chce zdominować resztę Kościoła. Przedstawia się ona jako siła postępu, do której reszta musi się dostosować.

Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tak mała część Kościoła powszechnego, jedna grupa urzędników kościelnych, chce narzucić swoją wizję wszystkim innym, całemu Kościołowi? Pomyśl, że Kościół w Niemczech ma najlepszych teologów, najlepszych biskupów, których wszyscy powinni słuchać, bo nikt inny nie wie, jest bez sensu. Jestem Niemcem, ale taki sposób myślenia jest całkowicie bezsensowny. Najpierw jesteśmy katolikami, a dopiero potem wszystkim innym.

Czy chodzi o swego rodzaju wkroczenie ideologii w obszar wiary chrześcijańskiej?

Tak, możemy tak to określić. Jednak słowo Boże jest nad wszystkimi ideologicznymi podziałami na „konserwatywne” i „postępowe”. Słowo daje odpowiedzi na wszystkie wątpliwości trapiące współczesnego człowieka i nie potrzebuje pomocy żadnej ideologii. W przemówieniu we Fryburgu papież Benedykt XVI mówił o potrzebie, by Kościół nie stał się zbyt doczesny, zbyt bliski światu. Potrzebne jest, by Kościół pozostał krytyczny wobec wszystkich dzisiejszych złych ideologii, które chcą zawładnąć światem i doprowadzić go do przepaści.

W Polsce byliśmy ostatnio świadkami ataków na św. Jana Pawła II, które opierały się na fałszerstwach i dezinformacji. Jest wielu, którzy wierzą, że za tymi atakami stoją siły

tych złych ideologii, o których Eminencja mówi.

Jesteśmy świadkami rewolucji kulturalnej przeciwko chrześcijaństwu i chrześcijańskiej antropologii, która gwarantuje godność człowieka. Zarówno św. Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI są uosobieniem chrześcijańskiego oporu wobec tej rewolucji we współczesnym świecie. Propaganda ideologiczna jest skierowana przeciwko ludziom, którzy są symbolem właśnie tego oporu. Dlatego pisze się przeciwko św. Janowi Pawłowi II książki i kręci filmy oparte na fałszywych oskarżeniach. Celem ataku na papieża jest pomniejszenie jego wiarygodności, a tym samym pomniejszenie wiarygodności reprezentowanej przez niego doktryny i wizji przyszłości świata.

Czyli te ataki są skierowane przeciwko doktrynie katolickiej?

Ataki te są skierowane przeciwko Trójjedynemu, przeciw Bogu wcielonemu. Chodzi o wielki wybór, który mamy przed sobą: zrozumieć człowieka w świetle słowa Bożego i historii Boga wcielonego, czy uczynić siebie bogiem. W swojej słynnej książce „Homo deus” Yuval Harari mówi o tej negacji Boga i postawieniu człowieka na jego miejscu. Człowiek staje się kreatorem własnego losu.

Polacy w większości nie wierzyli w te kłamstwa o św. Janie Pawle II. Obserwowaliśmy duży opór przeciwko tej kampanii.

Dlatego że propaganda przeciwko św. Janowi Pawłowi II była prymitywna, jak kiedyś sowiecka. Dla mnie ta propaganda ma to samo pochodzenie co dawna komunistyczna i nazistowska. Te same ateistyczne źródła i te same argumenty. Zwykli ludzie rozpoznali tę propagandę i ją odrzucili. Wy, Polacy, macie za sobą doświadczenia z ateistyczną propagandą po latach komunistycznej i nazistowskiej, skierowanej przeciwko wam i waszej wierze. Polacy wiedzą, czym jest ateizm, i potrafią rozpoznać kłamstwa totalitarnej propagandy.

Widzę Kościół w Polsce i jego rolę dzisiaj właśnie w świetle jego doświadczeń walki z siłami antykatolickimi. Rozbiory Polski też były naznaczone

tym antykatolicyzmem. Co prawda, brała w nich udział także monarchia habsburska, ale główny ton nadawały agresywne, protestanckie Prusy i prawosławna Rosja. Ważną rolę w tym wszystkim odegrało oświecenie, które również było antykatolickie. Przyjaźń między Wolterem a cesarzową Katarzyną II jest dobrze znana, podobnie jak jego złe teksty o Polakach. Polacy mają więc wystarczające doświadczenie z takimi siłami i wiedzą, jak to jest stawiać im czoła. Sam św. Jan Paweł II był w swoim życiu prześladowany zarówno przez nazistowski, jak i komunistyczny totalitaryzm i jasne jest, dlaczego tak wielu Polaków się z nim identyfikuje.

Dziś Polska jest atakowana przez nowe antychrześcijańskie siły i ludzi pokroju Sorosa czy Gatesa, tych tzw. filantropów i ich fundacje, które chcą wpływać na media i polityków, także tych w Brukseli.

Kolejnym wydarzeniem, które naznaczyło nasze czasy, jest agresja Rosji na Ukrainę. W Polsce nie brakuje głosów niezadowolonych z postawy dyplomacji watykańskiej wobec tej wojny. Uważają, że powinna wyrażniej potępić Rosję.

To, co dzieje się na Ukrainie, jest zupełnie jasne. Władimir Putin jest agresorem i to on odpowiada za ofiary i śmierć ludzi. To podstawowy wymiar. Następny jest polityczny. Watykan i jego dyplomacja nie mają żadnego interesu politycznego ani nie są powiązane z władzą polityczną. Ich interesem jest przewyciężenie wszelkich podziałów i pomoc w zaprowadzeniu pokoju. Jednocześnie musi też troszczyć się o swoich wyznawców w Rosji. Z ich powodu Watykanowi nie jest łatwo do końca jasno potępić Moskwę jako agresora, bo zagraża to istnieniu katolików w Rosji. Papież doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co dzieje się na Ukrainie. Ma jednak świadomość, że w stosunkach z Putinem i Rosją musi być wrażliwy, by nie przegapić okazji do rozmowy z nimi. Jednocześnie – i mówię to jako kardynał Kościoła – uważam, że musimy mieć absolutną jasność co do tego, kto jest odpowiedzialny za przemoc na Ukrainie. Musimy modlić się o pokój, a także o nawrócenie agresorów.

Naszym rynku wydawniczym ukazało się właśnie tłumaczenie głośnej książki Abigail Shrier pt. „Nieodwracalna krzywda” z 2020 r. W amerykańskim oryginale nosi ona podtytuł „Transgenderowe szaleństwo uwodzi nasze córki”, a w polskim przekładzie „Tragiczne losy nastolatków, które zmieniły płeć”.

Z jednej strony książka została entuzjastycznie recenzowana w takich tytułach, jak „The Times”, „The Economist” czy „The Sunday Times”, z drugiej zaś przemilczana przez „The New York Times”, „Esquire” czy „The Guardian”.

REPORTERSKIE SLEDZTWO

Krytycy książki mają problem, ponieważ autorka jest dziennikarką „The Wall Street Journal” i liberalną feministką, wzywającą do tolerancji wobec gejów i lesbijek. Gdyby była zdeklarowaną chrześcijanką, można byłoby nie odpowiadać merytorycznie na przedstawione przez nią argumenty, lecz nazwać ją zacofaną, obskurancką i bigoteryjną fanatyczką, a następnie zażądać od pracodawców, by wyrzucili ją z pracy za poglądy.

Abigail Shrier nie kieruje się jednak motywacjami religijnymi. Jak podkreśla, dla niej fundamentalną sprawą jest wolność. Kwestią transpłciowości zajęła się w październiku 2017 r., gdy jej rodzinny stan Kalifornia ustanowił prawo grożące więzieniem pracownikom służby zdrowia, którzy odmówiliby używania wymaganych przez pacjentów zaimków osobowych. Podobną ustawę przyjął Nowy Jork w odniesieniu do pracodawców, właścicieli nieruchomości i firm. Dla liberalnej dziennikarki był to zamach na fundamentalne prawo, zawarte w pierwszej poprawce do konstytucji USA, gwarantującej każdemu obywatelowi wolność słowa. Dlatego napisała dla „The Wall Street Journal” tekst pt. „Transpłciowa wojna językowa”,

Pieniądze, ideologia i krzywdzenie dzieci

Amerykańska dziennikarka ujawnia kulisy intratnego biznesu bazującego na pseudomedycznych eksperymentach i nieodwracalnym okaleczaniu nastolatków



GRZEGORZ GÓRNY



który wywołał wiele reakcji. Z jednej strony została skrytykowana przez część środowisk lewicowo-liberalnych, z drugiej zaczęły zgłaszać się do niej osoby, które stały się ofiarami ideologii gender.

W ten sposób rozpoczęło się jej reporterskie śledztwo. Shrier przeprowadziła prawie 200 wywiadów z dziewczętami, które uznawały się za transpłciowe, a także ponad 80 rozmów z ich rodzicami. Poza tym spotykała się z nauczycielami, psychologami, psychiatrami i endokrynologami. W rezultacie powstała wstrząsająca książka ukazująca mechanizm wyrażania nieodwracalnych krzywd nastolatkom.

ZARAŻA SPOŁECZNA

Jak zauważa autorka, dysforia płciowa (czyli niezgodność między tożsamością płciową a płcią biologiczną) zawsze dotyczyła niewielkiej części populacji (niecałe 0,01 proc.) i to niemal wyłącznie chłopców. Do 2012 r. nie istniała żadna literatura fachowa na temat tego zaburzenia wśród dziewcząt, ponieważ było to zjawisko niemal w ogóle niewystępujące. W ostatnich latach sytuacja się jednak drastycznie zmieniła. Obecnie w krajach zachodnich od 2 do 9 proc. nastolatków deklaruje się jako osoby transpłciowe lub odczuwające niespójność płciową. Większość z nich stanowią dziewczynki.

Dziennikarskie dochodzenie Abigail Shrier wykazało, że w rzeczywistości mamy do czynienia z czymś w rodzaju zarazy, czyli epidemii społecznej, takiej jak np. neurastenii w XIX czy bulimia w XX w. Realne w tym wszystkim są niepokoje, udręki i cierpienia charakterystyczne dla większości dorastających nastolatków we wszystkich epokach. Nietrafna jest jednak diagnoza. Autorka zauważa, że w przeszłości także dawano fałszywe odpowiedzi na prawdziwe problemy. 30 lat temu powszechnie zalecano dziewczętom liposukcję, a 20 lat temu proponowano odkrywanie wypartych wspomnień traum z dzieciństwa,

stwa. Dziś uniwersalną receptą na problemy dojrzewania nastolatków okazuje się tranżycja, czyli zmiana płci.

Oferowane młodzieży lekarstwo – i to jest najtragiczniejszy aspekt całej sprawy – niesie z sobą o wiele poważniejsze skutki niż odsysanie tłuszczu, prowokowanie wymiotów czy poddawanie się hipnozie. Powoduje bowiem nieodwracalne spustoszenie w organizmach. Dzieciom podawane są blokery dojrzewania zawierające te same substancje, których używa się do chemicznej kastracji pedofilów. Często dziewczynki są poddawane mastektomii, czyli usunięciu piersi, oraz histerektomii – wycięciu macicy. Mimo to ich problemy nie znikają, a nawet się pogłębiają, ponieważ błędna była diagnoza. Niestety, okazuje się wówczas, iż nie ma możliwości powrotu do stanu poprzedniego – nastolatki na zawsze tracą zdrowie, płodność i przyszłe szanse na intymność.

To szaleństwo, które ogarnęło świat zachodni, jest – jak pisze Abigail Shrier – wynikiem panującego dziś kryzysu kulturowego. Przejawia się on m.in. w podkopaniu autorytetu rodziców kosztem autorytetu tzw. ekspertów, ograniczaniu wolności słowa oraz zastraszaniu naukowców, a zwłaszcza lekarzy, ośmielających się mieć odrębne zdanie. Można dodać jeszcze do tego wpływ internetowych influencerów kształtujących nowe mody, fałszywą antropologię i poprawność polityczną w świecie akademickim oraz konformizm polityków stanowiących nietolerancyjną prawą.

DOJNE KROWY

Już po wydaniu swojej książki, w lutym 2021 r., dziennikarka opublikowała tekst na temat roli, którą w przemyśle tranżycji odgrywa międzynarodowa organizacja Planned Parenthood (PP). obrońcy życia nazywają ją fabryką śmierci, ponieważ posiada największą na świecie sieć klinik aborcyjnych. Mało kto wie jednak, że jest ona również jednym z najważniejszych dostawców hormonów płciowych, co stanowi dla niej źródło olbrzymich dochodów.

Shrier rozmawiała na ten temat m.in. z pracownicą owej organizacji zatrudnioną na etacie asystenta ds. zdrowia reprodukcyjnego w placówce zlokalizowanej w 30-tys. miasteczku. Jej rozmówczyni – jak podkreśla – pozostaje zwolenniczką aborcji, jednak jest przerażona tym, jak klinika traktuje zgłaszające się po poradę dziewczęta: „dzieci z identyfikacją transseksualną są dojnymi krowami i są trzymane na haczyku przez najbliższą przyszłość, je-

Obrońcy życia nazywają międzynarodową organizację Planned Parenthood fabryką śmierci, ponieważ posiada największą na świecie sieć klinik aborcyjnych. Mało kto wie jednak, że jest ona również jednym z najważniejszych dostawców hormonów płciowych, co stanowi dla niej źródło olbrzymich dochodów

śli chodzi o wizyty kontrolne, badania krwi, spotkania itp.”. Jeśli do ośrodka PP w tak małej miejscowości zgłaszają się co dzień średnio 1–2 nastolatki, to sytuacja musi być nienormalna.

Asystentka z Planned Parenthood ujawnia szokujące kulisy działania swojej placówki: w klinice nie było lekarzy, a doradca ds. płci nie miał żadnego wykształcenia zawodowego, był za to osobą transpłciową. Nastolatki często zjawiały się w grupach koleżanek, twierdząc, że cierpią na dysfориę płciową i prosząc o podanie testosteronu. Nastrój w poczekalni był wesoły. Nikogo to nie dziwiło, choć na żadne inne zabiegi medyczne dziewczęta nie przychodzą w towarzystwie rozchichotanych rówieśniczek. Jak wspomina pracownica PP: „Przypominało to

bardziej radosne wycieczki, które nastolatki odbywały kiedyś do centrum handlowego w celu przekłucia uszu niż poważne leczenie prawdziwego zaburzenia psychicznego”. Pytania, które zadawano dziewczętom podczas wywiadu, uniemożliwiały postawienie innej diagnozy niż sugerowana: „W jakim wieku zaczęła się twoja dysforia?”, „Jakie rodzaje dysfории odczuwasz?”, „Czego oczekujesz od zmiany płci?”, „Chciałabyś operację górną?”, „Chciałabyś operację dolną?”.

UCZNIOWIE JOSEFA MENGELE

Wspomniana pracownica opowiada, że wiele dziewcząt miało poważne problemy emocjonalne, depresję, lęki, niekiedy świeże blizny po samookaleczeniach, część z nich była wykorzystywana seksualnie, jednak w klinice nikogo to nie interesowało. Niektóre pacjentki brały leki przeciwlękowe i antydepresyjne, a nawet psychotropy, ale nikt nie przejmował się tym, jak te medykamenty mogą działać w zestawieniu z hormonami płciowymi. Wszystkie procedury były bowiem skoncentrowane na zdiagnozowaniu dysfории płciowej oraz skierowaniu na tranżycję.

Na początku dziewczętom podawano testosteron w dawkach od 10 do 40 razy większych niż te, z którymi radzi sobie kobiecy organizm. Nie informowano ich o zagrożeniach, które mogą wynikać z takiej kuracji, np. zwiększonego ryzyka zawału serca lub raka endometrium, tylko dawano do podpisu dokument, w którym skutki uboczne były wypisane drobnym druczkiem na dole strony. Rozmówczyni Shrier mówi, że nigdy nie widziała, by jakaś nastolatka przeczytała te punkty przed podpisaniem zgody na tranżycję.

Z opisów dziennikarki „Te Wall Street Journal” wylania się więc przerażający obraz lukratywnego biznesu bazującego na pseudomedycznych eksperymentach i nieodwracalnym okaleczaniu na całe życie dzieci cierpiących na kryzys wieku dorastania. Nic dziwnego, że hiszpański pisarz Juan Manuel de Prada wszystkich, którzy przykładają rękę do tego procederu, nazywa uczniami Josefa Mengele. 



Jak inne narody (nie)przepraszają za Holocaust

„Żydzi wszystkiemu winni. Ich Bóg nas stworzył” – napisał figlarnie jeden z najwybitniejszych aforystów Stanisław J. Lec, który nigdy nie krył swoich żydowskich korzeni związanych z hiszpańskim Sefardem. Powyższy aforyzm nie wywołuje już jednak uśmiechu, bo temat relacji polsko-żydowskich jest wciąż sączącą się raną historii dwóch narodów, a do tego cyklicznym powodem wojny polsko-polskiej. Tym ciekawiej jest spojrzeć czasem dla odmiany, jak inne narody radzą sobie z poczuciem własnej winy wobec Holocaustu



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Do repertuaru obiegowych kłamstw należy teoria, jakoby Polacy wypierali swoje winy z wyjątkową wprawą. Obowiązujące dziś na lewicy dogmaty o współwinie polskich sąsiadów stoją co prawda

w sprzeczności z ciekawym wystąpieniem Adama Michnika na konferencji „Pamięć polska – pamięć żydowska”, na której zdiagnozował po żydowskiej stronie: „tryumfalizm bólu” i „mechanizm odrzuconej miłości” wobec Polaków, który tak jak w relacjach damsko-męskich ma sprawiać, że „nikt nie nienawidzi mężczyzny tak jak porzucona żona czy odrzucona kochanka”. Doprawdy nikt dzisiaj nie ośmieliłby się wygłosić tak ryzykownych porównań jak Michnik A.D. 1995. Nie wspominając już o tym wstrząsającym passusie z jego przemowy: „Mówi się bowiem w świe-

cie o Polakach jako o antysemitach, chociaż nie mieli swojego Laval’a czy Brasilacha, a nie mówi się tak o Francuzach, którzy ich mieli. Dlaczego? Dlatego że trzeba było znaleźć jakiś sposób, żeby usprawiedliwić Jaltę”.

Owszem, mówi się o Polakach jako o antysemitach zwłaszcza na łamach „Gazety Wyborczej”, a teksty z ul. Czerskiej płyną szerokim strumieniem do zaprzyjaźnionych redakcji „El País” czy „La Repubblica”, reprodukując mantry o polskich „żydożercach” w milionach egzemplarzy. Lewicowy salon zdaje się przyjmować jako pewnik, że tylko

on może rozstrzygać, czy jesteśmy wystarczająco światłym narodem, który rozliczył się już ze swoją grzeszną przeszłością, tak jak to uczyniły ponoć inne narody. Czyżby?

FRANCJA NIE BIJE SIĘ W PIERŚ

„Dlaczego Francji zajęło pół wieku uznanie swojej odpowiedzialności za deportację Żydów?” – zastanawiał się trzy lata temu Salomé Vincendon na portalu BFM TV, a trzeba przyznać, że niezwykle trudno znaleźć tego typu refleksję w mediach nad Sekwaną. Spadkobiercy mocarstwowej Francji nie przywykli bić się w piersi za kolaborację z nazistami. Wiadomo też, że to dopiero Jacques Chirac jako pierwszy prezydent uznał odpowiedzialność Francuzów po 50 latach od wydarzeń słowami: „Tak, zbrodnicze szaleństwo okupanta było wspierane przez Francuzów, przez państwo francuskie”. Dzięki szacunkom historyków wiemy, że z terenu Francji wywieziono aż 75 tys. Żydów do obozów zagłady. Począwszy od komisarzy rządu Vichy, przez policjantów, skończywszy na kolejarzach – wszyscy oni pomagali w dostarczaniu ofiar do fabryk śmierci. Przywołany artykuł, który mierzy się z tematem spóźnionych wyrzutów sumienia, kończy się typowym francuskim samozachwytem: mieli przecież ruch oporu i mnóstwo sprawiedliwych, którzy ocalili Żydów z Zagłady. „Uznanie tej mrocznej części francuskiej historii pozostaje więc zrównoważone przez bardziej chwalebą przeszłość kraju” – czytamy ze zdumieniem w końcówce artykułu.

Jak można sądzić, Francuzi, kolaborując z Hitlerem, i tak w końcu sami się odkupili; nam, Polakom, zaś wieczna hańba (jak twierdzi polski mainstream). A przecież nawet nie sięgając do epoki kolonialnej, Francja ma stosy trupów w szafie najnowszej historii: tortury i masakry w Algierii aż do lat 60. XX w. i odpowiedzialność za ludobójstwo w Rwandzie w 1994 r. Przygotowane ledwie dwa lata temu 600 stron raportu na zlecenie rządu tego afrykańskiego kraju opisywało zaangażowanie państwa francuskiego w przygotowanie i dokonanie ludobójstwa popełnionego w Rwandzie.

Dlatego dziwi, że francuscy publicyści wolą pochylać się z troską tylko nad polskim sumieniem (choć zwykle przez pryzmat Grossa, Grabowskiego). Ba! W ostatnich dniach kilku francuskich historyków potępiło w liście otwartym rzekome ataki partii rządzącej PiS na badania historyczne w Polsce, a w szczególności na te prof. Barbary Engelking. Jak dowiadujemy się z „Le Courrier d'Europe Centrale”: dzięki prof. Engelking narodziła się w Polsce nowa szkoła historyczna dotycząca Holocaustu, a jej dorobek jest uznawany przez najwyższe autorytety naukowe na całym świecie. I tylko jak widać my, Polacy, mamy problemy z dostrzeżeniem kopernikańskich odkryć tej nowej szkoły! Na szczęście Polska może liczyć na Francję, która zawsze jest gotowa nadzorować nasz rachunek sumienia. Potwierdził to prezydent Macron, zarzucając rok temu premierowi Morawieckiemu, że jest skrajnie prawicowym antysemitą.

FRANCUSKIE RĄK UMYWANIE

My nie zapominamy jednak o uwikłaniu Francji w Holocaust, a najbardziej rzetelną książkę w tej materii opublikował amerykański historyk Robert Paxton, w dodatku głównie na bazie niemieckich archiwaliów, bo do francuskich ograniczono mu dostęp. Jego książka „Żydzi i Vichy”, która zbulwersowała Francuzów w latach 80., doczekała się wznowienia w 2015 r., a sam autor – kolejnych fal masowego hejtu. Twierdzi bowiem, że nawet bez presji nazistów reżim Vichy gorliwie deportował Żydów, mogąc liczyć na powszechną bierność lub akceptację francuskiej opinii publicznej dla antysemickiej polityki władz. Dopiero w końcówce 1942 r., gdy Francuzi stali się świadkami okrutnego polowania i łapanek, pojawiły się nastroje sprzeciwu, które reżim odczytał jako nieprzychylnie, ale mimo to wciąż kontynuował deportacje. Paxton uważa, że reżim Vichy nie skorzystał wcale ze sposobności, by zmniejszyć skalę prześladowań, gdy Niemcy zmniejszyli swoje kontyngenty i przerzuciły siły wojska na rozpoczętą wojnę z ZSRS. Nie zaprzestał zbrodniczej kolaboracji aż do dnia wyzwolenia.

Parę lat temu Éric Zemmour stał się twarzą frontu walki z oskarżeniami Paxtona, a jego teza o tym, że władze Vichy starały się ratować zwłaszcza francuskich Żydów, nabrała rumieńców w debacie publicznej i niejako zmusiła amerykańskiego autora do powtórnego wydania książki, by zwalczać rodzącą się nad Sekwaną kreatywną szkołę badań nad Holocaustem.

Przypomnijmy więc: choć w przeciwieństwie do Francji ani jedna polska instytucja nie przyłożyła ręki do Holocaustu, to hasła o polskim antysemityzmie w czasie wojny odzywają się cyklicznie z łamów francuskich gazet za sprawą nadwiślańskich oskarżycieli w osobie Grossa i Grabowskiego. Francuzi nie byli sąsiadami, którym groził wyrok śmierci za okazanie pomocy Żydom. Ani też rasą niższą oczekującą na swój wyrok po planowanej anihilacji Żydów.

Czy wolno nam jednak tak pisać i pokrzepiać się kosztem Francuzów? Chyba tak, zwłaszcza od czasu wydania dzieł Herlinga-Grudzińskiego, którego słowa powinny wybrzmieć zwłaszcza dziś bardzo donośnie: „Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów sądzenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich”. Zestawmy słowa nieżyjącego mistrza z oskarżycielskimi słowami innego prozaika – Henryka Grynberga w nagłówku wywiadu z ostatniego numeru magazynu „Plus Minus”: „Obojętność w obliczu ludobójstwa jest cechą nieludzką”. Grynberg nie chce pamiętać, że w warunkach nieludzkich trudno być człowiekiem, a tym bardziej heroicznym.

Francuzi nie stawiają sobie tak wielu niewygodnych pytań, choć żyli pod okupacją w zgola odmiennych od Polaków warunkach. Dlatego symptomatyczne, że Paxton wspólnie z współautorem książki „Vichy i Żydzi” – Michaeliem Marrusem – konkludują zdziwieni: „To dziwne, że niektórzy nadal się zastanawiają, dlaczego tak wielu Żydów przeżyło we Francji. Przecież biorąc pod uwagę znaczące możliwości przetrwania, należy raczej pytać: dlaczego tak wielu ich zginęło?”. Przy niedawnej

75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz naczelny rabin Francji znów apelował do prezydenta Macrona, by rząd podjął skuteczniejsze kroki w walce z antysemityzmem. Haïm Korsia informował, że aż jeden na trzech francuskich Żydów twierdzi, że codziennie we Francji czuje się zagrożony, a 84 proc. z nich w wieku 18–24 lat mówi, że padło ofiarą aktów antysemickich (badania sprzed dwóch lat). To zresztą powód exodusu francuskich Żydów do Izraela, bo niekontrolowany napływ imigrantów muzułmańskich to dla nich największe zagrożenie.

HISPANIA NIE PRZEPROSI

Hiszpania ma jeszcze innego rodzaju kłopot z antysemityzmem, choć wydawałoby się, że po prześladowaniach przez inkwizycję i wygnaniu 200 tys. Żydów sefardyjskich z terenów Korony w XV w. zniknęły problemy napiętych relacji hiszpańsko-żydowskich, jako że... po prostu zniknęli ich odwieczni sąsiedzi. Niektóre środowiska żydowskie dobrze zapamiętały, że choć król Juan Carlos I z okazji 500. rocznicy wydania edyktu królów katolickich Hiszpanii (nakazującego wypędzenie Żydów z Hiszpanii) złożył historyczną wizytę w synagodze w Madrycie i przemówił, to jednak wcale nie przeprosił za ten hańbiący epizod historii. Niektórzy komentatorzy zdziwili się, że zamiast przeprosin padły nawet słowa uzasadniające rację państwową, „dla której jednolitość religijna była filarem”.

28 lat później jego syn, obecny król Filip VI, wygłosił przemówienie na V Światowym Forum Holokaustu z udziałem szefów państw i rządów z ponad 40 krajów i również nie przeprosił. Jak na ironię niechlubny dekret o wydaleniu Żydów został uchylony dopiero 476 lat później przez dyktatora Francisco Franco. Środowiska żydowskie pamiętają też dobrze, że Portugalia już w 1988 r., słowami prezydenta Mário Soaresa przeprosiła za wieki prześladowań, jakich doznali Żydzi na ich terytorium. Hiszpania okazuje się bardziej „asertywna” w przeproszaniu, choć jednocześnie trzeba podkreślić, że aby ułatwić pojednanie, już

w 2015 r. zaoferowała obywatelstwo tym, którzy udowodnią swoje sefardyjskie pochodzenie. W ten sposób do tej pory 25 tys. Żydów ze świata otrzymało obywatelstwo, choć znów nie tak wielu, jak się spodziewano, a to wskutek uciążliwej biurokracji i kosztownego procesu dowodzenia swojego pochodzenia. Dla wielu Żydów ten akt pojednania wydał się zaledwie wstępem

Nawet nie sięgając do epoki kolonialnej, Francja ma stosy trupów w szafie najnowszej historii. Dlatego dziwi, że francuscy publicyści wolą pochylać się z troską tylko nad polskim sumieniem (choć zwykle przez pryzmat Grossa, Grabowskiego)

do rozliczeń, a przewodniczący Konferencji Europejskich Rabinów, Pinchas Goldschmidt, wzywał Hiszpanię, by przeprosiła naród żydowski, zamiast próbować zabiegać o względy Izraelczyków nową ofertą przyznawania narodowości. Słowa „Zasługujemy na przeprosiny!” wybrzmiewały wielokrotnie. Bezskutecznie okazały się też prośby, by stare synagogi przekształcone w muzea i kościoły powróciły jako miejsca modlitwy Żydów.

Odnosnie do ran historii nie można wikłać reżimu Franco z jakąkolwiek formą współudziału w ludobójstwie czasu wojny. I nie tylko z tego powodu, że w Hiszpanii w owym czasie trudno było spotkać Żyda. W przeciwieństwie do reżimu Vichy reżim Franco pomógł ocalić – jak się szacuje – nawet 60 tys. Żydów, ułatwiając im ucieczkę przez Pireneje i osiedlanie się w krajach Ameryki Łacińskiej. W muzeum Yad Vashem wśród Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata znalazło się dziewię-

ciu Hiszpanów. W większości byli to członkowie hiszpańskiej służby dyplomatycznej, uhonorowani za ryzykowny wysiłek humanitarny podczas wojny. Hiszpanie są dumni z owych dziewięciu drzewek w Jerozolimie, Polacy zaś wciąż słyszą, że ich 7232 drzewek to karygodnie mało, choć tylko u nas karano pomoc wyrokiem śmierci dla całej rodziny.

KOMU ZALEŻY NA DEZINFORMACJI?

Czy o tych wstydliwych faktach z historii najnowszej Francji i Hiszpanii słyszy się dziś w debatach publicznych, czy też temat rzekomego polskiego antysemityzmu dominuje w mediach Europy? I jaka w tym rola polskiej opozycji totalnej i jej mediów? Dlatego niezwykle ciekawą lekturą jest raport działającej w Brukseli europejskiej organizacji pozarządowej o nazwie European Coalition for Israel (ECI). Pozycjonuje on europejskie partie polityczne według ich przyjaznej relacji do Izraela. Cóż za niespodzianka, że odsądzane od czci i wiary jako faszystowskie partie prawicowe Europy, takie jak PiS, Vox, Fratelli d'Italia, mają bardzo wysoką pozycję w tym zestawieniu. Między 19. pozycją PiS a 53. PO czy 126. miejscem SLD i 157. Nowej Lewicy istnieje wiele mówiący dystans. Trudno tym razem dowodzić, że macki PiS sięgnęły też Europejskiej Koalicji na rzecz Izraela, choć – jak wiemy – najzdolniejsi w tej mierze mędrcy salonowi z pewnością odkrywają jakiś tajny spisek.

Zestawienie zamykają z zerowym wynikiem partie współtworzące dzisiejszy hiszpański rząd: Podemos i Izquierda Unida, które są znane w przestrzeni publicznej z podsycania nastrojów antysemickich. Cóż z tego, skoro zapewne Maciej Stasiński lub inny korespondent z Polski za chwilę wyjaśni Hiszpanom w swoich cyklicznych tekstach na łamach „La Vanguardii” czy „El Confidencial”, że i tak Polska ma największe problemy z uznaniem swoich win.

Niestety, tak bywa najczęściej, bo sięgając powtórnie po twórczość Stanisława Leca, wypada napisać za nim: „Historia uczy, jak ją fałszować”.

K

ULTURY

*Była przekonująca
w roli mam, matek
i mamusiek. Teraz
Toni Collette pokazuje
się brawurowo
i komediowo jako
tytułowa Mafia
Mamma. Nieoczekiwanie
mianowaną matkę
chrzestną wspiera
Monica Bellucci.
Warto to zobaczyć*

O, mammo!



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Miała 22 lata, gdy australijskie „Wesele Muriel” (1994) uchyliło jej drzwi do Hollywood. Wyalienowana, pulchna wielbiicielka Abby przyniosła jej nominację do Złotego Globu i kolejne role, m.in. w kostiumowym filmie „Emma” (1996). Błyszczła w nim Gwyneth Paltrow, ale Collette nie dała się przytłumić.

Z SYNEM PO OSCARA

Trzy lata później – w trzymającym w napięciu „Szóstym zmyśle” (którego gwiazdą był Bruce Willis) – po raz pierwszy zagrała matkę. I to tak, że nominowano ją do Oscara. Mogła, cytując ulubiony zespół Muriel, zakrzyknąć: „Mamma mia!”.

Kolejnego ekranowego syna podsunęto jej w produkcji „Był sobie chłopiec” (2002). Uwagę widzów miał przykuwać w tym filmie czarujący Brytyjczyk Hugh Grant (którego międzynarodowa kariera zaczęła się w tym samym roku co Toni Collette, wraz z premierą filmu „Cztery wesela i pogrzeb”), ale pochodząca z Australii aktorka nawet w drugim planie dała się zapamiętać widzom. Tym razem jako ekscentryczna, a do tego pogubiona życiowo i pogrążająca się w depresji kobieta, która jednak potrafi stworzyć z synem poruszającą więź.

Kinowe ekranizacje rozegrała też koncertowo w tragikomedii „Mała miss” (nominacja do Złotego Globu 2007) czy w serialowym przeboju „Wszystkie wcielenia Tary” (Złoty Glob 2009). W filmie „Mamuśki mają wychodne” (2017) z humorem wpisała się w grupę kobiet, szukających odskoczni od rodzinnej rutyny. Rok później – jako artystka inspirująca się scenami z życia rodzinnego – zmierzyła się z klimatem horroru, w który zostały wciągnięte jej filmowe dzieci. Z kolei wyrazistą postać matki influencerki zagrała w gwiazdorsko obsadzonej produkcji „Na noże” (2019). Miała już



wtedy trochę prywatnych, rodzicielskich doświadczeń na koncie.

W ŻYCIU I NA EKRANIE

Mamą została stosunkowo późno. W 2008 r. przyszła na świat jej córka Sage. Trzy lata później – syn Arlo. Oboje urodzili się w Sydney, w którym aktorka mieszkała przed przeprowadzką do Hollywood. Na przenosiny zdecydowała się po ślubie (w 2003 r.) z Dave’em Galafassim, perkusistą zespołu The Finish.

To dzięki mężowi (również Australijczykowi) wróciła do śpiewania. Nim pojawiły się dzieci, jeździła z grupą w trasy, nagrała z nią kilka utworów. Przede wszystkim jednak budowała w Hollywood pozycję wszechstronnej aktorki.

Płotkarskie media nie znajdowały w jej rodzinnym życiu pożywki. Do czasu, gdy pod koniec ub.r. paparazzi przyłapali Galafassiego na plaży z inną kobietą. Małżonkowie opublikowali w mediach wpis o trwającej od jakiegoś czasu separacji, którą wobec zaistniałej sytuacji postanawiają zamienić w oficjalne rozstanie. Sprawa rozwodowa jest w toku.

(NIE)ZWYKŁA KOBIETA

Zdrada – podobnie trudna do zaakceptowania jak ta w realnym życiu – dotyka też bohaterkę filmu „Mafia Mamma”. Przychodzi w nie najłatwiejszym momencie, gdy wypieszczony, ukochany jednak opuszcza rodzinny dom, wyruszając na studia. Uporządkowana pani domu i wciąż niedoceniana w pracy specjalistka od promocji dostaje dwie wia-

domości. Jedna dotyczy niewierności męża, druga śmierci dziadka w dalekich Włoszech. Szukając odskoczni od domowych zawirowań, bohaterka postanawia wyruszyć na pogrzeb do Europy. Nie przypuszcza, że czeka tam na nią lawina szalonych zdarzeń i wyzwań.

Okazuje się, że Kristin jest jedyną spadkobierczynią biznesu dziadka. Czym zajmował się posiadacz pięknego domu i rozległej winnicy, że jego pogrzeb zamienia się w strzelaninę? I jak w starciu mafijnych rodzin ma się odnaleźć zupełnie na to nieprzygotowana prostoduszna Amerykanka?

Reżyserka filmu Catherine Hardwicke, autorka m.in. kultowego „Zmierzchu”, tak opisuje sytuację: „Opowiadamy o zwykłej kobiecie, która nigdy nie miała problemów z wymiarem sprawiedliwości, a z dnia na dzień zostaje matką chrzestną włoskiej mafii. Jej wiedza o zorganizowanej przestępczości pochodzi z popularnych programów i filmów. A to nie wystarczy, by poradzić sobie w przestępczym środowisku. Kristin strzela więc... gafę za gafą”.

Na szczęście ma obok siebie Biancę. Gra ją nadal ekscytująca włoska piękność Monica Bellucci, ale to Toni Collette może rozwinąć na ekranie wachlarz swoich aktorskich umiejętności. To dzięki niej najbardziej nieoczekiwane zwroty akcji i relacje, w które wikała się bohaterka, szalone wyzwania i wymuszona zmiana zachowań stają się prawdopodobne. Momentami są zaskakujące drapieżne lub wybuchowo zdumiewające, innym razem – rozbrajająco zabawne.

I Love Poland zwycięża w wyścigu La Larga!

La Larga to offshore'owy wyścig będący częścią hiszpańskiej imprezy żeglarskiej o nazwie Palma Vela, która jest corocznie organizowana od 2004 r.

Trasa wyścigu wiodła dookoła Majorki i Minorki oraz kilku innych niewielkich wysp: El Toro przy zachodnim brzegu Majorki, Isla del Aire na południe od Minorki oraz Archipelagu Cabrera położonego 30 mil morskich na południe od Majorki. Start i meta znajdowały się przy Palmie de Mallorca.

Załoga jachtu Polskiej Fundacji Narodowej pokonała tę trasę w 24 godziny, 38 minut i 50 sekund, zwyciężając Line Honours oraz po uwzględnieniu przeliczników wygrywając w kategorii IRC.

Pozostałe jachty grup IRC i ORC i tak dobrze nie poradziły sobie z obszarami słabszych wiatrów i kolejną jednostką dotarła na metę dopiero ponad 15 godzin po polskim jachcie.

„Kolejne zwycięstwo I Love Poland w sezonie 2023. To pasmo sukcesów w regatowej rywalizacji oceanicznej w historii Polski. Ostatnie lata przyniosły nam, Polsce, tak wiele zwycięstw, że stały się atrybutem I Love Poland. Styczniowy sukces w Transatlantic Race stanowił wyznacznik zwycięstw w całej polskiej biografii oceanicznych rywalizacji regatowych. Niesamowite, że złożony eksperyment, próba przezwyciężenia sztampy komunikowania polskiej dumy i polskiej historii przynosi takie efekty. W międzynarodowym środowisku żeglarzy I Love Poland jest już rozpoznawalnym symbolem polskiej obecności na najbardziej prestiżowych regatach świata. Projekt stanowi unikatowe przedsięwzięcie promujące przede wszystkim Polskę, a także polskie regatowe żeglarstwo oceaniczne. Ostatni rok to sukcesy regatowe oraz – co istotne – sukcesy szkoleniowe, ponieważ rozszerzyliśmy projekt o model kształcenia młodych polskich żeglarzy oceanicz-



Fot. Materiały prasowe

nych. Do preliminarza czterech edycji szkoleń zgłosiło akces ponad 1 tys. żeglarzy, adeptów i profesjonalistów. Dziękuję kapitanowi i załodze za dostarczanie emocji pasjonatom żeglarstwa oceanicznego i życzę dalszych zwycięstw” – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Załogę jachtu podczas regat stanowili po raz kolejny sami Polacy, którzy zostali wyłonieni podczas kolejnych edycji szkoleniowych organizowanych przez Polską Fundację Narodową. Szkolenia mają na celu doskonalenie umiejętności zawodowych zawodników oraz umożliwianie polskim sportowcom spróbowania swoich sił w żeglarstwie oceanicznym – w prestiżowych, międzynarodowych zawodach.

„Cieszymy się, że przygotowana przez nas formuła szkoleń młodego pokolenia polskich żeglarzy przynosi efekty. Jacht I Love Poland rozwija żagle i świetnie sobie radzi w kolejnych regatach w 2023 r.

Warto podkreślić, że w załodze jachtu startują tylko polscy sportowcy, w tym ci wyłonieni podczas edycji szkoleniowych, a także członkowie kadry narodowej czy mistrzowie świata i Europy w swoich kategoriach” – dodał Michał Góras, wiceprezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

W br. ILP wygrał Line Honours regat RORC Transatlantic Race, a następnie był drugi na mecie w RORC Caribbean 600, zajmując trzecie miejsce w klasyfikacji IRC Overall. Zwyciężył także w St. Maarten Heineken Regatta, co potwierdza świetną formę polskiej załogi, w której żeglują m.in. uczestnicy programów szkoleniowych oraz zawodnicy Polskiego Związku Żeglarskiego.

Jacht I Love Poland po tym niezwykle udanym startowym weekendzie jest już z powrotem w Walencji, gdzie załoga przeprowadza zaplanowany i cykliczny serwis przygotowujący jacht do europejskiego sezonu.

Łysina hipisa

Swego czasu opowiedziałem Rafałowi Ziemkiewiczowi, jak to Adam Michnik werbował mnie do III RP. Rok 1988 lub 1989. Od kilku lat są mordowani kapłani przez komando śmierci SB. Ostatni z nich, ks. Sylwester Zych, w lipcu 1989 r., już po okrągłym stole.

Byłem wtedy pistoletem Mordoru. Robiłem najbłyszkośliwsze i najlepiej sprzedające się podziemne pismo, które wcale nie miało zamiaru wychodzić na powierzchnię. Za rok czy dwa zamieszczę w „BruLionie” aprobatywny wywiad z sadomasochistką, zorganizuję festiwal filmów satanistycznych w krakowskiej Rotundzie. Uważam wówczas, że sadomasochiści są taką samą mniejszością jak homoseksualiści, że mają prawa. Blablabla. Akceptuję też stosowanie skrajnej przemocy aż po użycie bomb, by chronić męczone przez producentów kosmetyków bezradne małpki.

Na początku lat 90. kontaktujemy się też z włoską Partią Radykalną Marca Pannelli i frontmanki-prostytutki Ciccioliny. Jesteśmy forpocztą kulturowej rewolucji. Tęczowi, zieloni, o ekoreligii jeszcze wtedy nie było w Polsce mowy. Więc Adaś mówi do swojego, tak sądził.

Długo szukałem jego mieszkania, al. Róż czy al. Przyjaciół. Na pewno nie Dzierżyńskiego czy Ofiar Komunizmu ani też imienia Róży Luksemburg: „Ku-ku-k...wa, komuniści są już passé. Teraz naszym wrogiem są czarni, totalitaryzm narodowy, antysemitki czarnosecinny naród...”

Byłem wtedy anarchistą i ateistą, Bóg był dla mnie archetypem, szatan kusym z ludowych bajek, ale miałem zdroworozsądkowe spojrzenia na sprawy Kościoła. Giedroyciowi parę lat później ten anarchistą tłumaczył, że to jest jedyna instytucja na świecie, która zrobiła więcej dobrego niż złego, tak w proporcjach 51 do 49. Książę się obraził. Więc spokojnie próbowałem Adasia wyprostować: „Czyś ty się z ch...em na główki pozamieniał? (wtedy przeklinałem z upodobaniem). Jaki antysemityzm? Pojedź do Holandii, do Francji. U nas antysemityzm jest werbalny, niegroźny, przed wojną wyszedł z kwestii ekonomicznych...”

Wiem to, bo wszystkie kamienice wokół krzepickiego rynku były po wojnie opuszczone. Przeżył jeden krzepicki Żyd. Mosiek. Ludzie mówili, że pilnuje żydowskiego złota. Ale nie przyłożyli w 1943 r. ręki do ich eksterminacji. Na granitowych polodowcowych otoczekach, którymi był wybrukowany krzepicki rynek, pozostała nie tylko ich krew, lecz także krzepiczanie, którzy spędzonym i zastraszoną próbą podawali a to bochenek chleba, a to kawał sera na drogę do miejsca zagłady. Ich matki i ich ojcowie byli czujni. Jeden z nich przeklinał potem, bo zakrważył kolbę karabinu również krwią głupiego Polaczka. A nie znosił jej widoku na swoich rękach jak Hitler, no i też był wegetarianinem.

*Ostatnimi laty
w przestrzeni publicznej
obserwowałem
skuteczny werbunek.
Uległ mu mój znajomy.
Sieje dziś zgorszenie
wśród katolików*

Leszek Maleszka miał/ma echolalię, jąkał się na końcu słowa i tym nas wzruszał, Adaś jąkał się po Bożemu, chociaż nie wiem, czy za taki tekst by się nie obraził. Więc gdy swoim uwodzicielskim jakanem nie przekonał mnie, że trzeba walczyć z czarnymi, z narodem, zaczął straszyc: „Nie dostaniecie nigdzie pieniędzy na pismo, mam obstawioną całą Europę... Wymażę cię z kultury...” Rozmowa zakończyła się moim uśmiechem i frazą, która podoba mi się do dzisiaj: „Adaś, spokojnie, to my będziemy pisali encyklopedie...”

Rafał odwodził mnie od opowieści o tym, jak to w latach 90. co jakiś czas przychodził do niego możny towarzysz i pytał: „Może zakombinuje pan coś z nami?”



ROBERT TEKIELI

Byli cierpliwi, przychodzili co rok, co dwa lata. „Wie pan, jak jest. Teraz jest dobrze, może kiedyś będzie pan potrzebował po cichu coś zarobić”.

Werbunek. Kogo nie warto zabić, tego kupić. Nie możemy oddać władzy, bo zawiśniemy zamiast liści. Kogo trzeba – mordowali, bp. Chrapka, Marka Karpia, Michała Falzmanną.

Takie są dalekosiężne plany rewolucji. Najważniejsze są kadry – mawiał towarzysz Lenin. Towarzysz Michnik to wiedział.

* * *

Swego czasu zakładałem katolicką telewizję TV Ave. Zgromadziłem ponad 1 mln zł, na start było potrzebne jeszcze 1,5 mln. Jeździłem po Polsce, szukałem. Wtedy topowym hierarchą był bp Zyciński. Z Warszawy, przesiadka w Krakowie. Kupuję bilet, przy kasach jakieś zamieszanie. Idę na peron, szukam wagonu. Przy drzwiach rodzajowa scenka. Facet i dziewczyna. Jak się później okazało, przyszedł ją odprowadzić. Dziewczyna dojrzała, zgrabna, zajada ze smakiem arbuza. Sok spływa jej po twarzy. Zarejestrowałem: dziwna akcja. Plamiące rzeczy je się wcześniej, by się nie pobrudzić. Potem dodałem dwa do dwóch. Inteligencik oficer. Tępak kazalby jej jeść banana... W przedziale okazuje się, że dziewczyna siedzi naprzeciwko. Numer mojego miejsca zdobyli przy kasie. Ma duży dekolt, metalowy duży krzyżyk. Kiedy wyjęła książkę Uty Ranke-Heinemann, iluzja przysła. Wcześniej jako pierwszy w Pol-

sce przetłumaczyliśmy te antykościelne frazy. Bo zrobiliśmy w „bruLionie” zeszyt feministyczny, a jakże. Wstałem i wyszedłem z przedziału, sprawa dla mnie stała się jasna, zbyt dużo szczęśliwych przypadków, no i dobrze czytam mowę ciała. Nie podobalem się dziewczynie, a mimo to mnie kokietowała. Podróż spędziłem w Warszawie.

Gdy wróciłem, dziewczyna wbrew sobie usiadła w taki sposób, że mogłaby to zrobić tylko tępą prostytutka. Widać było, że jest zdeterminowana i przestraszona. Zapytałem ją, czy nosi krzyżyk w celach jedynie estetycznych, wściekła się, zrozumiała, że została przejrzana. Bała się, że zostanie ukarana przez szantażujących ją postesbeków. Podstawienie panny figurantowi się nie udało. Korek, worek, rozporek. Czerwona jaskółka nie wypełniła zadania. Inaczej niż pani Kramek. Posieci krąży taki filmik z nią i z jednym z postsowieckich oligarchów.

W zupełnie innej sprawie kilka lat później miała miejsce podobna akcja, kiedy jakieś służby próbowały wprowadzić człowieka do budowanego przeze mnie diecezjalnego warszawskiego Radia Józef. A wtedy jechałem do katolickiego biskupa, nie wiedząc, że jest tajnym współpracownikiem, chciałem zbudować ogólnopolskie medium katolickie. Miałem ku temu doświadczenie, talent, udało się zebrać poważne środki. Ale na rynku nie miała prawa ukazać się zawodowa, zawodniacka stacja wyznaniowa. To popsułoby wiele interesów.

Potem werbowano mnie dwa razy. Ale o tym innym razem.

Swego czasu przyszła do O. nasza przyjaciółka. Była zrozpaczona, bo mąż w robocie znalazł jakąś kobietę. W małżeństwie

znajomych były dzieci, więc nieszczęście, niepokój, smutek. Uradziły, że pójde i dam mu w mordę. Oczywiście się zgodziłem. Wypytałem o wszystkie szczegóły i zrozumiałem, że nie muszę. Opowiedziałem facetowi historię o gościu, który wchodzi właśnie w wiek średni, smuga cienia, takie rzeczy. O młodszej od gościa pannie z dzieckiem, która ma dość codziennej szarpniny i finansowej zenady. O tym, jak typowała przez dłuższy czas jelenia, szukając nowego tatusa dla swojego synka i dodatkowych 6 tys. miesięcznie. O tym, że przy okazji rozbije małżeństwo i zostawi inną kobietę z dziećmi, oczywiście nie myślała albo było jej to obojętne. Uwiesć sfrustrowanego mężczyznę nie jest trudno. Pracowali razem, więc mogła robić to wiarygodnie, powoli. Gościu od pewnego momentu zaczął mnie uważnie słuchać. Potem powiedział mi, co się w ciągu najbliższych miesięcy stanie. Otrzeźwiał natychmiast, gdy zaczęła go szantażować ciężą, co przewidywał jeden z zarysowanych mu scenariuszy. Cwane babsko, więc oczywiście o żadnej ciąży nie było mowy. Po pół roku rozbiła inne małżeństwo.

Ostatnimi laty w przestrzeni publicznej obserwowałem skuteczny werbunek. Uległ mu mój znajomy. Sieje dziś zgorzenie wśród katolików.

Gdybym był jego oficerem prowadzącym, podstawiliby mu w pewnym momencie kobietę. Ale nie od razu. Jest dokładnie sprofilowany, byłaby kropka w kropkę z jego sennych marzeń. I czekałbym na kryzys.

Nie teraz, bo cenniejszy dla nas jest – ku chwale rewolucji i pieniądza, dla dobra Eu-

ropejczyków i Polaczków! – dopóki mówi z wnętrza Kościoła. Będziemy go utrzymywać tam, jak długo się da, ale nie jest głupi. Więc gdy już przejdzie mu zachłyśnięcie się trwającą życiową hossą, trzeba będzie znaleźć silniejszy uchwyt, będziemy musieli założyć mu munsztuk, metal w zęby, żeby nie wierzgnął, musimy mieć kompromat, silniej go związać i rozbić mu rodzinę. Wtedy będzie przekonany, że nie ma gdzie wrócić. Wtedy będzie nasz. Pójdzie tam, gdzie zechce. Aż go zużyje.

Spiski i apokalipsy? Tekieli już całkiem zszedł z uma? Właśnie sekta antropozoficzna, odłam lucyferycznego ruchu teozoficznego, założona przez Rudolfa Steinera, kupiła w Polsce codzienną gazetę. Steinerowskie Goetheanum spalili narodowi socjaliści. Sekta od 100 lat prowadzi okultystyczne szkoły waldorfskie. Kilka z nich jest w Polsce. Nienawidzą chrześcijaństwa. Wierzą w rzeczy niestworzone. Dziś promują wierzenia LGBT+. Jakie interesy mogą mieć w naszym katolickim kraju? Postrzęganym przez nich jako ultrakatolicki?

Spiski i apokalipsy. O tajnych mniej lub bardziej ruchach, stowarzyszeniach osobistych wrogów Pana Boga pisałem parę tygodni temu. Ruch wolnomularski, teozoficzny, antropozofowie od 100, 200 lat pracują nad przemianą Ziemi, jak widać – również tej ziemi. Miałem okazję pracować w jednej instytucji z szefem Łoży Wielkiego Wschodu. Nawracał mnie na swoje wierzenia. Ja mówiłem mu o Jezusie Chrystusie.

Swego czasu o masonskiej sekcji, która ponownie zarejestrowała się w Polsce po 1989 r., pisała „Gazeta Wyborcza”. Strukturalne organizacyjnej masonerii poświęcili całą rozkładówkę tego wtedy decydującego „o wszystkim” dziennika. Był to oczywiście ruch wyprzedzający, w swoim czasie o tym więcej napiszę.

Zresztą dalej ich ten temat kręci. „Gazeta Wyborcza”, 14 maja 2019 r.: „O czym dyskutują masoni? Bioetyka, cyfryzacja i dochód podstawowy dla wszystkich”, „Po co istnieją tajne stowarzyszenia intelektualne i jaką rolę odgrywają w społeczeństwie? Mówi Jean-Philippe Hubsch, wielki mistrz loży Grand Orient de France”... Jeden wróg, rodzinne i wspólnotowe więzi, więc u nas z nimi resortowe dzieci i rodzimi esbecy.



Fot. Shutterstock



Kino



Klasyka rządzi!



Zrobię drobny coming out. Przebrałem się w dzieciństwie za D'Artagnana, krzycząc: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!”. Wszystko przez nadawaną w TVP w latach 80. japońską kreskówkę opartą na klasyku Aleksandra Dumasa z 1844 r., gdzie najsłynniejsi muszkietierowie świata mieli twarze uroczych pieszków. Moja miłość do psów wzięła się chyba z tego samego źródła. Ile dostaliśmy ekranizacji powieści Dumasa? Nawet nie chce mi się liczyć, ale w Atosa, Portosa, Aramis i D'Artagnana wcielali się tacy giganci kina, jak John Malkovich, Gérard Depardieu, Jean-Paul Belmondo, Kiefer Sutherland, Charlie Sheen, Gabriel Byrne, Jeremy Irons, Gene Kelly, Richard Chamberlain, Michael York, Oliver Reed... Lista jest głębsza niż podłóż kard. Richelieu, w którego czerwone szaty też przebierali się najwięksi aktorzy z kina anglosaskiego, rosyjskiego i oczywiście francuskiego. Mieliśmy wersje musicalowe (w ukraińskiej z 2004 r. D'Artagnana zagrał, uwaga, Wołodimir Zelenski!), japońską mangę i wariacje kina akcji w 3D.

Tegoroczny dwuczęściowy (premiera drugiej części w grudniu) „Trzej muszkietierowie: D'Artagnan” Martina Bour-

boulona jest najbardziej widowiskową ekranizacją, kosztującą imponujące 72 mln euro. Francusko-belgijsko-niemiecko-hiszpańska koprodukcja przebija rozmachem wszystkie hollywoodzkie wersje i jednocześnie nie zbacza ze ścieżki europejskiej tradycji kina płaszcza i szpady. 150 lokacji we Francji, w tym zdjęcia w Luwrze, niemal 10 tys. statystów i 650 koni na planie! W każdej scenie czuć rozmach w starym, dobrym stylu, gdy kino było realizowanym przez żywych ludzi widowiskiem, a nie tylko wytworem CGI.

Czy w przypadku takiej klasyki jak „Trzej muszkietierowie” jest potrzebne streszczenie akcji? Któż przecież nie zna opowieści o ambitnym, walecznym i młodym Gaskończyku D'Artagnanie (François Civil), który dołącza do podziwianych XVII-wiecznych królewskich komandosów francuskiego króla? Razem z Atosem (jak zawsze bombardujący charyzmą Vincent Cassel), Portosem (Pio Marmaï) i Aramisem (Romain Duris) wchodzi w sam środek intrygi przeciwko królowi Ludwikowi (Louis Garrel) oraz królowej (Vicky Krieps), utkanej przez makiawelicznego kard. Richelieu (Éric Ruf) i tajemniczą femme fatale Milady de Winter

(Eva Green). Dlaczego więc warto na nowo odkryć tak dobrze znaną opowieść?

Pojedynki, konne gonitwy, spiski, tawerny, romantyczna miłość – wszystko, co kochamy w kinie płaszcza i szpady, jest tutaj na miejscu. „Trzej muszkietierowie: D'Artagnan” ma kilka fenomenalnych wizualnie scen, nawiązujących do epickich przygodowo-historycznych filmowych fresków z kina sprzed komputerowej rewolucji. Czy jest to wielkie kino? Nie, ale jest doskonale rozrywkowe. Czy tylko dla dzieciaka lat 80. wychowanego na kasetach VHS? Chyba nie, skoro mój 13-letni syn, który jest już ukształtowany przez epokę marwelową, był więcej niż usatysfakcjonowany. Klasyczna opowieść o honorze, przyjaźni i poświęceniu działa tak samo w wydaniu japońskiej bajki z psami i widowiska za niemal 80 mln dol. To pokrzepiające, że europejska klasyka Dumasa wciąż działa. Mimo rozkładu zachodniego świata, pomieszczenia pojęć, niszczenia cnoty męstwa ta klasyczna opowieść o oświecie sprzed rewolucji francuskiej nadal porywa serca. Rację miał Jason Statham, rozwalając łotra „Niezniszczalnych”. „Klasyka nadal rządzi!”

„TRZĘ MUSZKIETEROWIE: D'ARTAGNAN”
FILM W KINACH

Włoch, który zmienił Amerykę



Quentin Tarantino, Martin Scorsese, Steven Spielberg, Darren Aronofsky, Giuseppe Tornatore, Dario Argento, śp. Ennio Morricone i oczywiście Clint Eastwood – oni wszyscy oddają w tym dokumencie hołd jednemu człowiekowi. Sergio Leone po angielsku się nie porozumiewał. Oscara nie zdobył i w Hollywood nie kręcił filmów. Zmienił jednak amerykańskie kino jak żaden europejski twórca. No może poza Alfredem Hitchcockiem.

Nie byłoby kariery Clinta Eastwooda, gdyby tajemniczy włoski reżyser czegoś, co później ochrzczono mianem „spaghetti westernami”, nie zaprosił go do Europy, by nakręcić nieformalny remake „Straży przybocznej” Akira Kurosawy. To paradoks, ale legenda Eastwooda narodziła się nie w USA, ale w beztrąsko uderzających w mitologię Dzikiego Zachodu cynicznych, brutalnych i transgresyjnych europejskich westernach, kręconych na Sycylii, w Hiszpanii czy w Jugosławii. Tarantino pięknie pokazał ten fenomen w swoim arcydziele „Pewnego razu... w Hollywood” (2019). Nie byłoby Tarantino bez Leone. Nie byłoby krwawych baletów Sama Peckinpaha (choć tworzył równocześnie z włoskim maestro), gdyby nie trylogia dolarowa (1964–1966) Leone. Nie byłoby w końcu takiej legendy Ennio Morricone, gdyby Leone nie zaprosił go do swojego uniwersum.

Pokazywany na ostatnim festiwalu w Wenecji i trafiający do nas na platformie SkyShowtime dokument „Sergio Leone: Włoch, który wynalazł Amerykę” nie jest klasyczną biografią. To raczej list miłosny do kina Leone, który stał się jednym z najbardziej wpływowych reżyserów w XX w., choć nigdy nie wygrał żadnego znaczącego festiwalu filmowego i zmarł w wieku 60 lat w 1989 r., kilka lat po realizacji najważniejszego filmu w swojej karierze „Dawno temu w Ameryce” z Robertem De Niro w jednej ze swoich najbardziej wybitnych ról. Produkcja tego filmu kosztowała Leone wiele zdrowia, a może nawet życie. Przemontowany przez hollywoodzkich, pазernych producentów fresk jest dziś uważany za arcydzieło absolutne, ale w czasie premiery został odrzucony przez widzów i krytyków. Kilka lat wcześniej Leone nakręcił „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”, obsadzając w roli bardzo czarnego charakteru hollywoodzkiego anioła Henry’ego Fondę. Żaden amerykański reżyser nie miał odwagi na taką transgresję obsadową.

Wybitni filmowcy opowiadają, jak gigantycznym przełomem był „Dobry, zły i brzydki”, który ja osobiście uważam za największe arcydzieło westernu w historii kina. Leone był przede wszystkim reżyserem kina gatunkowego, ale chętnie mieszał z sobą wszystko, co wyniósł z włoskiej kinematografii, kręcąc w latach 50. kostiumowe widowiska „Ostatnie dni Pompei”. Reżyser w swoich westernach i w definiującym jego twórczość „Dawno temu w Ameryce” (1984) mieszał z sobą operowe widowisko, włoską komedię (commedia all’italiana) i epickie opowieści o przemijaniu. Jeden z najważniejszych autorów komiksów Frank Miller (m.in. „Sin City”)



opowiada, jak mocno Leone korzystał z komiksowej spuścizny, nie odłączając się od wrodzonej, dziecięcej radości. A Robert De Niro zwraca uwagę na to, że Leone przeczuwał, że ich wspólny film może być jego ostatnim i robił wszystko, by go kręcić jak najdłużej. Ekstremalne zbliżenia twarzy, zwalnianie i przyspieszanie tempa, granie ciszą i dźwiękiem otaczającego świata (kilkunastominutowe, pozbawione dialogów otwarcie „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”) oraz fenomenalnie wykorzystana muzyka. Ennio Morricone, który udzielił wywiadu tuż przed śmiercią w 2020 r., opowiada, jak istotna dla Leone była muzyka, którą puszczał również podczas kręcenia na planie. Morricone napisał muzykę do ponad 400 filmów w kinie i telewizji, ale to właśnie eklektyczne kompozycje do westernów Leone przeszły do legendy.

Leone nie został za swojego życia odpowiednio doceniony. Cóż, geniusze już tak mają. Choć wyrósł on z samego jądra włoskiego przemysłu filmowego (jego mama była gwiazdą niemego kina, a ojciec reżyserem), to Sergio poszedł w stronę kina popularnego. Długo zajęło światu kina stawiać go w jednym rzędzie z Fellinim, Viscontim, Rossellinim czy De Sicią.

To jednak jego wizjonerstwo miało przemożny wpływ na późniejsze pokolenia amerykańskich reżyserów, co potwierdzają na ekranie tacy giganci, jak Spielberg i Scorsese. Nie chodzi tylko o westerny czy postmodernizm Tarantino, lecz także... uniwersum „Star Wars”. Przecież Mandalorianin jest wzorowany na „człowieku bez imienia” o twarzy Eastwooda, czego twórcy nie ukrywają. Może dlatego i w tym dokumencie jest scena po napisach, co jest dziś standardem kina Marvela i DC? Nie przegapcie więc przeżabianej anegdoty opowiedzianej przez Tarantino.

„SERGIO LEONE: WŁOCH, KTÓRY WYNALAZŁ AMERYKĘ”
FILM DOSTĘPNY NA SKYSHOWTIME

16. edycja
Gdańskiego
Festiwalu
Muzycznego

Posłuchaj gry laureatów najważniejszych konkursów muzycznych

Już za cztery dni, 19 maja, rozpocznie się 16. edycja Gdańskiego Festiwalu Muzycznego, wydarzenia, którego z pewnością nie mogą się doczekać miłośnicy muzyki poważnej nie tylko w grodzie nad Motławą

Festiwal ma charakter międzynarodowy i pozwala przez tydzień obcować z wieloma uznanymi na świecie artystami, którzy zaprezentują wybitne dzieła muzyki dawnej i współczesnej. Sponsorem głównym festiwalu jest Energa, wchodząca w skład Grupy Orlen.

Organizatorzy festiwalu tradycyjnie już angażują laureatów konkursów muzycznych o znaczeniu światowym. I tak podczas tegorocznej inauguracji festiwalu zagra Meruert Karmenova, laureatka II nagrody Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Koncert w Gdańsku znalazł się w oficjalnej puli nagród tego konkursu. Nagroda festiwalu znalazła się także w puli nagród

Międzynarodowego Konkursu Muzyki Kameralnej im. Johanna Brahmsa, na którym wystąpią jego zwycięzcy – Heathcliff Trio oraz laureaci Festiwalu Pianistyki Polskiej. Jest to wieloletnia tradycja. Organizatorzy nawiązali także współpracę z jednym z najważniejszych konkursów pianistycznych na świecie – Międzynarodowym Konkursem Pianistycznym im. Van Cliburna w USA. W edycji 2023 wystąpi dwoje jego laureatów: Anna Geniushene i Dmytro Choni.

Zapowiedzią przypadającą w 2023 r. Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych będzie niezwykle wieczór z udziałem jednego z jurorów – Tobiasza Kocha. Artysta na fortepianie z epoki zagra utwory Fry-

deryka Chopina, które będą jednocześnie ilustracją muzyczną do pierwszego niemego filmu o Chopinie zrealizowanego we Francji w 1927 r. Gwiazdą koncertu finałowego z kolei będzie laureat I nagrody Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w Leeds (2021) – Alim Beisembayev.

Festiwal od lat jest wspierany przez najważniejsze podmioty gospodarcze związane z Pomorzem Gdańskim i nic nie zmieniło się w tej kwestii po wpięciu w struktury Orlen gdańskiej Energi, po połączeniu Lotosu z Orlenem oraz utworzeniu multienergetycznego koncernu, którym stała się Grupa Orlen. To właśnie Energa jest bowiem głównym sponsorem tegorocznej edycji GFM.

PROGRAM 16. EDYCJI GFM

19.05.2023, godz. 19

- Sala Koncertowa Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - Laureatka Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu 2022 **Meruert Karmenova** – skrzypce
 - Orkiestra Symfoniczna Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - George Tchitchinadze** – dyrygent
- ### 20.05.2023, godz. 18
- Ratusz Staromiejski w Gdańsku
 - Mirosław Pachowicz** – fagot
 - Izabela Paszkiewicz** – fortepian
- ### 20.05.2023, godz. 20
- Studio Koncertowe Radia Gdańsk
 - Koncert Gdańsk
 - Camerata Gedanica

Andrzej Kacprzak – dyrygent 21.05.2023, godz. 20

- Centrum św. Jana w Gdańsku
 - Polski Chór Kameralny Schola Cantorum Gedanensis
 - Capella Bydgosciensis
 - Jan Łukaszewski** – dyrygent
- ### 22.05.2023, godz. 19
- Sala Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - Laureat Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Van Cliburna (Fort Worth, Texas USA) 2022 **Dmytro Choni** – fortepian
 - Polska Filharmonia Kameralna Sopot
 - Wojciech Rajski** – dyrygent
- ### 23.05.2023, godz. 17
- Studio Koncertowe Radia Gdańsk
 - Recital fortepianowy
 - Laureaci Nagrody im. Jerzego Waldorffa na Festiwalu

Pianistyki Polskiej 2022

- ProKosz Piano Duo
 - Yehuda Prokopowicz i Eryk Koszela** – duet fortepianowy
- ### 23.05.2023, godz. 19
- Centrum św. Jana w Gdańsku
 - Valse de l'adieu
 - Tobiasz Koch** – fortepian
 - historyczny, Recital chopinowski będący ilustracją muzyczną pierwszego francuskiego filmu niemego o Chopinie z 1927 r.
- ### 24.05.2023, godz. 19
- Sala Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - I nagroda Międzynarodowego Konkursu Muzyki Kameralnej im. Johanna Brahmsa 2022
 - Heathcliff Trio
 - Ashley Tong** – skrzypce (Wielka Brytania)
 - Sebastian Kolin** – wiolonczela (Wielka Brytania)

Jonathan Siahhaan – fortepian (Dania/Indonezja)

- 25.05.2023, godz. 19**
 - Sala Koncertowa Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - Laureatka Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Van Cliburna (Fort Worth, Texas USA) 2022 **Anna Geniushene** – fortepian
 - Orkiestra Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy
 - Mykola Diadiura** – dyrygent
- ### 26.05.2023, godz. 19
- Sala Koncertowa Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - Laureat Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w Leeds 2021
 - Alim Beisembayev** – fortepian
 - Orkiestra Symfoniczna Polskiej Filharmonii Bałtyckiej
 - Eugene Tzigane** – dyrygent



Prapremiera musicalu „Kopernik” we Fromborku

Wielki spektakl w hołdzie dla wielkiego astronoma

Przed nami kulminacja obchodów Roku Mikołaja Kopernika

550. rocznica urodzin wielkiego astronoma i 480. rocznica jego śmierci zostanie w sposób niezwykle uczczona 20 i 21 maja na Wzgórzu Katedralnym przed bazyliką archikatedralną Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Andrzeja we Fromborku, gdzie na scenie plenerowej odbędzie się światowa prapremiera musicalu „Kopernik”, przygotowanego przez Operę Krakowską. Spektakl, którego powstanie i realizację wspiera jako mecenas Orlen, wejdzie jesienią na stałe do repertuaru opery pod Wawelem.

Krakowianie doskonale znają część biografii Mikołaja Kopernika związaną z jego studiami w Akademii Krakowskiej, co stanowi początek opowieści o największym polskim astronomie, opowieści, która przedstawi całe jego późniejsze życie.

– Od początku jego drogi, od pierwszej fascynacji astronomią aż do schyłku życia, aż do łoża śmierci, na którym – jak głosi legenda – dostał do ręki wydanie swojego dzieła. Będziemy mu towarzyszyć przez całe życie w jego trudach, w jego codzienności – mówi Alben Grabowska, autorka libretta, znana lekarz neurolog i wzięta pisarka, znana chociażby z autorstwa powieści „Stulecie Winnych”, na podstawie której emitowano serial dla Telewizji Polskiej. „Kopernik” nie jest pierwszym musicaliem, do którego Alben Grabowska napisała libretto. W 2020 r. Filharmonia Warmińsko-Mazurska wystawiła musical „Pora jeziora” z tekstem jej autorstwa.

Marcin Franc, odtwórca roli Mikołaja Kopernika, uważa, że granie takiej postaci to zawsze ekscytujące doświadczenie. Twórcy i pomysłodawcy przedstawienia planują pozwolić Kopernikowi odłożyć na chwilę astrolabium i przemówić do widzów językiem, który trafi do umysłów i serc.

Widowisko będzie mieć formę musicalu, który będzie budować nastrój m.in. dzięki piosenkom oddającym emocje. Daniel Wyszogrodzki, autor tekstów piosenek, opowiada, że będzie to mieszanka lirycznego songu Anny, sprzeczek Mikołaja z Dantyszkiem i wujem oraz dramatycznych piosenek Andrzeja, brata Kopernika, który choruje na trąd. Oprócz wątku miłosnego i historii przyjaźni będą też poruszane problemy rodzinne i rozterki duchowe. Całość zostanie wykonana przez zespół Opery Krakowskiej, orkiestrę, balet, chór oraz aktorów wyłonionych w castingu. Jakub Szydłowski, reżyser musicalu „Kopernik”, zapowiada, że przed artystami stoi ogrom pracy.

Autorem muzyki jest Tomasz Szymuś, znany i ceniony dyrygent, kompozytor i aranżer. Choreografię spektaklu opracowali Jarosław Staniek i Katarzyna Zielonka. Zascenografię odpowiada Grzegorz Policiński. W organizację tak ogromnego widowiska – w sumie na scenie przed bazyliką wystąpi aż 200 artystów – jest zaangażowanych wiele podmiotów, w tym oczywiście Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku. Swojego wsparcia realizacji tego projektu udzielił także niezawodny mecenas najważniejszych wydarzeń kulturalnych – Orlen.

OBSADA

Mikołaj Kopernik: Marcin Franc, Marcin Jajkiewicz, Janusz Kruciński
Andrzej Kopernik, Wydawca 3: Wojciech Daniel, Karol Drozd
Łukasz Watzenrode, Wydawca 1: Damian Aleksander, Paweł Tucholski
Jan Dantyszek: Paweł Erdman, Marcin Sosiński
Anna Schilling: Agnieszka Przekupień, Anastazja Simińska
Aleksander Sculteti: Tomasz Bacajewski, Jeremiasz Gzyl
Jerzy Joachim von Lauchen (Retyk): Dominik Bobryk, Michał Dudkowski
Andreas Osiander: Alan Bochnak, Marcin Wortmann
Krystyna Stulpawitz: Karolina Gwóźdź, Kamila Najduk
Kasper Stulpawitz, Wydawca 2: Piotr Janusz, Maciej Tomaszewski
Lalkarz: Krzysztof Prystupa, Rafał Iwański
Chór, Balet i Orkiestra Opery Krakowskiej

REALIZATORZY

Muzyka, kierownictwo muzyczne: Tomasz Szymuś
Libretto: Alben Grabowska
Teksty piosenek: Daniel Wyszogrodzki
Reżyseria: Jakub Szydłowski
Choreografia: Jarosław Staniek, Katarzyna Zielonka
Scenografia, światło: Grzegorz Policiński
Kostiumy: Anna Chadaj
Dyrygent: Piotr Sułkowski
Przygotowanie chóru: Janusz Wiergacz
Asystent kierownika muzycznego: Joachim Kołpanowicz
Asystent reżysera: Agnieszka Sztencel, Anna Popiel
Inspicjent: Justyna Jarocka-Lejzak, Mateusz Makselon
Sufler: Dorota Sawka, Maria Mitkowska

PARTNER DODATKU



CZYTAJ TEKSTY SWOICH ULUBIONYCH AUTORÓW

WSPIERAJ UCZCIWE, WOLNE,
POLSKIE MEDIA



Jesteśmy po
właściwej stronie
– tam, gdzie
umiłowanie Ojczyzny

JACEK KARNOWSKI

Konsekwentnie
bronimy prawdy. Udaje
się dzięki wsparciu
Czytelników

MARZENA NYKIEL

Pro Polskie, wolne
media są kluczem
do bezpiecznej
Polski

MICHAŁ KARNOWSKI

Korzystaj z e-prenumeraty **SIECI** i **HISTORII**
oraz dostępu do Premium **+** **wPolityce.pl**

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Dwie debaty o suwerenności energetycznej i surowcowej Polski

Jak zmienia się Polityka Energetyczna Polski do 2040
– dokument, który reguluje działania instytucji rządowych
i spółek energetycznych, surowcowych i wydobywczych
na kolejne lata, jest właśnie nowelizowany

**Jakie znaczenie zyskują odnawialne źródła energii
i jak będziemy budować polskie elektrownie jądrowe?**

**Jak zapewnić Polsce surowcową niezależność
i dywersyfikować dostawy strategicznych paliw?**



PARTNER
STRATEGICZNY:



PARTNER
GŁÓWNY:



PARTNERZY:



Silne podmioty gospodarcze sprostają transformacji

Polska musi postawić na rozwój odnawialnych źródeł energii i energetykę jądrową – nie tylko wielkoskalową, lecz także na nowoczesne modułowe reaktory, by przeprowadzić transformację energetyczną. To główne wnioski z debaty zatytułowanej „Kierunek zielona energia – rola źródeł odnawialnych i polska transformacja z wykorzystaniem energetyki jądrowej”, która otworzyła Energetyczne Forum wGospodarce.pl



Transformacja jest konieczna ze względu na politykę klimatyczną UE i wiek naszych aktywów energetycznych. Musi być przyjazna ludziom – zapewniał w czasie debaty wiceminister aktywów państwowych Maciej Małecki. – Rząd Zjednoczonej Prawicy jest gwarantem, że te zmiany nie uderzą w polską gospodarkę i nie odbędą się kosztem społeczeństwa, tak jak to miało miejsce na początku lat 90. w przypadku reform Balcerowicza.

Z kolei wiceminister klimatu i środowiska Ireneusz Zyska przekonywał, że rząd chce przeprowadzić transformację w taki sposób, by zarówno przemysł, jak i cała gospodarka zyskały na tym procesie, a jednocześnie by jednym z kluczowych jego elementów pozostała suwerenność energetyczna.

Gośćmi debaty byli także Dawid Jackiewicz, wiceprezes Orlen Synthos Green Energy, Kamila Koźbial-Loba, wiceprezes ds. operacyjnych w spółce Enea Innowacje, Artur Michalski, zastępca prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, i Piotr Podgórski, dyrektor ds. transformacji KGHM Polska Miedź.

PEP 2040 OD NOWA

Transformacja w kierunku gospodarki i energetyki niskoemisyjnej została zapisana w założeniach znowelizowanej Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. Wiceminister klimatu i środowiska zapowiedział w czasie debaty, że celem jest osiągnięcie za siedem lat połowy energii ze źródeł odnawialnych (brutto), a dekadę później – 74 proc. Dodał, że to oznacza dla Polski całkowite odwrócenie proporcji, i to w stosunkowo krótkim czasie, bo obecnie wytwarzamy trzy czwarte potrzebnej energii w elektrowniach węglowych.

Rząd przewiduje, że na odnawialne źródła postawią nie tylko największe firmy, które już teraz realizują projekty morskich farm wiatrowych na Bałtyku. Zakłada również, że będzie przybywać prosumentów.

– Osiągnęliśmy wielki sukces – w ciągu ostatnich lat potroiliśmy udział OZE w różnych technologiach w krajowym miksie energetycznym, przekraczając 23 GW.

Jeszcze większego skoku w rozwoju rynku dokonaliśmy w obszarze instalacji prosumenckich, których obecnie jest ponad 1,2 mln. Zakładamy, że za 10 lat może ich być nawet kilkanaście milionów. Takie możliwości daje m.in. wprowadzona do ustawy o OZE instytucja prosumenta wirtualnego – mówił wiceminister Ireneusz Zyska.

Zdaniem wiceministra aktywów państwowych Macieja Małeckiego silne podmioty będące pod kontrolą państwa są gwarantem bezpieczeństwa dostaw energii i surowców i mogą skutecznie dokonać transformacji energetycznej w Polsce. – Państwo musi mieć wpływ na strategiczne obszary gospodarki, szczególnie energetykę – dodał minister Małecki.

Transformacja wynikająca m.in. z realizowanej przez Unię Europejską

polityki klimatycznej obejmie wiele sektorów gospodarki, ale obecnie jest głównym wyzwaniem dla przedsiębiorstw szeroko rozumianej branży energetycznej.

W opinii wiceministra Małeckiego były konieczne radykalne zmiany i konsolidacja w sektorze paliwowym, bo to właśnie PKN Orlen bierze na siebie ogromną część transformacji. Spółka po przejęciu prawie trzy lata temu gdańskiej grupy Energa zamknęła też w ub.r. proces fuzji z Grupą Lotos oraz Polskim Górnictwem Naftowym i Gazownictwem. Tym samym powstał koncern multienergetyczny, który zaplanował do 2030 r. inwestycje o wartości 320 mld zł.

ŚWIATOWY ZASIĘG

Zdaniem wiceprezesa Dawida Jackiewicza dzięki konsolidacji PKN Orlen zyskał status koncernu o pozycji światowej. – Nabraliśmy mocy sprawczej, która pozwala nam nawiązywać sojusze gospodarcze i stawać się bardziej konkurencyjnymi – mówił. – Dzięki fuzjom uda się obniżyć koszty transformacji, której nie możemy uniknąć – dodał.

– Neutralność klimatyczna, na którą stawia Unia, oznacza wiele wyzwań, ale najważniejsze, by zmiany następowały w sposób bezpieczny i sprawiedliwy z akceptacją społeczną – mówiła wiceprezes Enea Innowacje Kamila Koźbial-Loba. – Założenia zaktualizowanej Polityki Energetycznej Polski wskazują, iż Enea przyjęła właściwy plan i strategię na kolejne lata. Dodała też, że energetyka musi się zazielenić.

Grupa ma w planach zakup 480 MW i budowę własnych 700 MW w OZE. Ponadto w kozienickiej elektrowni buduje nowoczesne bloki gazowe o wysokiej efektywności, które w przyszłości będą mogły spalać także wodór.

Także KGHM Polska Miedź, który należy do największych odbiorców energii w Polsce, wobec wymagań polityki klimatycznej UE musi również korzystać ze źródeł niskoemisyjnych. – Obecnie jesteśmy drugim na świecie producentem srebra i siódmym miedzi, by tę pozycję na rynku utrzymać, musimy być konkurencyjni. To jest dla nas jednym z kluczowych wyzwań



Fot. Andrzej Wiktor

w kontekście pakietu klimatycznego – mówił w czasie debaty dyrektor Piotr Podgórski. – Musimy mieć ciągłość dostaw energii, by zapewnić procesy produkcyjne, a chodzi o zapotrzebowanie na energię elektryczną na poziomie ponad 3 TWh rocznie. Odbiorcy naszych produktów z jednej strony pragną utrzymania dotychczasowych cen za miedź, srebro czy złoto, a z drugiej oczekują, iż będą one wytwarzane z wykorzystaniem zielonej energii, nawet jeżeli wiąże się z tym dodatkowe koszty. Mamy nadzieję, że odpowiedź na te wyzwania będą małe, modułowe reaktory atomowe (tzw. SMR).

REAKTOR ZAMIAST BLOKU WĘGLOWEGO

Wiceminister Ireneusz Zyska wskazał w czasie debaty na konieczność zapewnienia Polsce stabilnych dostaw energii w kontekście zwiększenia produkcji z OZE, których sprawność zależy od warunków pogodowych. – Musimy bazować na stabilnych źródłach, a to oznacza, że konieczna jest modernizacja małych jednostek węglowych (bloki 200 plus) i utrzymanie ich w systemie, a także budowa energetyki jądrowej – stwierdził Ireneusz Zyska. – Dlatego w planach mamy zarówno duże elektrownie jądrowe, jak i wykorzystanie technologii małych reaktorów – dodał.

Spółka Orlen Synthos Green Energy podjęła współpracę w tej kwestii z GE Hitachi. W kwietniu OSGE zawarł porozumienie z instytucjami rządowymi USA – Exim Bank i International Development Finance Corporation (DFC) – w sprawie finansowania projektów typu SMR. Chodzi o 4 mld dol. wsparcia, które spółka ma otrzymać na inwestycję w reaktory BWRX-300. Wiceprezes Orlen Synthos Green Energy Dawid Jackiewicz zapewniał, że OSGE stawia na budowę floty SMR, ponieważ na realizację tego typu obiektów potrzeba znacznie mniej czasu niż na budowanie dużych elektrowni jądrowych.

Jackiewicz wskazał, że SMR wymagają także niższych nakładów inwestycyjnych niż elektrownie wielkoskalowe. Reaktory BWRX-300 wybrane przez Orlen mogą zastępować z czasem bloki węglowe o podobnej mocy, zaspokaja-

jąc lokalne potrzeby dotyczące energii dla miast i przemysłu oraz miejskiego ciepła. – Ogłosiliśmy na razie siedem lokalizacji, ale w planach jest budowa kilkudziesięciu reaktorów. Tylko taki plan sprawi, że Polska bezpiecznie przejdzie przez transformację – dodał.

Także Kamila Koźbial-Loba uważa, że implementacja technologii SMR jest niezbędna do przeprowadzenia transformacji. – Widzimy duże możliwości zastosowania małych reaktorów. Stawia one również szansę dla sektora ciepłownictwa, który wymaga zmian i inwestycji, by obniżyć poziom emisyjności – mówiła wiceprezes Enei Innowacje.

– Według danych prezesa URE polowa koncesjonowanych firm ciepłowniczych to takie, których moce wytwórcze wynoszą od 10 do 50 MW i będzie im bardzo trudno całkowicie przejść na źródła odnawialne, dlatego w tej sytuacji sprawdzą się małe reaktory o mocy kilkudziesięciu megawatów – dodała Kamila Koźbial-Loba.

Dyrektor Piotr Podgórski z KGHM mówił o znaczeniu małych reaktorów w kontekście ograniczenia emisji w przemyśle. – Analizujemy różne możliwości, obserwujemy, jak postępują przygotowania do uruchomienia SMR i mamy umowę z firmą NuScale – dodał. Jego zdaniem dla rozwoju tej technologii w Polsce ważne będą rozstrzygnięcia prezesa Państwowej Agencji Atomistyki w kontekście złożonych wniosków o wydanie tzw. ogólnej opinii dla poszczególnych technologii reaktorowych. KGHM już w ub.r. złożył wniosek do polskiego urzędu dozoru jądrowego o wydanie takiej opinii. KGHM prowadzi też prace nad wyborem optymalnej lokalizacji dla swojego SMR.

WIELKIE PIENIĄDZE

Transformacja energetyczna jest nie tylko procesem wieloletnim, lecz także niezwykle kosztownym, liczonym w setkach miliardów złotych.

– Chodzi o potężne wydatki na inwestycje, ale chcemy, by jak najwięcej technologii z nimi związanych pozostawało w naszym kraju, zapewniając rozwój gospodarczy i wiele nowych miejsc pracy – mówił w podczas debaty Maciej Malecki.

Wiceminister Ireneusz Zyska uważa, że ze zdobyciem finansowania polskie firmy nie będą mieć problemów. Po pierwsze, wszystkie fundusze unijne w obecnej perspektywie budżetowej zakładają w znacznym udziale finansowanie tzw. zielonych projektów energetycznych, a ponadto oferta banków na finansowanie projektów związanych z odnawialnymi źródłami jest bardzo duża.

Wsparcie dla przedsiębiorstw oferuje także Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW), który dotychczas wydatkował ok. 0,5 bln zł na finansowanie projektów w energetyce.

– Sam program „Czyste Powietrze” opiewa na kwotę 100 mld zł – mówił w czasie debaty wiceprezes funduszu Artur Michalski. – Na inwestycje w sektorze ciepłowniczym mamy także pulę środków, np. na przedsięwzięcia kogeneracyjne to 3 mld zł, a na źródła odnawialne – 2 mld zł – dodał wiceprezes NFOŚiGW.

Jego zdaniem, jeśli tylko firmy przedstawią dobre projekty, to mogą liczyć na dofinansowanie.

Wiceprezes Michalski apelował także w czasie debaty, by firmy jak najszybciej zgłaszały się do NFOŚiGW, gdyż powoli kończą się środki w postaci dotacji, a w kolejnych latach będzie pojawiać się więcej możliwości uzyskania preferencyjnych pożyczek.

Fundusz w ostatnich latach wspiera także poprawę efektywności źródeł bazujących na paliwach kopalnych. – Choć wiele banków już kilka lat temu odeszło definitywnie od finansowania takich przedsięwzięć, to jednak ze względu na specyfikę naszego kraju i bardzo duże wykorzystanie węgla zdecydowaliśmy się na programy poprawiające właśnie ich efektywność, uznając, że to pierwszy etap, zanim przejdziemy na źródła zielone – mówił Artur Michalski.

Najnowszym programem uruchomionym przez NFOŚiGW w styczniu br. jest „Energia dla wsi”. Cel tego projektu to wspieranie inwestycji energetycznych i rozwijanie OZE na obszarach wiejskich, takich jak małe elektrownie wodne czy biogazownie, na których budowę inwestor może otrzymać nawet 20 mln zł.

Oprac. AE



KGHM
POLSKA MIEDŹ



Zielona Kopalnia KGHM w Chile



**Sierra Gorda
100% energii z OZE**



Sierra Gorda to jedna z pierwszych kopalni na świecie w pełni zasilana energią pochodzącą ze źródeł odnawialnych. Polski koncern KGHM to siódmy na świecie producent miedzi i drugi na świecie producent srebra.

Energetyczne forum wGospodarce.pl



O dywersyfikację i bezpieczeństwo trzeba stale walczyć

Polska zdołała uniknąć kryzysu w dostawach ropy i gazu dzięki skutecznej polityce rządu i największych przedsiębiorstwach. Teraz wyzwaniem staje się transformacja, którą trzeba przeprowadzić rozważnie i z zapewnieniem bezpieczeństwa surowcowego. To główne wnioski z debaty zatytułowanej „Sukces dywersyfikacji dostaw surowców, czyli jak zadbać o bezpieczeństwo surowcowe i paliwowe kraju”, która odbyła się w ramach Energetycznego Forum wGospodarce.pl



Jej uczestnicy podsumowali dotychczasowe działania na rzecz zróżnicowania kierunków importu ropy i gazu do Polski. Omówili również najważniejsze wyzwania związane z zapewnieniem stabilności dostaw surowców w nowej rzeczywistości geopolitycznej, która wynika z agresji Rosji na Ukrainę, a także w kontekście wymagań polityki klimatycznej.

Gośćmi debaty byli Krzysztof Tchórzewski, poseł, były minister energii, Robert Perkowski, wiceprezes PKN Orlen, Paweł Stańczyk, prezes zarządu spółki PERN.

SUCHĄ STOPĄ PRZEZ KRYZYS

– Okazało się, że byliśmy do tej sytuacji, którą wywołała napaść Rosji

na Ukrainę, lepiej przygotowani od innych krajów w Europie – mówił Krzysztof Tchórzewski, który jest szefem zespołu doradców premiera. – Kryzys nas dotknął w dużo mniejszym stopniu niż innych, a gdy chodzi o bezpieczeństwo dostaw, poradziliśmy sobie bardzo dobrze w związku z blokadą importu z Rosji. Ta sytuacja mogła wywołać u nas kryzys, a jednak go uniknęliśmy.

Wojna doprowadziła z jednej strony do podwyżek cen surowców i energii w Europie, a w krajach bazujących na rosyjskim gazie ziemnym, w których był w znacznym stopniu wykorzystywany do produkcji energii, rządy wzywały obywateli do jej oszczędzania. Tak było m.in. w Niemczech.

Prezes Paweł Stańczyk uważa, że Polska przeszła przez ten kryzys suchą stopą. I wymienił kilka tego czynników: konsekwentna polityka dywersyfikacji surowców, którą prowadzi rząd, oraz wprowadzenie ponad sześć lat temu pakietu paliwowego. – Dzięki niemu udało się wygrać wojnę z mafią paliwową, na czym wszyscy zyskali – nie tylko rafinerie i sprzedawcy paliw, lecz także całe społeczeństwo oraz budżet państwa – dodał.

Wiceprezes PKN Orlen Robert Perkowski ocenił, że udało się uniknąć kryzysu energetycznego dzięki odpowiedzialności, z jaką w ostatnich latach wzmacniano bezpieczeństwo energetyczne kraju. – Polska gospodarka, rząd i korporacje mogą sobie pogratulować – powiedział.

Tuż po wybuchu wojny na Ukrainie PKN Orlen zrezygnował z importu rosyjskiej ropy drogą morską, a w br. także z transportu rurociągiem Przyjaźń, którego północna nitka biegnie z Rosji przez Białoruś do Polski (i dalej do wschodnich Niemiec). Ropociąg powstał jeszcze w czasach Związku Sowieckiego i przez niemal pięć dekad stanowił główną trasę importu ropy do rafinerii w Płocku i Gdańsku.

Robert Perkowski przypomniał podczas debaty, że jeszcze w 2015 r. ponad 90 proc. ropy płynęło z Rosji i kraj ten pokrywał 90 proc. potrzeb Polski, jeśli chodzi o import gazu. – Nie przedłużyliśmy kontraktu naftowego

z koncernem Rosneft i w marcu br. rozwiązaliśmy umowę z Tatnieftem w związku z przerwaniem dostaw rurociągami – podkreślił. – Wcześniej przez kilka lat intensywnie przygotowywaliśmy się do takiej sytuacji.

PKN Orlen testował jeszcze przed 2022 r. różne gatunki ropy w zakładzie w Płocku, dlatego mógł z powodzeniem zastąpić rosyjskie dostawy innymi. Obecnie koncern sprowadza ropę z rejonu Morza Północnego, Afryki Zachodniej, basenu Morza Śródziemnego, a także Zatoki Perskiej i Meksykańskiej. Strategicznym partnerem Orlenu jest Saudi Aramco, największy producent ropy na świecie, który został również inwestorem w gdańskim Lotosie. Umowa między spółkami przewiduje dostawy surowca w ilości wystarczającej do pokrycia nawet 45 proc. zapotrzebowania koncernu na ropę. Orlen prowadzi również własne wydobywanie ropy naftowej w Polsce i na norweskim szelfie kontynentalnym.

Po 24 lutego 2022 r. nowego znaczenia nabrał Naftoport w Gdańsku, za który odpowiada spółka PERN, podobnie jak za rurociągi naftowe i paliwowe oraz bazy magazynowe w naszym kraju. Wraz z porzuceniem transportu rosyjskiej ropy szlakiem Przyjaźni właśnie dostawy do gdańskiego terminala stały się najważniejsze dla polskich zakładów – w Gdańsku i Płocku.

Prezes Paweł Stańczyk przypominał podczas debaty inwestycje spółki, dzięki którym możliwe stało się sprowadzenie ropy drogą morską po rezygnacji z rosyjskich dostaw. Mówił także o dostosowaniu rurociągów do transportu różnych jej gatunków jednocześnie.

– Dziś północ kraju jest także szczególnie ważna – szczególnie Gdańsk – a Naftoport bije kolejne rekordy, gdy chodzi o przeładunek ropy. Np. w styczniu było to 3 mln ton, a w lutym i w marcu jeszcze więcej.

Zdaniem szefa spółki PERN inwestycje rozpoczęte 7–8 lat temu dały teraz – w sytuacji krytycznej – efekty. – Ale trwają kolejne i już jesienią będzie gotowych osiem dużych zbiorników, łącznie ok. 250 tys. m³ – opowia-

dał. – Planujemy również inwestycje w Gdańsku, gdzie powstanie kolejne stanowisko do obsługi tankowców.

Poza tym trwają prace w gdyńskim porcie. Chodzi o to, by mógł przyjmować tankowce z produktami naftowymi o większej ładowności. Dzięki temu funkcjonująca tam baza paliw PERN w Dębogórze będzie mogła jeszcze efektywniej wywiązywać się ze swoich zobowiązań wobec klientów. Baza ta intensywnie rozbudowuje także swoje pojemności na olej napędowy i kolejowy front załadunkowy, by paliwo ze statków jeszcze szybciej mogło być eksportowane w głąb kraju.

PERN jest również gotowy do budowy drugiej nitki naftociągu z Gdańska do rafinerii w Płocku. Przedsiębiorstwo przystąpi do realizacji projektu, jak tylko inwestycja będą zainteresowani jego partnerzy.

Prezes Stańczyk przypomniał także o rozbudowie magistrali paliwowej z Boronowa do Trzebini.

W kilka tygodni po napaści na Ukrainę Rosja odcięła dostawy gazu do wielu państw, w tym do Polski. Jednak decyzja Gazpromu nie zachwiała bezpieczeństwem gazowym kraju dzięki intensyfikacji dostaw gazu, przede wszystkim amerykańskiego, w formie skroplonej przez Terminal LNG im. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Z kolej jesienią ub.r. został uruchomiony gazociąg Baltic Pipe, dzięki któremu możliwe są dostawy gazu norweskiego przez duński system do naszego kraju. Wiceprezes Perkowski przypomniał w czasie debaty, że nasz kraj – w przeciwieństwie do innych w Europie – miał przygotowane zapasy gazu. – Naszą dodatkową polisą jest własne wydobywanie gazu, prowadzone w kraju – podkreślił.

– Dywersyfikacja i bezpieczeństwo to proces ciągły, trzeba o nie zabiegać – przekonywał wiceprezes Orlenu. I dodał, że trzeba być dużym graczem, by móc podpisywać umowy długoterminowe z największymi firmami na rynku naftowym czy gazowym.

Podobną opinię przedstawił Krzysztof Tchórzewski. Jego zdaniem „Polska od wejścia do Unii Europejskiej cały czas jest państwem frontowym, ale w okresie pokoju i spokoju nie do

końca zdawaliśmy sobie z tego sprawę”. – Gdy nadeszła wojna, to okazało się, że konsolidacja i koncentracja pokazały, że tylko duże podmioty mogą sprawnie działać – zaznaczył.

BRUKSELA NIE DO KONCA ROZUMIE POLSKIE REALIA

Wiceprezes PKN Orlen podkreślał w czasie debaty, że procesy transformacji i wdrażania wymogów polityki klimatycznej UE powinny przebiegać w sposób ewolucyjny. – Jest duże oczekiwanie, byśmy stali się gospodarką bezemisyjną, ale to nie może być proces gwałtowny.

Tymczasem decyzje podejmowane w tych kwestiach przez europarlament i Komisję Europejską powodują, że powstaje wrażenie, jakby uznały, iż Unia składała się krajów, będących w jednakowym położeniu i na jednakowym poziomie. – Tak nie jest – mówił Robert Perkowski.

Np. gdy mówiono Polsce o konieczności inwestycji w źródła odnawialne i wygaszania węgla w energetyce, to równocześnie Niemcy uruchamiały nowe elektrownie węglowe, jak Datteln IV. I z tym nie było problemów.

Były minister energii wskazał na inne zagrożenia wynikające z presji polityki klimatycznej. – Ze względu na wielkie ambicje Brukseli w sprawie bezemisyjności zaczynamy być w coraz trudniejszej sytuacji, gdy chodzi o utrzymanie konkurencyjności europejskiego przemysłu – mówił podczas debaty. – To widać choćby po danych z Indii, świadczących o dynamicznym rozwoju kraju, podobnie jest w Chinach, zatem świat przyspiesza, a Europa nie jest już liderem wzrostu gospodarczego – dodał poseł Krzysztof Tchórzewski.

Jego zdaniem szczególnie zastanawiające jest to, że powstaje wrażenie, jakby Unia Europejska na własne życzenie zmierzała w stronę recesji, podczas gdy inne kraje stawiają na rozwój gospodarczy. – Stąd też pytania o sensowność poczyniń związanych transformacją i polityką klimatyczną – mówił szef doradców premiera. ➤

Oprac. AE

*Piąta edycja programu „Mój Prąd” obsługiwanej przez NFOŚiGW.
Dla kogo i jak wysokie dofinansowanie przygotowano?*

Dotacje z NFOŚiGW na produkcję taniej energii ze słońca

Montowane na domach prywatnych instalacje fotowoltaiczne to w dużej mierze zasługa programu „Mój Prąd”. Kolejny, piąty już nabór wniosków, który Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej rozpoczął 22 kwietnia br. rozszerza możliwość uzyskania dotacji także na zakup oraz montaż pomp ciepła i kolektorów słonecznych. Możliwe jest też – podobnie jak w czwartej edycji – uzyskanie wsparcia na zainstalowanie magazynów energii elektrycznej i ciepła oraz systemów zarządzania energią

Tak jak poprzednie wersje również „Mój Prąd” 5.0 jest skierowany do prosumentów, którzy na dzień składania wniosku posiadają przyłączoną mikroinstalację fotowoltaiczną o mocy od 2 kWh do 10 kWh i rozliczają się za wyprodukowaną energię elektryczną w systemie net-billing, który polega na tym, że prosument niewykorzystaną przez siebie energię sprzedaje do sieci i kupuje ją, kiedy instalacja nie pokrywa zapotrzebowania na energię.

W piątej edycji można ubiegać się o dofinansowanie dla urządzeń, których zakup, montaż i uruchomienie nastąpiło nie wcześniej niż 1 lutego 2020 r. Wspierane są poniesione wydatki związane z zakupem i montażem mikroinstalacji PV oraz urządzeń dodatkowych. W obecnej odsłonie programu „Mój Prąd” wnioskodawców zaszeregowano do trzech grup uprawnionych do uzyskania dotacji.

KTO MOŻE LICZYĆ NA WSPARCIE Z NFOŚiGW?

Pierwsza grupa to grantobiorcy rozliczający się z wyprodukowanej energii elektrycznej w systemie net-billing, którzy nie skorzystali dotychczas z dofinansowania do mikroinstalacji fotowoltaicznej.

Drugą grupą są grantobiorcy rozliczający się z wyprodukowanej energii elektrycznej w systemie opustów tzw. net-metering, którzy nie skorzystali dotychczas z dofinansowania do mikroinstalacji fotowoltaicznej, pod warunkiem przejścia na

system rozliczania wyprodukowanej energii elektrycznej w systemie net-billing.

Trzecia grupa wnioskodawców to osoby rozliczające się z wyprodukowanej energii elektrycznej w systemie opustów tzw. net-metering, którzy już skorzystali z dofinansowania do mikroinstalacji fotowoltaicznej m.in. z programu „Mój Prąd”, ale spełniają dodatkowe trzy warunki.

Pierwszy z nich zakłada, że mikroinstalacja fotowoltaiczna, na którą otrzymano już dofinansowanie, została przyłączona i opłacona w okresie kwalifikowalności kosztów, czyli od dnia 1 lutego 2020 r. Kolejny to zmiana systemu rozliczania wyprodukowanej energii elektrycznej na system net-billing – obowiązujący od dnia 1 kwietnia 2022 r. Ostatnim warunkiem jest zgłoszenie dodatkowego urządzenia z listy urządzeń wskazanych w programie „Mój Prąd”.

ILE PIENIĘDZY Z NFOŚiGW DOSTANĄ PROSUMENCI?

Zaszeregowanie do jednej z trzech grup grantobiorców ma znaczenie w określeniu wysokości przyznawanej dotacji.

Wysokość dofinansowania (do 50 proc. kosztów kwalifikowanych, ale nie więcej niż):

- mikroinstalacja fotowoltaiczna: do 6000 zł (tylko grupa 1 i 2 wnioskodawców);
- mikroinstalacja fotowoltaiczna + urządzenie dodatkowe: do 7000 zł (grupa 1 i 2 wnioskodawców); do 3000 zł (grupa 3 wnioskodawców).

Urządzenia dodatkowe: magazyn ciepła, urządzenie grzewcze:

- magazyn ciepła: do 5000 zł
- gruntowe pompy ciepła, czyli pompy typu grunt-woda oraz woda-woda: do 28 500 zł
- pompa ciepła typu powietrze-woda o podwyższonej klasie efektywności energetycznej: do 19 400 zł
- pompa ciepła typu powietrze-woda: do 12 600 zł
- pompy ciepła typu powietrze-powietrze: do 4400 zł
- magazyn energii elektrycznej: do 16 000 zł
- system zarządzania energią EMS/ HEMS: do 3000 zł
- kolektory słoneczne c.w.u.: do 3500 zł

W piątej odsłonie programu „Mój Prąd” zaszły zmiany formalne, obejmujące m.in. wymagania techniczne dla niektórych urządzeń dodatkowych, w tym dla systemu EMS i HEMS. Warto zapoznać się z informacjami umieszczonymi na stronie www.mojprad.gov.pl, gdzie znajdują się szczegóły co do wymaganych dokumentów załączonych do wniosku o dofinansowanie.

Zmieniło się też źródło finansowania, którym jest Program Operacyjny Infrastruktura i Środowisko w ramach Osi priorytetowej I Zmniejszenie emisyjności gospodarki Działania 1.1 Wspieranie wytwarzania i dystrybucji energii pochodzącej ze źródeł odnawialnych. Pociąga to za sobą zmianę treści na tabliczce informacyjnej, wymaganej po otrzymaniu dofinansowania.



CRAIG TAYLOR*

Londyn nie daje sobie przerywać

Craig Taylor jest Kanadyjczykiem. Obecnie mieszka w Londynie. Pierwszy raz trafił nad Tamizę ponad dwie dekady temu. W 2014 r. na sześć lat przeniósł się do Nowego Jorku. Efektem tamtego wyjazdu była książka „Nowojorczycy. Miasto i ludzie” (u nas wydana w ub.r. przez Znak Litera Nova). Teraz do polskich księgarni trafiła „Londyńczycy...”

I w przypadku tej pozycji czytelnik dostaje szansę na niezwykle spotkania. Wsluchanie się w historie i głosy wielu osób. Pochodzących z całego świata. Są wśród nich m.in.: pilot samolotu pasażerskiego, lektorka, którą usłyszeć można w londyńskim metrze, pracownik biura rzeczy znalezionych, instruktor jazdy, hydrauliczka, manikiurzystka, terapeuta osób w żałobie, uliczny fotograf, kapłanka wiccańska, handlarze z rynku hurtowego, raper, właściciel galerii sztuki, pracownica klubu nocnego, makler, zastępca szeryfa Londynu, kierowniczką urzędu stanu cywilnego, przedsiębiorca pogrzebowy, renowator zabytkowych zegarów...

„Chciałem znaleźć ludzi, którzy snili o Londynie, zmagali się z Londynem, zostali przez niego nagrodzeni albo skrzywdzeni” – pisze we wstępie autor. „Ludzi, którzy spędzili w nim jeden dzień i wzięli nogi za pas. Ludzi, którzy nigdy nie wyjechali. A może również takich, którzy na co dzień zajmowali się miejskimi sprawami, wprawiali to miasto w ruch”.

W ciągu pięciu lat Taylor przeprowadził rozmowy z przeszło 200 osobami. „Napór dźwięków, szumu, historii potrafił mnie czasem poobijać. Londyn nie daje sobie przerywać” – komentuje.

Jednak w tym wielowątkowym nurcie losów i osobistych doświadczeń udało mu się nie zgubić indywidualnego, niezwykle plastycznego stylu rejestrowania spotkań. Pisze m.in.: „Powiedziano mi, że każdy londyńczyk ma historię do opowiedzenia, ale to nieprawda. Niektórzy w zetknięciu z tym miastem kurczą się jak ukwiał potraktowany solą, stają się cieniem samych siebie i tęsknią za wsią. Najczęściej jednak słowo »Londyn« budziło wielkie emocje. Pytani o to miasto

uśmiechali się szeroko, krzywili lub wzdychali, czasem przewracali oczami albo zaczynali snuć wspomnienia. Londyn był dla nich nowym początkiem, piekłem, krainą z bajki; był zbyt duży, zbyt obmierzły; był deską ratunku, dumą, punktem honoru, niefortunnym problemem, miejscem, w którym na jakiś czas rozkłada się materac; był przystanią, ocaleniem, dziełem życia”.

Kim są tytułowi londyńczycy? Kiedy się londyńczykami poczuli? Taylor podsumowuje: „Mówiono mi, że aby naprawdę doświadczyć miasta, trzeba być imigrantem w pierwszym pokoleniu, bo tylko wtedy Londyn uderza cię z całą mocą i musisz się do niego dopasować: to, co zagadkowe, z czasem staje się powszednie. Inni z kolei twierdzili, że

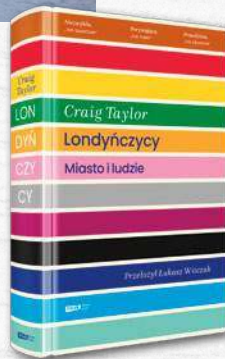
londyńczyk musi od urodzenia mieć więź z miastem, bo to fundament, który pozwala ulepszyć lub przekształcić dzieło rodziców”.

Niezależnie od czasu spędzonego przez rozmówców w Londynie, niezmienna pozostała konkluzja: „Żywa historia jest fascynująca zwłaszcza w mieście rozgadanym i pełnym głosów, w mieście, w którym trzeba walczyć, żeby się tam dostać, żeby tam zostać, żeby się wyrwać”.

Wśród londyńskich opowieści znalazł się też polski akcent: wspomnienia warszawianki, która przez rok pracowała w pubie w Kilburn. Oto ich fragment: „Zapamiętałam angielską pogodę, angielskie papierosy, szare niebo, chociaż czasem piękne, Oxford Street, Topshop. Irlandczyków siedzących u mnie w pubie przez cały dzień. Byli smutni, ale też zabawni i czułam się przez nich szanowana. Pytali mnie, po co przyjechałam do Londynu. Mówiłam: »Dla pieniędzy«. [...] Brakuje mi tego londyńskiego poczucia wolności. I tego całego zróżnicowania. Kiedyś pewnie wrócę tam z Aleksandrą [córką, dla której znów jest w Polsce – przyp. red.], by pokazać jej miasto. Zrozumiem, dlaczego tam pojechałam. I może też dlaczego wróciłam”.

Jolanta Gajda-Zadworna

* Autor książki „Londyńczycy. Miasto i ludzie”





Pamiętajcie o rybach

ANNA MONICKA

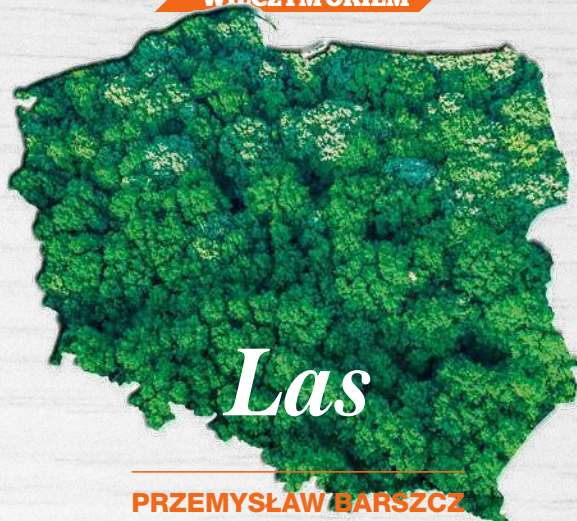
Kuzynka dietetyczka dała mi ostatnio do myślenia. Niby staram się, żeby nasze jedzenie było urozmaicone, bogate w warzywa i nabiał, ale jemy zdecydowanie za mało ryb, zwłaszcza morskich, bogatych w kwasy tłuszczowe. Oczywiście w ferworze codziennych zajęć zapominamy też o tym, by łykać kapsułki witaminy D3. Jesteśmy więc przemęczeni, zrobiliśmy się bardziej wrażliwi na rozmaite kaprysy pogody, skoki ciśnienia, mamy trudności z koncentracją, zasypiamy nad książkami, łatwiej łapiemy infekcje, mamy słabsze zęby.

Nie jestem fanką faszerowania się suplementami, postanowiłam więc na początek kupić porządną oliwę, zacząć codziennie jeść salatkę warzywną (na szczęście można już kupić pomidory, które dobrze pachną i smakują), rozejrzałam się też za rybami, bo tak naprawdę tylko one zawierają dużo D3. Sushi, które uwielbiam, trudno nazwać podstawowym pożywieniem klasy najemnej, chociaż więcej w nim ryżu niż ryb. Pozwalam sobie na nie od święta, żeby poprawić raczej humor niż poziom D3. Węgorza, najbogatszego w tę witaminę, jadłabym chętnie przynajmniej raz w tygodniu, ale cena jakoś skutecznie studzi mój zapał. Łosoś jest tańszy i łatwiej go kupić, warto jednak poszukać naprawdę dobrego. Takim jest na pewno Mowi, hodowany w Norwegii, opatrzone najważniejszymi certyfikatami, ale i najdroższy, bo za jakość i smak trzeba zapłacić.

Na te certyfikaty warto zwracać uwagę – niebieski MSC (Marine Stewardship Council) oznacza rybę dziką, pochodzącą ze zrównoważonych łowisk, zielony ASC (Aquaculture Stewardship Council) – łosia z odpowiedzialnych hodowli.

Gdy już takiego upolujemy (co nie jest wcale takie trudne, bo coraz więcej sieci handlowych ma w ofercie porządne ryby), nie pozostaje nic innego, jak nasmarować go oliwą z czosnkiem i odrobiną soli i upiec, a potem skropić cytryną i zjadać, ile się da.

Warto też od czasu do czasu kupić sardynki, makrelę (od sprawdzonego dostawcy) czy tuńczyka (świetny w prostej salacie z ziemniakami, cebulką, kaparami i ogórkiem kiszonym). Jeśli śledź, to najlepiej taki w oleju, bo marynowany jest znacznie mniej bogaty w witaminę D3. 



Las

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

WXIX w. leśnik Emil Hołowkiewicz w swoim eseju „Echa historyczne z puszczy i bagnisk starej Słowiańszczyzny” pisał: „Lesistość i wodnistosc kraju były wybitną cechą dawnej Słowiańszczyzny. [...] Był czas, kiedy nie było mowy o białowieskiej, borysowskiej, mścisławskiej, sandomierskiej lub niepołomickiej puszczy, bo niemal jednostajna puszcza umiała mało lub wcale niezaludnione kraje”.

Rzeczywiście, naturalnym przeznaczeniem naszego kraju jest bycie leśnym. Do tego predestynuje nas klimat i wszelkie warunki przyrodnicze. Każdy teren pozostawiony sam sobie w przeciągu większej lub mniejszej liczby lat na skutek sukcesji i następujących po sobie zbiorowisk roślinnych stanie się lasem. Były czasy, kiedy bezleśne pozostawały jedynie najwyższe partie Tatr, Beskidów i Sudetów wznoszące się ponad górną granicę lasu, nieco nadmorskich wydm, suchych wrzosowisk, polanek, na których pasła się zwierzyna, bobrowisk czy torfowisk – choć i te były etapem między jeziorem, które wypłyło się i zarosło, a lasem, który opanowuje torfowisko najpierw przez pojedyncze brzoźki i karłowate wierzy, a potem bagienne olszyny, w których olsze wyrastają z kępek wyniesionych ponad bagnisty grunt aż po zwarty las.

Leśność jest wpisana w naszą naturę – naszej przyrody, nas samych i naszej tradycji. Nie bez powodu w Polsce działa jedno z najstarszych na świecie towarzystw leśnych – wywodzące się z 1882 r. sławetne Polskie Towarzystwo Leśne (do którego może zapisać się każdy miłośnik lasów, nie tylko leśnicy), wydające najstarsze obecnie na świecie leśne czasopismo naukowe „Sylwan”, które ukazuje się od 1820 r.

Pamiętając, że język jest zbiorem prawidłowości pokazujących różne sposoby widzenia i rozumienia świata, zwróćmy uwagę na mnogość określeń różnych rodzajów lasów w języku polskim, który ukształtował się w środowisku leśnym. Wymieńmy tylko część z nich: las, gaj, bór, puszcza, knieja, zagajnik, brzezina, buczyna, sośnina, młodnik, olszyna, ols, zadrzewienie, dżungla, dębina, świerczyna, starodrzew, matecznik, grąd, łęg, dąbrowa, brzeźniak, tajga, lasek, gaik.

Pamiętajmy też, że język wpływa na sposób myślenia, a więc bogactwo leśnego słownictwa sprawia, że potrafimy spojrzeć na las w szczególnie, wieloaspektowy sposób. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Jaki samorząd cd.

Powracam do tematu sprzed dwóch tygodni. Postawiłem wówczas w tytule felietonu pytanie: jaki samorząd, skoro zgodnie z konstytucją samorząd terytorialny uczestniczy w sprawowaniu władzy publicznej? Czy ma być to samorząd walczący o władzę publiczną z władzą centralną, skonfliktowany, czy współpracujący z rządem? Dbający o lokalne interesy mieszkańców czy o swoje własne, prywatne? Samorząd zajęty walką z politycznymi przeciwnikami czy wolny od polityki, np. z zakazem przynależności do partii politycznych? Samorząd uznający polską rację stanu, zabiegający o rozwój i inwestycje czy zajęty jedynie utrwalaniem polityki otwartości, równości, różnorodności, tolerancji itd., itp.? Samorząd rozwijający swój region czy chcący mieć u siebie skansen i święty spokój?

Najlepiej widać to na przykładzie samorządu Warmii i Mazur. Ewidentnie jest blokowana budowa drogi S16, biegnącej ze wschodu na zachód, równoległa do granicy z rosyjską enklawą królewiecką. Droga strategiczna ze względu na potencjalnie zagrożony tzw. przesmyk suwalski. Ponadto dająca połączenie z trasami szybkiego ruchu Via Baltica i Via Carpatia. Burmistrz Mikołajek nie zaakceptował wariantu jednej z tras tylko dlatego, że biegnie zbyt blisko jego posesji. Podobnie strategiczne znaczenie ma linia kolejowa LK 223 (Czerwinka, Biskupiec, Mrągowo, Mikołajki, Orzysz do Elku). Nie sposób zrozumieć, dlaczego ta inwestycja jest przez radnych pomijana.

Z kolei burmistrzowi Elbląga nie zależy na powstaniu czwartego co do wielkości portu morskiego. Odrzuca propozycje finansowe rządu tylko dlatego, żeby nie narazić się centrali Platformy Obywatelskiej w Warszawie. Przy okazji na jaw wychodzą jego decyzje o sprzedaży części nadbrzeża obcym inwestorom. Mając miejską spółkę Port Morski Elbląg, wyprzedaje części składowe przyszłego portu, zamiast je dzierżawić. Żeby uwiarygodnić sprzeciw wobec rządowej propozycji dofinansowania miejskiej spółki portowej, władze Elbląga zarządziły konsultacje z mieszkańcami. Pytanie ankiety skonstruowano tak, jakby to rząd miał odebrać miejską własność za 100 mln zł. Nic dziwnego, że większość mieszkańców biorących udział w ankiecie opowiedziała się za pozostawieniem portu w Elblągu w rękach miasta.

Prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz nie jest w stanie usunąć z centrum miasta sowieckiego „pomnika wdzięczności”. Te tzw. szubienice będą stały pewnie tak długo, jak długo Grzymowicz będzie prezydentem miasta.

Pamiętamy też publiczny spór o to, kto ma organizować uroczystości na Westerplatte.

Zdaniem prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiwicz to teren miejski i miasto ma do niego szczególne prawa.

Niestety, szanse na zasadnicze uzdrowienie pracy samorządów jeszcze w tej kadencji są niewielkie. Podobnie jak szanse na radykalną zmianę składu władz samorządowych. Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak rządzi miastem od 2014 r. i najprawdopodobniej zaważczy o trzecią już kadencję. Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa od 2002 r., myśli pewnie o tym samym. W 2018 r. został wybrany na piątą kadencję, zaważczy o szóstą. Co charakterystyczne, w przypadku Poznania, Krakowa, Elbląga i Olsztyna – i pewnie wielu innych miast – mieszkańcy wydają się całkowicie bezsilni w kwestii możliwości odwołania przed upływem kadencji skompromitowanych władz samorządowych.

Niestety, na poważne uzdrowienie pracy samorządów trzeba będzie czekać, i to długo. Przypomnę, że w wyniku skumulowania dat wyborów parlamentarnych i samorządowych w 2023 r. – a stało się w skutek wydłużenia kadencji organów samorządowych z czterech do pięciu lat – wybory samorządowe odbędą się dopiero za niecały rok. Kadencja samorządów wydłużyła się aż do 30 kwietnia 2024 r., zatem wybory samorządowe powinny się odbyć po 31 marca, ale nie później niż 23 kwietnia 2024 r.

Wydawałoby się, że przedłużenie kadencji samorządów będzie przez opozycję odebrane pozytywnie, tak jak i wydłużenie kadencji z czterech do pięciu lat. Niestety nie. Natychmiast po podpisaniu przez prezydenta ustawy w sprawie zmiany terminu wyborów pojawiły się oskarżenia pod adresem rządu o zmiany reguł wyborczych pod kątem własnych partyjnych korzyści. A może chodzi też

o nowy przepis, według którego można sprawować funkcję samorządową tylko przez dwie kadencje? Nim to jednak nastąpi, nowe władze samorządowe przez najbliższe 10 lat, poczynając od 2024 r., mogą się w większości okazać starymi władzami.

Wszystko wskazuje na to, że prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiwicz i inni prezydenci miast, którzy zbudowali swoją pozycję na walce z „PiS-owskim” rządem, pozostaną na swoich stanowiskach aż do 2034 r. Dopiero gdy miną dwie pełne kadencje, nie będą mogli ponownie ubiegać się o stanowiska w samorządzie terytorialnym. I dopiero wtedy mogą nastąpić w samorządach zasadnicze zmiany.

Warto zatem obserwować zabiegi samorządowców z opozycji prowadzące do zmiany swojego *status quo*. Część z nich widzi się już w ławach sejmowych.

www.wojciechreszczyński.pl



Gdulizm socjologiczny

Maciej Gdula, doktor habilitowany nauk społecznych, polityk i poseł, rzekomo socjolog, błysnął ostatnio naukową wrażliwością, próbując obliczyć „wskaźnik ratowania Żydów” na podstawie drzewek w Yad Vashem. Odwaga, z jaką to uczynił, i wrażliwość same go recenzują. Gdyby to był dziennikarz z „Gazety Wyborczej”, toby się nie dziwił, ale że to naukowiec z tej samej dziedziny co moja, to nie mogę nie zabrać głosu.

Otóż Gduli wyszło, że Polacy słabo ratowali Żydów, bo wskazuje to stosunek liczby ludności do liczby drzewek. Bardziej bohaterscy byli Holendrzy i kto tam jeszcze.

Takie wnioskowanie jest obarczone kardynalnymi błędami, które jednocześnie charakteryzują poziom wiedzy metodologicznej posła. Jeśli na tym poziomie są jego prace badawcze, to skłonny jestem uwierzyć, że stopnie naukowe mają w jego przypadku charakter resortowy i były przyznane po uważaniu.

Zacznijmy od początku. Medale Sprawiedliwy wśród Narodów Świata są przyznawane nie Żydom, którzy ratowali Żydów z uścisku Holocaustu. A więc od liczby ludności przedwojennej Polski należałoby odjąć liczbę Żydów zamieszkujących nasz kraj. O tym Gdula nie ma pojęcia, lecz nie zmienia to faktu, że ochoczo krzywi prawdę.

Tak samo jak nie zauważa faktu, że „nasylenie” obywatelami pochodzenia żydowskiego było różne w różnych regionach Polski. Występowały różnice między województwami wschodnimi a środkowymi i zachodnimi. Duża była liczebność Żydów na Podlasiu, a niewielka na Pomorzu czy w Wielkopolsce albo na Śląsku. Jeśli już chciał Gdula obliczać procenty, to należałoby je obliczać dla regionów Polski, a nie dla całego kraju. W Toruniu Żydzi byli rzadkością i znacznie mniej było ich do uratowania niż w Białymstoku. I nie można na tej podstawie oceniać gotowości niesienia pomocy. Po prostu jej nie znamy. I już nie poznamy. Tego też Gdula nie wie?

Nie bez znaczenia w niesieniu pomocy była skala represji. Nie tylko rodzina Ulmów, lecz także tysiące innych Polaków zapłaciło wysoką cenę za ratowanie żydowskich sąsiadów. Kara śmierci za pomoc Żydom, a także za nieujawnienie tych, którzy nieśli tę pomoc, obowiązywała



**Aleksander
Nalaskowski**

*Oskarżenia sformułowane
z perspektywy miękkiego
fotela, dobrze ogrzanego domu
i dostatku mają się nijak
do realiów wojennych*

tylko na terenie okupowanej Polski. Czy ten fakt można pominąć, dokonując takich ocen jak Gdulowe?

Ktoś inny, czyniąc Polakom zarzut, napisał, że sam fakt utrzymywania w tajemnicy pomocy Żydom pokazuje, że Polacy byli narodem kolaborantów, a ratujący bał się, że sąsiad na niego doniesie. Nie tak! O ratowanych Żydach nie informowano nie ze względu na obawę przed sąsiadami. Taka informacja bowiem – bez złych intencji! – szybko by się w małej społeczności lokalnej rozeszła i stanowiłaby zagrożenie dla ratowanych. Stałaby się tajemnicą poliszynela. A o to chodziło najmniej.

Szmalcowników karano. Nie zawsze śmiercią. Czasami było to 50 razy stalowym wyciorem na gołe dupsko. Nie bez znaczenia była tu społeczna infamia. Ze szmalcownikami nie robiono interesów, nie podawano im ręki, a czasami dotkliwie uprzykrzano życie. Niekiedy rekwirowano produkty rolne na rzeczy ukrywanych Żydów. Mój teść, śp. Jan, był w takim oddziale, który wymierzał sprawiedliwość. Mam więc informacje z pierwszej ręki.

To, co towarzyszy dyskusji o losach Polaków narodowości żydowskiej w okresie II wojny światowej, to niesłychana zapiekłość, a nawet nienawiść oskarżycielska. Oskarżenia sformułowane z perspektywy miękkiego fotela, dobrze ogrzanego domu i dostatku mają się nijak do realiów wojennych, do życia w zagrożeniu w najlepszym razie wywózką na roboty, a w przypadku braku szczęścia do obozu koncentracyjnego lub przed pluton egzekucyjny.

Człowiek ma określoną konstrukcję psychiczną. Nie każdy jest urodzonym bohaterem, nie każdy rzuci się w toń, by ratować tonących, nie każdy jest gotów na heroizm. Od nikogo tego nie można wymagać. Ale jest różnica między bojaźliwą wstrząsliwością, często błędnie postrzeganą jako obojętność, a donoszeniem i mordowaniem. W tym ostatnim niemiecki okupant osiągnął wręcz przemysłową doskonałość i o tym nie wolno zapominać.

Ciekaw jestem, ilu dzisiejszych oskarżycieli, tych bezkompromisowych polemistów, odważyłoby się w okresie wojny zaryzykować życie swoje i najbliższych dla ratowania żydowskich sąsiadów. Mówić, pluć, oskarżać, jak zrobił to Gdula, jest najłatwiej.



JAN POSPIESZAŃSKI

Zablokowali demoralizację dzieci, teraz muszą płacić

Lawina procesów i zaciekłość aktywistów LGBT+ przeciwko Stowarzyszeniu Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza nie wzięły się znikąd

Jesteśmy gotowi pójść do więzienia, niż zaprzeczyć temu, o co walczymy – mówią działacze Stowarzyszenia Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza. – Będziemy bronić prawdy. Podtrzymujemy nasze stanowisko mimo kolejnego już skazującego wyroku sądu”.

Stowarzyszenie jest oskarżone o naruszenie dóbr osobistych działaczy politycznego ruchu homoseksualnego przez rozesłanie w sierpniu 2016 r. do 22 tys. polskich szkół listów informujących o faktycznych scenariuszach i istocie edukacji (rzekomo) antydyskryminacyjnej. Autorzy uzasadnili, że pod zawołanym terminem niedyskryminacji są prowadzone działania promujące homoseksualny tryb życia, upowszechniające sprzeczne z moralnością fałszywe normy. Intencją listu była i pozostaje ochrona dzieci przed demoralizacją i zaburzaniem ich tożsamości.

W wysłanym materiale pojawiły się nazwiska aktywistów LGBT+, konkretne wypowiedzi i przykłady działań. Np. zamieszczono zdjęcie półnagiej aktywistki LGBT+ Marty Konarzewskiej, która na odkrytym biuście miała napisane: „Śpię z kim chcę”. Konarzewska (nauczycielka, przyznająca się, że jest lesbijką) prowadzi tzw. warsztaty antyhomio i antytransfobiczne, a zasłynęła zapowiedzią przeprowadzenia „szturmu na szkoły”. Stowarzyszenie przegrało z nią proces w dwóch instancjach i ma ją przeprosić za „naruszenie dóbr osobistych [...] poprzez podanie informacji, że działalność

[Marty Konarzewskiej – przyp. red.] mogła szkodzić dzieciom lub młodzieży”.

W sumie wobec władz stowarzyszenia wytoczono siedem procesów. Pierwszy proces, wytoczony przez Jana Świerżca, rozpoczął się od mediacji, w wyniku których powód wycofał oskarżenie. Drugi proces, wytoczony przez Małgorzatę Fuszarek, byłą pełnomocnik ds. równego traktowania w rządzie PO-PSL, został przerwany i przeniesiony do małych salek, by nie było widowni. Jak widać, obostrzenia covidowe sprzyjały i nadal sprzyjają sądowi. Choć rygory sanitarne zostały odwołane, procesy nadal toczą się jedynie w formule online. Trzeci proces to ten z Martą Konarzewską, czwarty wytoczyła Agnieszka Kozakoszczak, edukatorka (rzekomo) antydyskryminacyjna. Kolejne wytoczyły Fundacja na rzecz Różnorodności Społecznej (FRS), Kampania Przeciw Homofobii (KPH). Siódmy proces, który odbywa się z powództwa Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej (TEA), został połączony z tym wytoczonym przez KPH.

Napisać, że sąd sprzyja genderowym działaczom, to banał. Byłem obserwatorem na jednej z rozpraw, gdy jeszcze odbywała się w normalnym trybie. Sędzia oddalał materiały dowodowe, ignorował przywoływane przez oskarżonych faktyczne wypowiedzi działaczy, mówiące wprost o ich celach, jakim jest polityka seksualna i przebudowa społeczna. Istotnym elementem wyroków skazujących jest żądanie, by stowarzyszenie napisało oświadczenie do ministra edukacji, że informacje zawarte

w liście z 2016 r. były nieprawdziwe. Na to działacze stowarzyszenia się nigdy nie zgodzą. I tu jest clou problemu.

Lawina procesów i zaciekłość aktywistów LGBT+ nie wzięła się znikąd. Organizacje LGBT+, sownie finansowane przez ośrodki spoza Polski, wskutek działań stowarzyszenia mogły utracić możliwość rozliczenia pozyskanych grantów. Wysyłka 22 tys. listów uruchomiła serię doniesień medialnych i zmusiła minister edukacji Annę Zalewską do wycofania zgody resortu (wprowadzoną przez Joannę Kluzik-Rostkowską, minister edukacji w rządzie PO-PSL) na organizowanie w szkołach zajęć (rzekomo) antydyskryminacyjnych. Zatem finansowane z zagranicy zajęcia w polskich szkołach się nie odbyły. Dla sponsorów deprawacji pewnie jest to sygnał, że granty dla gejowskich organizacji w Polsce to kiepska inwestycja. Dla KPH i innych aktywistów – to odcięcie do kasy.

A więc toczące się przy nikłym zainteresowaniu mediów procesy tak naprawdę są pokłosiem wygranej walki o fundamentalne wartości. Szkoda tylko, że choć beneficjentami tego zwycięstwa są setki tysięcy polskich uczniów, kosztami procesów i odszkodowań są obciążeni działacze stowarzyszenia. Idące w dziesiątki tysięcy kwoty muszą płacić z prywatnej kieszeni. Nie możemy ich teraz zostawić. Potrzebne wsparcie. Na stronie Stowarzyszenia Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza zamieszczony jest numer rachunku i informacja, jak można im pomóc.

Opozycja demokratyczna chroni świnie

Zaprzyjaźniony z nami periodyk, wydawany przez środowisko młodych badaczy fizyki molekularnej „Peryskop Parlamentarny” (popularny w całym kraju „PP”), podzielił się z nami korespondencją przesłaną na ręce marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego. Oto kopia tego listu bez poprawek korektorskich.



**Jerzy
Jachowicz**

Szanowny Panie Marszałku, piszę do Pana, bo u nas w okolicy ludzie mówią o Panu dobrze. A to znaczy, że na sercu leży Panu dobro naszych rodaków. A więc i moje, choć jestem małym chłopem w jednej ze wsi w wiejsko-miejskiej gminie Bobolice na Pomorzu Zachodnim, gdzie jesienią ub. za pomocą dźwigu rozebrano pomnik wdzięczności armii sowieckiej. Wspominam o tym, bo właśnie od tamtego czasu zaczęło się u mnie wszystko psuć. Infekcja zapalenia oskrzeli kurczaków doprowadziła do konieczności likwidacji hodowli, która zapewniała w miarę dostatnie utrzymanie mojej rodziny, w której skład – co chciałbym podkreślić – oprócz mnie wchodzi żona. To zmusiło mnie do przeżucenia się na hodowlę trzody chlewnej. Nawet nie wiedziałem, że tak szczęśliwie

trafiłem. Wygląda na to, że karta znowu kożytnie się dla mnie odwraca. I to właśnie jest powód mojej prośby do Pana Marszałka.

Od kilku dni słyszę w telewizji hasło: „Chrońmy polskie świnie”. Sąsiad mieszkający pod lasem powiedział mi, że ta złota myśl jest jednym z głównych punktów programu wyborczego „opozycji demokratycznej”. Dlatego, jak dowiedziałem się, że jeden z parlamentarzyistów z Koszalińskiej będzie w Bobolicach, pojechałem na spotkanie. Jeszcze przed jego rozpoczęciem, zanim się całkiem ściemniło, zapytałem pszyjezdnego posła, choć może jest to teraz senator, jak można nawiązać współ-

pracę z „opozycją demokratyczną” pod kontem mojej hodowli. A on, Panie Marszałku – nachylił się do mnie i szeptem przekazał mi – jako ważną rzecz następujące słowa: „Do »opozycji demokratycznej« zapisuje jedynie Marszałek Tomasz Grodzki. W sprawie, o której pan mówi, jedynie on decyduje” – dodał.

Podkreślam, że pragnę być członkiem „opozycji demokratycznej”, żeby nie tylko chronić, ale z każdym kwartałem powiększać pogłowie polskich świń.

Z wyrazami nadziei

JJ /

REKLAMA



Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

SALTUS
UBEZPIECZENIA

**Ubezpieczenie
na Życie
SALTUS – Moje ŻYCIE**

Chroń życie Swoje i Swojej rodziny.

Oferta dostępna dla Członków Spółdzielczych Kas

saltus.pl

NOWOŚĆ

Na szczęście są Ubezpieczenia!

eprasa.pl 4fibi01c075

Rysuje Jerzy **Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Historia kuriozalna

Cały czas trwa intensywne poszukiwanie winnych bestialstwa II wojny światowej

Kancelerz Niemiec Olaf Scholz: „78 lat temu Niemcy i świat zostały wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu”. Czy wykształcony Niemiec może nie znać prawdy? Zna ją doskonale. Tylko realizuje plan zgodny z linią filmu „Nasze matki, nasi ojcowie”. Niemcy w 1939 r. zostały napadnięte, ale szczęśliwie w 1945 r. alianci przyszli im z odsieczą i uwolnili ich od nazizmu. Naziści to są mityczni zbrodniarze bez konkretnej narodowości. Niemcom jednak nie wystarcza wybielanie się. Langsam, langsam, z niemiecką dokładnością szukają prawdziwych winnych. Udało się utrwalić w światowych mediach pojęcie „polskie obozy zagłady”? Niestety, symbol Holokaustu – Auschwitz-Birkenau – jest na naszym terytorium. I tłumacz Peruwiańczykowi, że my też byliśmy ofiarami.



Ryszard Makowski

Do tego natrafiamy na inną mocną narrację sprowadzającą tragedię II WŚ do cierpienia Żydów. Co ciekawe, z tym cierpieniem Niemcy praktycznie nie mają nic wspólnego. Ale my, Polacy, już tak! Każda rocznica powstania w getcie to okazja do oskarżania nas o radość, że płonęło getto.

Na naszych uczelniach działają osoby z tytułami, które żyją z antypolonizmu. Szkodzą nam z premedytacją. Czy tacy kłamcy i paszkwilanci powinni być utrzymywani przez polskiego podatnika? Musimy się przeciwstawiać przerzucaniu na nas odpowiedzialności za okrucieństwa tamtych lat. Bo wszystko zmierza ku temu, że wkrótce na rocznicę zakończenia II wojny światowej kanclerz Niemiec powie: „86 lat temu Niemcy i świat zostały wyzwolone spod tyranii polskiego nacjonalizmu”.

Michał Korsun prezentuje: **Magiczny Donald Trump, czyli „pokój na Ukrainie w 24 godziny”**



Wycinki z przeszłości

W maju 1935 r. cała polska prasa w żałobie żegnała Józefa Piłsudskiego. Dorobek i słowa twórcy odrodzonej Niepodległej opisywano z różnych punktów widzenia, czasami zaskakujących. Popularny tygodnik „Na Szerokim Świecie” przypomniał wzruszające słowa marszałka, także przecież ojca dwóch córek, o dziecku.

„Jeszcze jedna prawda – jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bati i człowiek się z sobą mocować musi, aby wytrzymać, i wtedy – ramię małego dziecka – dziecka, prawie bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, zmarszczki wygładza i troski zwalczać każe. Nosek jak kartofelek, czoło lysawe: ani to piękne, ani siła.

Patrzcie, dziecko słabe, ledwo słowo wymówi, a w domu powtarzają to słabe słowo, jak słowa języka silnego. Nowe słowa dziecko tworzy, które zostają u ludzi w pamięci wieki całe. To czar – to urok, co serca zniewała, przykuwa do siebie”.

Taki też był ten wielki wódz – liryczny, czuły, miłujący. **///**

(mk)



Na tę okoliczność

Taki wiersz na tę okoliczność, czyli na ten czas między Dniem Matki i Dniem Dziecka. Sprzed lat, ale w tej przestrzeni nic się nie zmieniło. I pewnie się nie zmieni.



Po latach, po czasie...

Leszek Długosz

*Dawno odeszłe, w zaświatach
dawno rozproszone
Te nasze matki, mateczki, mamy
Wciąż idą z nami...
Nawet gdyśmy dorosłe ich siwe dzieci
Na dalekich kilometrach naszego życia
One i wtedy z nami blisko*

*Zjawiają się jak elektryczność
Jak jaskółki do piskłat
Jak suki do szczeniąt
Gdy tylko postyszą:
„Ach, mamo, gdybyś wiedziała...”
Tu, z tego świata wypowiedziane bezgłośnie
W tajemnicy, gdy nie można już wytrzymać
Jak się to powiada, musimy pknąć
Musimy musimy przed kimś się wyzalić
I one to słyszą...
Zza horyzontu, zza pagórków niebieskich
Zbiegają momentalnie
Tu na tę stronę
Chwytają nas za rękę
(W całym kosmosie prócz Boga i nas dwojga
Nikt się nie domyśla, że z nami
Wciąż tak?)
Dawno odeszłe, rozproszone w zaświatach
Te nasze matki, mateczki, mamy
One to wciąż potrafią*

*Lecz jakże często dopiero wtedy
Po latach
I tak po czasie
Dopiero wtedy mogą się doczekać
Usłyszeć słowa
Te proste słowa czułości i przywiązania
Których wcześniej nie zdążyliśmy
Nie chcieliśmy czy tylko
Nie umieliśmy im wtedy powiedzieć?*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Łoś w mieście parku

*Jeśli w mieście – a przecież miasto z natury rzeczy jest ludzkie!
– człowiek jest czymś dziwnym, to jak ma w przyszłości
wyglądać świat społeczny?*

Nie, nie. Nie nawiązuję do historii o „szalenie uprzejmym łosiu” w wykonaniu Andrzeja Poniedziałkiego, którą można znaleźć w sieci...

Czytam ciekawą rozmowę w majówkowym numerze „Tygodnika Powszechnego”. To wywiad z mieszkającą od lat w Holandii analityczką trendów Zuzanną Skalską. Rozważa, co nas czeka w przyszłości. Najgorszy scenariusz to kontynuacja *status quo*: uzależnienie od internetu, w którym „kupczenie własnymi danymi” to norma, kryzys wiary i influencerzy w roli bożków, media społecznościowe jako ślepy zaułek ludzkości itd. Ale podaje też pogodny scenariusz dla naszej przyszłości: model „aktywnej regeneracji, z dobrobytem i nastawieniem na wspólnotę”. Bez miejsca na innowacje, które zwykle powstają albo z ciekawości ludzkiej, albo po prostu z lenistwa. Bo innowacje mają służyć odbudowie życia w zgodzie z naturą. Taka przyszłość będzie dla nas najlepsza.

Dziennikarz pyta: „W 2050 r. większość ludzkości będzie mieszkać w miastach, wieś już traci swoje tradycyjne funkcje. Żywność ma się wytwarzać w zrównoważonych, opartych na zdobycach nauki farmach. Gdzie

jest miejsce natury?”. Analityczka trendów odpowiada: „Wszędzie wokół. Miasto będzie parkiem. Natura będzie się z nami przenikać. Musimy ją z powrotem zaprosić do siebie, żeby łoś, lis lub dzik nie był w mieście intruzem czy czymś dziwnym. Czymś naprawdę dziwnym jest człowiek w mieście”.

Czytam, jeszcze raz. I wcale to nie pomaga wyjść ze zdumienia. W przeszłości łoś ma być pełnoprawnym mieszkańcem miasta niczym naturalny mieszczanin. Łoś nie ma być w mieście czymś dziwnym.

Jeśli w mieście – a przecież miasto z natury rzeczy jest ludzkie! – człowiek jest czymś dziwnym, to jak ma w przyszłości wyglądać świat społeczny? W jakich ramach go organizować, wokół czego ogniskować? W miastach toczy się większa część życia ludzi.

Miasta są miejscami życia i pracy. Tu przyswajamy kulturę i szukamy rozrywki.

Wokół miast ogniskują się środowiska intelektualne, artystyczne, a także polityczne. Rodzą się ruchy społeczne, lokalne wspólnoty. Mody, niepokoje i... trendy. W miastach mają swoje siedziby ważne dla zbiorowości ludzkich instytucje. Miasta dysponują infrastrukturą, bez której cywilizacja ludzka by się nie rozwijała. To w miastach uniwersytety mają swoje siedziby, bo to naturalne miejsca kumulacji wiedzy i historii ludzkiej.

Miasta mają też swoje ciemne strony – nierówności społeczne, bezdomność, przemoc i inne patologie – które mimo rozwoju cywilizacyjnego wcale nie znikają. Od czasu, kiedy dzięki osiągnięciu odpowiednich wskaźników roz-

woju oficjalnie przestaliśmy być krajem rozwijającym się, czyli na dorobku, my – Polacy – oczekujemy przede wszystkim dostatniego, dobrego i bezpiecznego życia.

I od dobrych kilkunastu lat właśnie tworzenie warunków dobrego życia stało się jedną z zasadniczych funkcji polskich miast. Tych największych i tych całkiem małych. Miasta walczą o czyste powietrze, zrywają z betonozą, sadzą zieleni, gdzie tylko się da, nie koszą zbyt często trawników, bo bujniejsza zieleni trzyma wilgoć i sprzyja bioróżnorodności.

Nie mam nic przeciwko miastom parkom. Bardzo lubię parki, tylko jak to ma funkcjonować w praktyce? Czy to mają być miasta parki głównie dla łośa i dzika oraz grup osób z nimi zaprzyjaźnionych? To co z pozostałymi ludźmi?

Inna analityczka trendów – Natalia Hatałska, twórczyni Instytutu Badań nad Przyszłością (*infuture.institute*), w ramach którego od kilku lat powstaje Mapa Trendów, mówi o rosnącej roli „symbiocenu” jako nurtu myślenia i jednocześnie jednego z pięciu megatrendów przyszłości. Czyli wśród trendów wyznaczających kształt przyszłego ludzkiego świata jest perspektywa koncentrująca się nie na człowieku, ale na całym ekosystemie. Czyżby jednak: miasto dla łośa?

W rozmaitych debatach, szczególnie tych o przyszłości planety, co i rusz ktoś pokrzykuje, a to o zbędności człowieka w naturalnym ekosystemie, a to o naszej szkodliwości dla natury. Tylko... coraz trudniej ustalić, czymże ta NATURA jest. Można spytać ChatGPT.

Katarzyna Zybortowicz



Sprawdź, jak to jest zyskiwać VELOkrotnie

- **do 600 zł** zwrotu za zakupy kartą, telefonem lub BLIKIEM
- **8% w skali roku** na nowe środki na koncie oszczędnościowym
- **wygodna** aplikacja mobilna

velobank.pl

W ramach promocji „Witaj w VeloBanku” - edycja 1/2023 wypłacimy Ci na konto oszczędnościowe VeloSkarbonka 10% wartości Twoich zakupów kartą, telefonem lub BLIKIEM - maksymalnie 100 zł w ciągu każdych kolejnych 30 dni od daty otwarcia VeloKonta i maksymalnie 600 zł podczas 180 dni okresu trwania promocji. Możesz przystąpić do promocji do 31.08.2023 r. Aby przystąpić do promocji, musisz mieć VeloKonto, VeloSkarbonkę, aktywne zgody marketingowe oraz nie mieć u nas konta od 31.10.2022 r.

Oprocentowanie stałe 8% w skali roku do 200 tys. zł oraz 6% w skali roku dla nadwyżki od 200 tys. zł do 400 tys. zł w Ofercie Specjalnej „Nowe środki na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym” (edycja 5/2023) dotyczy nowych środków i obowiązuje przez 3 miesiące. Możesz skorzystać z oferty, jeśli do 1.06.2023 r. wpłacisz nowe środki na Elastyczne Konto Oszczędnościowe i wyrazisz dla nas zgody marketingowe. Szczegóły oferty, w tym definicja „nowych środków”, w regulaminie Oferty Specjalnej.

Regulaminy promocji/oferty, regulamin rachunków, szczegóły oferty VeloKonta, opłaty i prowizje udostępniamy na velobank.pl i w naszych placówkach. VeloKonto, VeloSkarbonka i Elastyczne Konto Oszczędnościowe to prowadzenie rachunków płatniczych. Bankowość mobilna (aplikacja VeloBank) to usługa bankowości elektronicznej. Produkt oferuje VeloBank S.A.

EnerSOL! - zestawy
fotowoltaiczne

Korzystaj z energii słońca i obniż rachunki za prąd w Twojej firmie

Zestawy fotowoltaiczne EnerSOL! to nowoczesne i ekologiczne rozwiązanie, które pozwoli Ci oszczędzać już pierwszego dnia użytkowania. Instalacja fotowoltaiczna zapewnia niezależność od podwyżek cen energii elektrycznej, a także pomaga obniżyć rachunki i pozyskać czystą energię prosto ze słońca.

EnerSOL! to propozycja dla klientów, którzy wykorzystają energię elektryczną m.in. do procesów technologicznych czy oświetlenia hal magazynowych. Rozwiązania to daje możliwość zainstalowania paneli fotowoltaicznych na dachu budynków lub na gruncie.

Nasze zestawy fotowoltaiczne EnerSOL! to gwarancja wysokiej jakości i profesjonalnego podejścia.

Zapewniamy Ci:

- kompleksową obsługę i doradztwo.
- komponenty od najlepszych producentów.
- możliwość skorzystania z korzystnej oferty kredytowania.
- pomoc w załatwianiu wszelkich formalności.

Sprawdź

